

WICEPREMIER GLIŃSKI W OSTREJ ROZMOWIE:

Praca z mediami jest często
jak poruszanie się po polu minowym



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 6/309 4-10 LUTEGO 2019

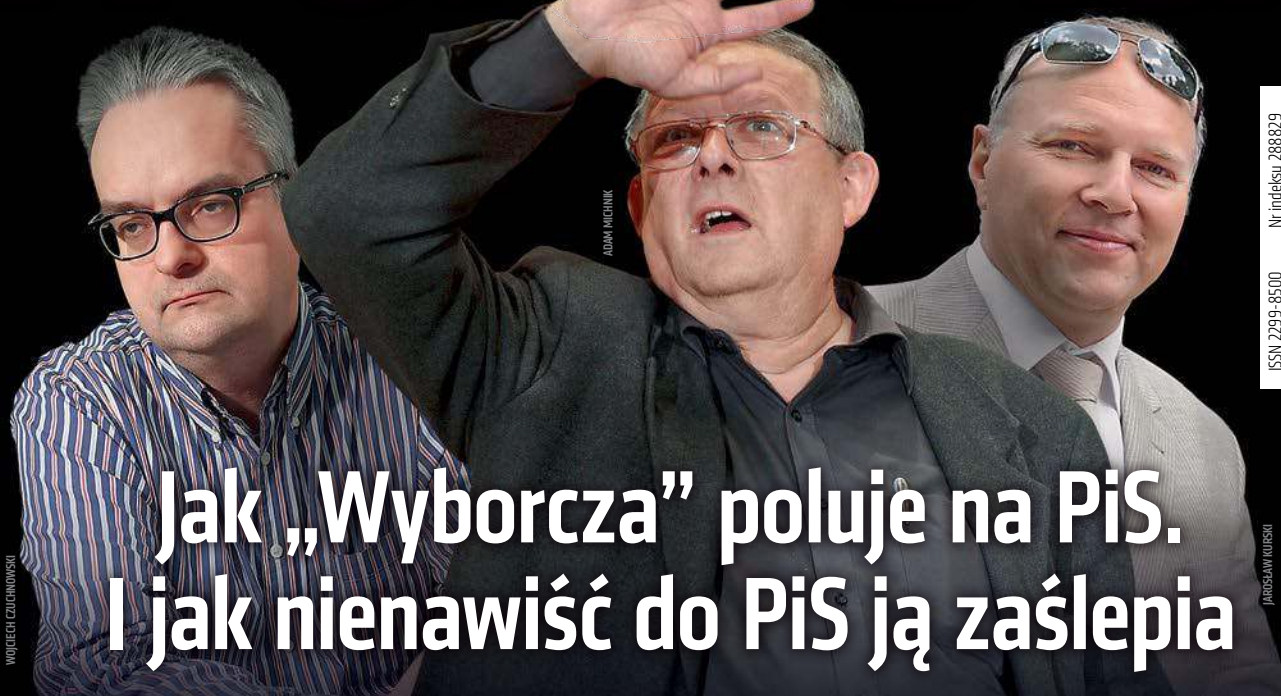
Szybka kariera i upadek
byłego rzecznika MON

**FRANCUSKA
POLICJA BIJE
JAK ZOMO**



Po co Polsce zimna wojna
z Iranem?

W OPARACH



Jak „Wyborcza” poluje na PiS.
I jak nienawiść do PiS ją zaślepia

ABSURDU

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 79 tys. egzemplarzy

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

MARZENY
NOWAKOWSKIEJ
„SAFARI ZA PROGIEM
DOMU”

~~342~~ zł



138,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
204** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Największa afera dziejów

Jedni mówią, że góra urodziła myśl, inni wspominają o mokrym kapiszonie. Nawet wśród najbardziej zagorzałych przeciwników Jarosława Kaczyńskiego i PiS podniecenie nie trwało długo. A miało być tak pięknie. Tym razem naprawdę, który to już raz – nie pamiętam, ale tym razem naprawdę, nieodwołalnie, ostatecznie i w 100 proc. „Gazeta Wyborcza” miała przygwoździć i raz na zawsze, na wieki wieków i absolutnie udowodnić to, że prezes rządzącej partii to nikczemnik, obłudnik, hochsztapler, człowiek dwulicowy, zły i Polsce w najwyższym stopniu szkodzący. Tym razem to już miało być naprawdę nie na żarty.

Redakcja przy Czerskiej była tak pewna swego, że jeszcze dzień przed publikacją owego ponoć morderczego materiału Jarosław Kurski zachęcał czytelników do porannego spaceru do kiosków, bardziej leniwym oferując wykup subskrypcji elektronicznej. Szczepnie mówiąc, dosyć to dziwaczna formuła i dlatego od razu, kiedy owe zachęty dostrzegłem, byłem pewien, że coś z tym śmiercionośnym i miażdżącym materiałem jest nie tak. Mylenie funkcji komiwo-

jażera i obnośnego sprzedawcy – a w takiej roli obsadził się jeden z szefów „Wyborczej” – z bohater-skim obrońcą demokracji nikomu na zdrowie nie wychodzi. Dawno już tak wielu nie spodziewało się tak wiele, dostając tak niewiele – można sparafrazować całą kampanię towarzyszącą publikacji materiału o spotkaniach prezesa PiS z do tej pory szerzej nieznanym austriackim biznesmenem. Zamiast krwistego befsztyka nędzna i mdła polewka.

Faktycznie, na czym dokładnie polega cała afera? Najciekawsze, że nawet autorzy tego wiekopomnego tekstu mieli niejaki problemy z odpowiedzią na to pytanie. Jeden z nich, zasłużony bojownik w walce z prawicową hydrą, raczył być powiedzieć, że tym, co w publikacji najważniejsze, jest to, iż Jarosław Kaczyński został nagrany. Znowu, patrząc na trzeźwo, cała sprawa jest dosyć groteskowa. Co bowiem jest tak naganego w postępowaniu szefa PiS? Czy obciąża go to, że ktoś go potajemnie nagrał? Wolne żarty.

Znowu, słuchając tego, co do tej pory opublikowano, miałem wrażenie, jakbym znalazł się w domu wariatów. Po zapowiedziach „GW”

spodziewałem się, że otrzymam coś naprawdę szokującego. Powiedzmy – nagranie pokazujące, jak prezes PiS dogaduje się z obcym wywiadem (najlepiej ruskim) albo jak zleca dokonanie zbrodni, albo jak przyjmuje gigantyczne pieniądze płynące do banku na Kajmanach w zamian za przychyłność państwowej firmy. Nic z tych rzeczy. Otóż dowiedziałem się, że prezes PiS uznał, iż budowa budynków przy ulicy Srebrnej (nikt nie podważa praw spółki do terenu) w Warszawie nie ma sensu, bo i tak na przedsięwzięcie nie wyrazi zgody opanowany przez PO ratusz, oraz poradził austriackiemu biznesmenowi, żeby w sprawie ewentualnych roszczeń finansowych zwrócił się do sądu. Słusznie zatem niektórzy zauważyli, że jeśli jest tu afera, to polega ona na tym, że decyzje o zgodzie na zabudowę mają charakter polityczny. Podobnie nie jestem w stanie zrozumieć, co sensacyjnego jest w radzie, aby sprawę rozstrzygnął sąd.

Jeszcze bardziej osobliwy był nagrany prezes PiS mówił, że budowa przy Srebrnej ściągnie na niego atak i oskarżenia, że jest bogaczem. Chociaż w tym przypadku okazuje się, że taki sam zarzut można mu postawić całkiem niezależnie od tego, że do rozpoczęcia inwestycji nie doszło. Po prostu najwyraźniej są tacy, którzy gdy słyszą: „Kaczyński, podsłuch, pieniądze, budynki”, to im najzupełniej wystarczy, żeby wykrzyknąć: „Złodziejstwo”.

Prawda jest taka, że cała ta historia więcej mówi o autorach tekstów niż o ich bohaterze. Jednej rzeczy jestem pewien: już wkrótce, już za moment, znowu usłyszę, że niezłomni śledczy z „GW” dotarli do 155. absolutnie niepodważalnego, całkowicie pewnego, stuprocentowego i ostatecznego dowodu niegodziwości PiS. I wtedy nie ma przebaczyć. Cóż, niektórzy po prostu już tak mają. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

PUKAWKA Z GAZETY

Dziennikarstwo zaangażowane za bardzo

20 PIOTR SEMKA

„JA CIĘ NIE MOGĘ”, CZYLI WNIOSKI Z TAŚM KACZYŃSKIEGO

KRAJ

24 ROZMOWA Z PIOTREM GLIŃSKIM

PRZEPROWADZAMY DEMOKRATYCZNĄ KOREKTĘ

Praca z mediami jest często
jak spacer po polu minowym

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ZBRODNIA W CZASACH POSTPOLITYKI

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

NIENAWIŚĆ WEDŁUG LGBT

34 KAMILA BARANOWSKA

OD MEDALI DO ZARZUTÓW

36 STEFAN SĘKOWSKI

EKSPERCKI EKSPERYMENT

38 ŁUKASZ WARZECHA

WSZYSCY CHCĄ WIĘCEJ

KULTURA

44 MONIKA MAŁKOWSKA

LICYTACJE BIEDY I BOGACTWA

Jak się sprzedaje sztuka nad Wisłą

48 PIOTR GOCIEK

OPOWIEŚĆ BESTII

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM

IRAN WKURZA ŚWIAT OD CZTERECH DEKAD

Wspólnota międzynarodowa
to nie jest klub altruistów

58 WITOLD REPETOWICZ

NIE PSUĆ RELACJI Z IRANEM

62 TOMASZ ROWIŃSKI

KORUMPOWANIE KOŚCIOŁA

HISTORIA



64 TOMASZ
LENCZEWSKI

AGENT TOTALNY

Zygmunt
Augustowski
(1915–2008)

68 ROZMOWA Z DARIUSZEM JARONIE, AUTOREM
KSIĄŻKI „POLSCY HIMALAJŚCI”

KŁĄTWA BOGINI KALI

ŚWIAT



70 OLIVIER BAULT

FRANCUSKA POLICJA JAK ZOMO

Opresja nad Sekwaną

72 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI

DRAMAT W KRAJU TULIPANÓW

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI

AMERYKA DODAJE GAZU

LNG z USA podbija Europę

78 TOMASZ CUKIERNIK

PAŃSTWO GÓRĄ?

SPORT

82 ŁUKASZ ZBORALSKI

GENERACJA GIGANTÓW

Na dwie dekady zdominowali korty

„Gdzie jest mózg Marszałka” „DRz” 1/2018

Sprawa mózgu Marszałka jest mi nader bliska i z uwagą przeczytałem artykuł pań Rybak i Smółki. Otóż ten niewymieniony z nazwiska „Profesor, który przejmując tę schedę, wyjeżdża na stypendium do Wiednia” to Włodzimierz Godłowski, mój dziadek. [...]

Po śmierci prof. Rose szukano dla niego następcy na stanowisko kierownika Katedry Chorób Nerwowych i Umysłowych, który równocześnie był kierownikiem Instytutu Badań Mózgu. W środowisku wileńskim niestety takich osób nie było. Współpracownicy zmarłego profesora (asystenci) mieli tytuły doktorskie (przed wojną absolwenci studiów medycznych otrzymywali automatycznie tytuł doktora wszech nauk medycznych, bez przeprowadzania przewodu doktorskiego, więc był to odpowiednik magistra). Po dość długich poszukiwaniach zaproponowano objęcie tej posady i kontynuację badań nad mózgiem Marszałka mojemu dziadkowi, docentowi w tym czasie na klinice UJ. Dziadek otrzymał równocześnie propozycję objęcia katedry w Poznaniu, ale wybrał Wilno. Środowisko wileńskie było rozczarowane, dziadek był osobą z zewnątrz. Nominację profesorską otrzymał 10 września 1938 r., miał wtedy 38 lat. Mózg Marszałka do tej pory został pocięty, zakonserwowany i wstępnie opisany. Jego przekroje zostały opublikowane we wzmiankowanej w tekście publikacji (egzemplarz, który leży u mnie na półce, ma nr 92). Zasadniczych badań nie zdołano podjąć, miał je kontynuować mój dziadek. Żeby przygotować się do tego wyzwania, został skierowany na specjalne stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do kierowanego przez prof. Oskara Vogta (ówczesnego guru od badań mózgu) Hirnforschungsinstitut Neustadt koło Freiburgu

w Schwarzwaldzie. Więc nie pojechał sobie na jakieś stypendium do Wiednia (w Wiedniu na stypendium był w 1930 r.), tylko został wysłany przez rząd RP, by przygotować program badań mózgu Marszałka, do najlepszego ówczesnego specjalisty w tej dziedzinie.

Do Wilna przyjechał późną wiosną 1939 r. i zajął się sprawami organizacyjnymi (porządkowaniem) po długim okresie bezkrólewia. Prace nad mózgiem miały ruszyć jesienią. W lipcu 1939 r. sprowadził do Wilna swoją żonę i syna (moją babcię i mojego ojca). Wielokrotnie z babcią na ten temat rozmawialiśmy i wiem od niej, że mózg w instytucie był, bo zadaniem mojego dziadka było zbadanie go. Dziadek został zmobilizowany 27 sierpnia i chociaż jako profesor medycyny, szef katedry itd. mógł się „reklamować” (co mu proponowano), to na swoją kolejną, trzecią już wojnę poszedł. Co się stało z mózgiem po rozpoczęciu wojny – tego nie wiemy. [...]

Jan Godłowski

Bardzo dziękujemy za interesujące dopowiedzenie tej historii.

W naszym tekście nie piszemy, że mózg Marszałka trafił do Instytutu Nenckiego ani że stało się to przed wojną. Stawiamy jedynie – śladem osób zajmujących się tą sprawą – takie pytanie i wyraźnie piszemy, że nie znaleziono na to żadnych dowodów. Znakomitej postaci prof. Włodzimierza Godłowskiego nie wprowadziłyśmy szerzej do naszego tekstu, bo ze względu na wybuch wojny nie zdążył kontynuować badań nad mózgiem Józefa Piłsudskiego. Pomyłka co do miejsca, gdzie przebywał – niewątpliwie karygodna – nie zmienia w niczym tego, że jak sam Autor listu wyraźnie przyznaje, profesor po objęciu stanowiska kierownika Katedry Chorób Nerwowych i Umysłowych i równocześnie kierownika Instytutu Badań Mózgu udał się za sprawą stypendium za granicę, wrócił późną wiosną 1939 r., zajął się uporządkowaniem spraw organizacyjnych katedry i instytutu, odkładając badanie mózgu Marszałka na jesień tego roku. Jednak nie było mu dane nigdy zasiąść do tej pracy, ponieważ w związku z mobilizacją zgłosił się do wojska i wziął udział w kampanii wrześniowej, a potem został zamordowany w Katyniu.

Jak przyznaje Autor listu, rodzina nie ma wiedzy na temat kluczowych dla nas faktów, czy i jakie dyspozycje wydał prof. Godłowski w sprawie mózgu Marszałka ani, tym bardziej, co się z mózgiem stało.

Anna Smółka, Agnieszka Rybak



DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak, Krzysztof Maskoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenczewicz, Wiesław Chelminiaik, Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czański, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Ewa Polak-Palkiewicz, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Zlotnicka** (także TVP Warszawa), **Milosz A. Ludowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadarowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotografia: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Adam Chelstowski/Forum, Piotr Bławicki/East News, Wojtek Laski/East News, montaż JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawcą tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

NA PIERWSZY OGIEŃ

Antek – komandos z różańcem



PIOTR SEMKA

Siwym jak gołąbek, z nieco sarmackim wąsem, zazwyczaj ubrany w narciarski golf. Antoni Zambrowski zmarł w wieku 85 lat. O niewielu ludziach mogę z taką pewnością powiedzieć: był człowiekiem wiary.

W 2001 r. w wywiadzie dla tygodnika „Ozon” opowiedział mi, w jak niecodziennych okolicznościach został ochrzczony. Było to w Rosji, w 1944 r., w domu dziecka Związku Patriotów Polskich. Ojciec wywodzący się z zasymilowanej rodziny żydowskiej był obojętny religijnie. Wystany na front jako oficer polityczny w dywizji kościuszkowskiej nawet nie przypuszczał, że jego syn może w sowieckim domu dziecka ZPP odrzucić się o religię. A jednak znalazł się tam starszy kolega, który w ścisłej tajemnicy opowiedział mu o wierze w Boga i ochrzcił go „z wody”. Po wojnie, gdy ojciec jako wysoki dygnitarz ekipy Bieruta ściągnął go do Warszawy, wydawało się, że chrzest nie pozostawił śladu. Nastoletni Antek został młodym komunistą, wyjechał na studia do Moskwy i zapisał się do PZPR.

W 1966 r. coś sprawiło, że wrócił do wiary. W czerwcu 1966 r. uczestniczył w demonstracjach w obronie prymasa Wyszyńskiego przed bo-

jówkami ZMS. Jego koledzy z kręgu Adama Michnika, tzw. komandosi, źle przyjęli jego religijną przemianę. Z kolei dla innych studentów z rodzin bezpartyjnych był synem dawnego stalinisty nawróconego na liberalizm marksistowski. Bezpieka też nie wdawała się w niuanse. Dla nich był idealną ofiarą do procesu pokazowego po Marcu 1968. Stanął przed sądem pod zarzutem szkalowania narodu polskiego.



FOT. JERZY DUBICKI/FORUM

Mało czytany sędzia przypisał Zambrowskiemu autorstwo słów: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą i po szkodzie głupi” – w istocie była to puenta „Pieśni o spustoszeniu Podola” Jana Kochanowskiego. Skazany na dwa lata więzienia – wyszedł w lipcu 1969 r. na mocy amnestii.

Potem z trudem wiązał koniec z końcem, pracując w Centralnym Laboratorium Optyki. Współpracował z KOR. Skrzydeł dodała mu wizyta Jana Pawła II do ojczystego kraju w 1979 r., pod jej wpływem

zaczął działać w ramach akcji „Chrystus w środkach przekazu społecznego”. Zbierał podpisy wiernych pod apelem o transmisję mszy świętej w Polskim Radiu i TVP. Bez tej zupełnie zapomnianej dziś akcji wśród 21 postulatów strajku w Stoczni Gdańskiej w Sierpniu 1980 nie pojawiłby się postulat „udostępnienia środków masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań”. Potem działał w NSZZ „Solidarność”, za co po 13 grudnia został internowany.

W sierpniu 1985 r. oraz 1986 r. piketował sklepy monopolowe w ramach akcji Ruchu Otrzeźwienia Narodu, za co siedział dwukrotnie w więzieniu na Służewcu. Żył w ubóstwie. Odżył po 1989 r. Trafił do „Tygodnika Solidarność” i tu już działał do końca swej dziennikarskiej aktywności. Gdy w 1991 r. trafiłem do redakcji „Tysola” – już wtedy był postacią legendarną. Szybko odkryłem, ile fascynujących rzeczy umie opowiedzieć o niuansach opozycyjnej Warszawy.

Wiele razy obiecywałem sobie, by zrobić z nim długi wywiad o Warszawie lat 60., o Marcu 1968. Zawsze było coś ważniejszego. Nie zdążyłem.

Wybac, Antku. © ©

GENIALNY SKOK KAMILA STOCHA

W ostatni weekend w niemieckim Oberstdorfie polski skoczek rozpoczął walkę o Puchar Świata w lotach narciarskich. Nasz trzykrotny mistrz olimpijski 31-letni Kamil Stoch tydzień wcześniej w drugiej serii konkursu w Sapporo poszybował na odległość aż 148,5 m (na zdjęciu). Historyczny skok poprawił rekord japońskiej skoczni o 4,5 m. Polak wszedł też do światowej czołówki rekordzistów na dużych skoczniach. (jap) © ©



FOT. MATT ROBERTS/GETTY IMAGES

PŁYWANIE W KISIELU

Polska trendsetterem **narodów**RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

My, Polacy, nie potrafimy myśleć o sobie inaczej niż jako o narodzie wyjątkowym. Jeśli nie możemy sobie przypisać tej wyjątkowości – że tak powiem – in plus, to przynajmniej przypiszemy ją sobie in minus. „Dziki kraj, dziki kraj!” – że zacytuję „Jurka” Owsiaaka. No, takiego jak tu u nas absurdu, takiego bardaku, krótko mówiąc:

Przemoc i wzajemna nienawiść są dzieckiem rewolucji, której próbowali dokonać „dzieci Marksa i coca-coli”

„czegoś takiego” jak w Polsce nie ma nigdzie na świecie – chwali się przed światem nawet taki, który się do jakichkolwiek „dusznych oparów polskiego mesjanizmu” nie przyznaje, nie zauważając, że przewrotnie oddaje im w ten sposób hołd.

Na tej fali przyjęło się ostatnio mówić, że Polska jest „szczególnie podzielona”, że takiej wzajemnej nienawiści, która panuje tutaj między PiS a PO, szczególnie od czasu tragedii w Smoleńsku, to nigdzie na świecie, nigdy... No, może poza Hutu i Tutsi. Ale kto by się tam porównywał z Afryką.

Otóż nie, mili państwo, nie pozwalajcie znajomym pleść tych bzdur. Pytajcie uprzejmie, czy ci, którzy je powtarzają, widzieli, jaką nienawiścią darzą amerykańskie elity prezydenta Trumpa i jego wyborców. Czy widzieli, jak De Niro krzyczy: „F...k Trump!”, a sala pełna luminarzy wściekle mu za to bije brawo? Czy nie wiedzą, co się dzieje we Francji, gdzie od tygodni krew leje się w każdy weekend? Czy nie wiedzą o pobiciu działacza AfD w Niemczech, o bandyckich najściach i pogrózkach tzw. antyfy, terroryzującej kraje Zachodu z cichym przyzwoleniem

rzządzających, nie tylko w mających szczególne tradycje politycznej przemocy Niemczech, lecz także w coraz bardziej faszystowskiej Wielkiej Brytanii, gdzie ofiarą tejszej przemocy padły niedawno polskie Targi Książki?

Wistocie przemoc i wzajemna nienawiść są dzieckiem rewolucji, której próbowali dokonać na całym Zachodzie „dzieci Marksa i coca-coli”, dufne w siłę, którą dawało im opanowanie opiniiotwórczych elit, mediów i salonów. Podział i nienawiść są efektem narzucania całym krajom absurdałnego „ideolo”. Po prostu.

A dlaczego u nas pojawiły się wcześniej? Ponieważ u nas zawsze wcześniej. Już dawno to tłumaczyłem: Polska nie jest zacofana, nie jest „sto lat za małpami”, przeciwnie, Polska jest „trendsetterem” Zachodu. Szkoda, że Zachód tego nie rozumie – mógłby wielu nieszczęśliwych uniknąć. ©©

WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Spekulant **na białym koniu**

Bomba, która miała wybuchnąć wokół „taśm Kaczyńskie-go”, okazała się co najwyżej bombką, ale sprawa ma swoje drugie dno. Reakcja lewicowo-liberalnych komentatorów na ten medialny humbug wskazuje, że nie chodziło bynajmniej o polityczną transparentność, uczciwość, standardy, ale... oburzenie wybuchło, bo okazało się, że tzw. prawica też umie w biznes. Skandal. Intratne interesy są wszak zastrzeżone dla ludzi lewicy i dawnych służb.

Ot, weźmy chociażby media. Zawrzało, zatrzęsło się i zawyło szlochem przeraźliwym, gdy okazało się, że lewicowo-liberalny

quasi-monopol na rynku medialnym w Polsce może zostać przełamany, a wśród chętnych – ze sporymi szansami na zakup udziałów Eurozetu, właściciela Radia Zet w Polsce, są ludzie związani z szeroko pojętym środowiskiem konserwatywnym.

Ponoć strach przed przełamaniem medialnej hegemonii na radiowym rynku w Polsce był w środowisku miłośników „wolnego słowa” tak wielki, że udało im się skłonić do przybycia z odsieczą George’a Sorosa, człowieka od brudnych zagrań finansowych. I co się dzieje? Otóż, w momencie, gdy się okazało, że Radio Zet mogą

przejąć wspólnie zespół Agora i czeska spółka SFS Ventures zależna finansowo od jednego z funduszy Sorosa w środowisku lewicowo-liberalnych salonów, nagle zamilkli piewcy pluralizmu medialnego, różnorodności poglądów-sloganów, którymi tak chętnie wcześniej szermowali. Za to pojawiło się pełne aprobaty oczekiwanie, że lewicowy spekulant, który wcześniej wsparł finansowo wydawcę borykającego się z problemami „GW” (przejmując za pomocą funduszu MDIF ok. 11 proc. Agory), teraz zapobiegnie przejęciu części rynku przez prawicową konkurencję. Ot, taki kalizm medialny. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Obskurantstwo

Włoska żandarmeria politycznej poprawności posunęła się w swoim szaleństwie tak daleko, że prześladowanym za rzekomą homofobię musieli przyjść z pomocą geje. Przy okazji wydało się, że epidemia politpopu, naprawdę bardzo groźnej choroby umysłu, dotarła do najwyższych włoskich sfer rządowych.

Dziennik „Libero”, jedna z ostatnich włoskich redut opierających się inwazji sił politpopu, 23 stycznia wyszedł z tytułem na pierwszej stronie „Mało powodów do radości: maleje PKB i spadają obroty. Rośnie za to liczba gejów”. W środku numeru pomieszczono statystyki gospodarcze z analizą i najnowsze dane dotyczące gejów. Wynikało z nich, że rośnie odsetek deklarujących przynależność do grupy mniejszości seksualnych. Redaktor naczelny pisma „Gaynews” w wywiadzie zwrócił uwagę, że to efekt rosnącej tolerancji w społeczeństwie, bo geje coraz rzadziej obawiają się skutków coming outu. Jak można było wyczytać w komentarzu, redakcji chodziło właśnie o zwrócenie uwagi na tę ważną społeczną przemianę.

Mimo że nie padło ani jedno obraźliwe czy lekceważące słowo pod adresem gejów, mimo że dziennik ani słowem zjawiska i danych nie komentował negatywnie, rozpętało się piekło: niedopuszczalny akt homofobii! Padły żądania, żeby dziennik zamknąć. Związek Dziennikarzy wyraził oburzenie, a jego komisja dyscyplinarna wdrożyła dochodzenie. Sekretarz stanu Crimi zastanowił się, czy nie wstrzymać dotacji dla „Libero” (we Włoszech prasa jest subwencjonowana), bo „dziennik obraził godność Włochów”. Crimi ma na imię Vito (jak ojciec chrzestny Corleone). Wicepremier Di Maio oświadczył: „Teraz będą pisać swoje kretyństwa bez dotacji z budżetu”.

W końcu w obronie „Libero” stanęli naczelny „Gaynews” i najsłynniejsza włoska drag queen, pan Maurizio Coruzzi. Powiedzieli, że kampania przeciw „Libero” to kompromitujący wyraz obskurantyzmu, nietolerancji i pospolitej głupoty. Zapadło pełne zażenowania milczenie. Komisja związku żurnalistów dalej jednak prowadzi swoje dochodzenie. Żandarmi politpopu zawsze wiedzą lepiej. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KONDOLENCJE

Alicji Pater

wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

śp. Mamy

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”

KONDOLENCJE

Tomaszowi Lenczewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

śp. Ojca

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Bomby taśmowe

Internet i polityka karmią się plotką. A jeśli jedna z nich obiecuje detronizację wszechmocnego Jar Kacza, emocje sięgają zenitu. „Niestety, nie zdążyliśmy podnieść nakładu jutrzejszego wydania »Wyborczej«». A zatem jeśli ktoś nie ma jeszcze naszej cyfrowej prenumeraty (zawsze można wykupić), to spacer do kiosku rekomenduję z samego rana” – przestrzegął Jarosław Kurski. „Jak już będziecie szli do kiosku po »Wyborczą«, to przypominam, że do części egzemplarzy »Newsweeka« (wywiad z Magdaleną Adamowicz) dołączona jest moja książka. Polecam pakiet ;)” – przekonywał świadomy powagi chwili Tomasz Lis.

Sytuacja z godziny na godzinę gęstniała.

„W moim mieście pod kioskami ludzie rozkładają namioty, działacze KOD podpalają koksowniki i przynoszą wigilijny paszтет, głośne czytanie konstytucji ma rozpocząć się od północy. Napięcie sięga zenitu, bomba wybuchnie!” – donosił z terenu jeden z internautów. „U mnie na osiedlu policja już ochrania kiosk. Spora grupa mężczyzn i kobiet wyraża pięściami w stronę kordonu i krzyczy »Dawać «Wyborczą»!«. Napięcie rośnie” – raportował były fotograf prezydenta Andrzej Hrechorowicz.

Równocześnie w sieci pojawiały się pierwsze przecieki i fotografie,

portretujące historię piszącą się na naszych oczach. „Jarosław Kurski (wice naczelny »Wyborczej«), Wojciech Czuchnowski i Iwona Szpala (autorzy materiału o interesach prezesa PiS) oraz Piotr Stasiński (wice naczelny »Wyborczej«) czytają czołówkę przed drukiem. Zdjęcie wykonane przez Vadima Makarenko” – zatweetowała „Wyborcza”. A można było prościej, np. „Patos w czystej postaci. Koloryzowane”.

A potem... gazeta ujrzała światło dzienne, a wraz z nią, jak stwierdził Michał Kolanko, „dźwięk powietrza ulatującego z balona”. „Jeśli uważasz, że na tych nagraniach nic nadzwyczajnego nie ma, to znaczy, że nie musisz jechać na Wschód. Już tam jesteś i masz go w sobie” – oburzył się na społeczeństwo Tomasz Lis. „Minę kogoś, kto wczoraj specjalnie wykupił dostęp do »Wyborczej«, najbardziej chciałbym zobaczyć” – dodał Marcin Horała. No cóż. Takie mamy media. ©

Pomagał w zamian za usługi



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

CBA zatrzymało trzech biznesmenów. Według śledczych mieli korumpować posła Stefana Niesiołowskiego. W zamian za kontrakty w spółkach Skarbu Państwa mieli opłacać mu prostytutki. Prokuratura wystąpiła o uchylenie posłowi immunitetu.

Trzej biznesmeni – Bogdan W., Wojciech K. i Krzysztof K. – zostali zatrzymani w Łodzi i Konstantynowie Łódzkim. Według CBA w zamian za korzyści oferowane posłowi otrzymywali lukratywne zlecenia od spółek Skarbu Państwa, jak również korzystne dla siebie decyzje w samorządzie łódzkim i państwowych instytucjach.

Z oficjalnego komunikatu prokuratury wynika, że z opłaconych przez biznesmenów prostytutki Niesiołowski korzystał wielokrotnie od stycznia 2013 r. do końca 2015 r. „W efekcie starań Stefana Niesiołowskiego spółki, operujące dotąd w branży restauracyjno-hotelarskiej, uzyskały intratne kontrakty na dostawy miazgu węglowego i fosforytów dla Grupy Azoty Zakłady Chemiczne Police SA” – poinformowała prokuratura, która już przesłała do marszałka Sejmu wniosek o uchylenie posłowi immunitetu.

Według doniesień medialnych parlamentarzysta miał korzystać z usług

prostitutek ok. 30 razy. Biznesmeni mieli też zorganizować mu lokal przeznaczony na spotkania z kobietami, a w podsłuchanych rozmowach telefonicznych nazywali posła „jurnym Stefanem” i rozmawiali o tym, że w rzeczonym lokalu zarwał łóżko. Portal wPolityce.pl ustalił z kolei, że polityk podczas spotkań z kobietami w wynajętym lokalu miał żądać fasolki po bretońsku.

– Żadnych łapówek nie brałem i nie dawałem – oznajmił dziennikarzom w Sejmie Stefan Niesiołowski. – Tu chodzi o przykrywkę, ta afera jest po to, by przykryć Kaczyńskiego, jego taśmy. Prosta, banalna sprawa. Wymyślili wielką operację – mówił wyraźnie przybity Niesiołowski.

Niesiołowski poinformował władze swojej partii, że jest gotów zrzec się immunitetu.

Stefan Niesiołowski współtworzył Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Po raz pierwszy wszedł do Sejmu w 1989 r. z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, potem reprezentował AWS. W 2005 r. został senatorem z rekomendacji PO i do 2016 r. należał do tej partii. Dzisiaj należy do klubu parlamentarnego PSL-Unii Europejskich Demokratów. © (anie)

TYGODNIK LISICKIEGO NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY

„Do Rzeczy” było najczęściej cytowanym tygodnikiem w Polsce w 2018 r. – wynika z najnowszego raportu Instytutu Monitorowania Mediów. Nasz tytuł był cytowany aż 3030 razy i w zestawieniu tygodników i dwutygodników opiniotwórczych wyprzedził „Sieci” (2907 cytowań), polską edycję „Newsweeka” (2662 cytowania), „Gazetę Polską” (2539 cytowań) oraz „Wprost” (2290 cytowań). Ten wynik jest wyraźnie lepszy niż w roku 2017, gdy tygodnik „Do Rzeczy” zajął trzecie miejsce z 1280 cytowaniami.

Badanie przeprowadzono na podstawie ponad 300 tys. przekazów z różnych mediów w okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 2018 r. Analiza obejmuje ponad tysiąc gazet i czasopism oraz stacje telewizyjne i wybrane programy w rozgłośniach radiowych. © (jap)

ZABÓJCZE ARKTYCZNE MROZY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Rekordowe mrozy w USA zebrały śmiertelne żniwo. Wir polarny zabił co najmniej 20 osób. Atak zimy sparaliżował również transport kolejowy oraz lotniczy. Władze trzech stanów ogłosiły stan wyjątkowy.

W niektórych miejscach Ameryki było zimniej niż w biegunie północnym. W Chicago w Illinois (na zdjęciu) odnotowano –45 st. C, w Minneapolis w Minnesocie –51 st., a w mieście Grand Forks na wschodzie Dakoty Północnej odnotowano –54 st. C. W wielu miastach temperatura wynosiła –30 st., ale z powodu silnego wiatru temperatura odczuwalna wynosiła poniżej –50 st. C. Eksperci ostrzegali, że w takich warunkach groźne odmrozenia pojawiają się po zaledwie 10 minutach przebywania na dworze. © (jap)



FOT. SCOTT OLSON/GETTY IMAGES



TRUMP OSTRZEGA DEMOKRATÓW

– Dyskusje na temat sensowności budowy muru na amerykańsko-meksykańskiej granicy to strata czasu – przekonuje prezydent Stanów Zjednoczonych. Donald Trump ostrzegł jednocześnie liderów Partii Demokratycznej, że jeśli do 15 lutego Kongresowi nie uda się przyjąć budżetu, który przewidywałby 5,7 mld dol. na budowę obiecanego przez Trumpa podczas kampanii muru, to w Stanach Zjednoczonych znów może dojść do zawieszenia prac rządu federalnego. Najdłuższy shutdown w historii USA zakończył się po pięciu tygodniach pod koniec stycznia. Skutki kryzysu politycznego odczuły zaś miliony Amerykanów. Prezydent USA podkreślił też, że mur na południowej granicy, który częściowo już istnieje, „tak czy inaczej” zostanie dokończony. **(jap)** ©



OZNAKI MYŚLENIA NIEPOŻĄDANE



FOT. KAMIL PIKIEWICZ / DDTW / EAST NEWS

Dziennikarka i prezenterka Agata Młynarska w przeciwieństwie do swoich koleżanek z show-biznesu nie boi się mówić, że korzysta z dobrodziejstw medycyny estetycznej. W rozmowie z „Super Expressem” przyznała się do stosowania botoksu. I to od

20 lat! – Robię botoks. Rzadko, bo raz w roku, może raz na cztery, pięć miesięcy. Uważam, że to wystarczająco – mówi. Wspomina, że najgorszy był pierwszy raz. – Trochę bałam się po raz pierwszy. Ale muszę powiedzieć szczerze, moja pierwsza przygoda z botoksem miała związek ze zmarszczką między brwiami. Miałam taką podwójną okropną zmarszczkę. Fatalnie się z tym czułam. Podobno ona robi się od myślenia. Postanowiłam, że wolę na twarzy mniej myśleć, za to dobrze wyglądać. To było już ze 20 lat temu – zdradziła. W sumie racja. Czasem chyba lepiej usuwać wszelkie oznaki myślenia. Po co wprowadzać otoczenie w błąd.

GWIAZDA KONTRA SMOG

Aktorka Grażyna Wolszczak wygrała niedawno proces, który wytoczyła państwu za to, że nie podejmowało wystarczających działań w walce ze smogiem. Sąd uznał to za naruszenie jej dóbr osobistych. Wolszczak tuż po wyroku po raz kolejny opowiedziała też, jak bardzo zmieniło się jej życie przez smog. – Przez smog nie mogę ćwiczyć wspólnie z partnerem. Jako pisarz spędza czas głównie przed komputerem i po prostu musi wychodzić, bo by zwariował. Wsiada na rower lub łapie kijek i rusza na spacer. Nie towarzyszę mu już w tych wyprawach, a jeszcze się martwię o jego zdrowie – opowiada w „Fakcie”. – Moje życie straciło dawną jakość – dodaje. Tymczasem internauci wytykają aktorce hipokryzję, bo w ramach walki ze smogiem do sądu przyjechała



FOT. PAMEL GROMADA

swoim okazałym SUV-em z silnikiem Diesla. – Faktycznie można mnie posądzić o niekonsekwencję – przyznaje Wolszczak. I obiecuje częściej jeździć komunikacją miejską! Ciekawi jesteśmy, jak wpłynie to na jakość życia pani Wolszczak. Ciekawe, jak szybko przeprosi się ze swoim dieslem. I smogiem.

SKROMNA JAK BOŻENKA

Agnieszka Kaczorowska, bardziej znana jako Bożenka z „Klanu”, od jakiegoś czasu bombarduje wszystkich swoim szczęściem. Bo Agnieszka ostatnio wyszła za mąż, a teraz spodziewa się dziecka. Oprócz planowania swojego kanału parentingowego i innych okoliczności biznesowych Agnieszka dzieli się ze światem tajemnicami swojej urody. Aby pokazać, jak wypiękniała, pokazała swoje stare zdjęcia i stwierdziła, że za tym sukcesem stoi miłość do siebie samej. Żadne diety, sporty, wyrzeczenia, nic z tych rzeczy. Tylko miłość! Własna i męża. – Bardzo intensywnie zaczęłam pracować nad prawdziwą miłością do siebie i swojego ciała.

Nie, moje ciało nie zmieniło się po miesiącu. Chociaż po roku już widziałam efekty, nic nie zmieniając w swoim żywieniu czy ilości ruchu – relacjonuje. Agnieszka dodaje, że do tego, iż zaczęła chudnąć i pięknieć bardzo przyczynił się jej mąż. – Tak bardzo pokochał całym sercem i dał poczucie bezpieczeństwa... że moje ciało zaczęło pięknieć z dnia na dzień – opowiada. I tak wypiękniała, że aż umysł nie nadążył!

CHYTRY TRACI DWA RAZY

Piosenkarz Michał Szpak wymyślił sobie genialny, jak pewnie uważa, sposób na dodatkowy zarobek. Stwierdził, że od osób, które przychodzą na jego koncerty, będzie pobierał dodatkowe opłaty za możliwość spotkania, wspólnego selfie czy zdobycia autografu. Jak informuje „Super Express”, sam bilet na koncert Szpaka kosztuje średnio jakieś 120 zł. Za wszystkie inne atrakcje trzeba dodatkowo zapłacić. Ile? Jak ujawnia tabloid, kolejne 170 zł! – Koncert był zaplanowany na godz. 19 – wspomina w tabloidzie jeden z fanów, oburzony praktykami Szpaka. – Od godz. 17 do 18 Michał miał spotkanie w barze teatru z 29 fanami. W ciągu godziny zarobił więc dodatkowe 5 tys. zł – opisuje. Zarobił piątaka, tracąc sympatię reszty fanów, którzy przyszli na koncert. Plus wszystkich tych, którzy przeczytali o tym w tabloidzie. Coż, robienia interesów musi się jeszcze Szpak trochę poduczyć. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, zapoznaliśmy się z aferą taśmową Kaczafiego i jesteśmy zbulwersowani, jak bardzo ten człowiek ponownie podzielił ludzi i okazał nienawiść. Mamy tu na myśli zwłaszcza nienawiść wobec młodszych pokoleń czytelników „Wyborczej”, iż Kaczafi ewidentnie złośliwie tak dobiera słownictwo, żeby mogli oni mało co zrozumieć, w dodatku nie używa wulgaryzmów, co sprawia, że wypowiedzi są trudne do zdekodowania pod kątem emocji. Tym bardziej przerażająca wydaje się wizja demonicznego Kaczafiego, który nie mając konta w banku razem z kotem, snuje plany wykupienia wszystkich wieżowców w Warszawie.

No i w dodatku to mało postępowe zdziwienie na widok dziurawych spodni, czym obraził zapewne większość reporterek i stażystek z „Wyborczej”, które chciały żyć w zgodzie z modą. Teraz spodzie-

wamy się, iż spodnie z dziurami zostaną zakazane w całym tym kraju, skoro sam prezes reaguje na nie: „Ja cię nie mogę”.

Jak tu się dziwić, iż ten kraj zamierzał masowo wybić osobodzik, skoro wcześniej pra-Polacy polowali jako jedyni na świecie na osobomamuty za pomocą ostrej broni? Otóż okazało się, że na terenie Krakowa (jaki dla nas szejm...) naukowcy odkryli szkielet osobomamuta z pozostałością grotu włóczni czy tam strzały. To jedyny taki odkryty przypadek na świecie. Wynika więc z tego, iż współcześni Polacy gen nienawiści wobec zwierząt wyssali z mlekiem osobomatek, a cały ten cykl sięga głębokich mroków średniowiecza, kiedy ten kraj przyjmował chrzest i żyły w nim jeszcze w harmonii ze słowiańską naturą osobomamuty. Eksterminacja dzików okazała się więc po prostu naturalną konse-

kwencją atmosfery, w jakiej żyjemy od kilkudziesięciu pokoleń.

Słyszeliście o nowej minister kultury w Szwecji? To całkiem postępową waginoosobę, która nosi dredy – mogłoby się wydawać. Otóż nie tym razem. Postęp bowiem zatacza coraz szersze kręgi, obejmując jako dyskryminacyjne zachowania, których wcześniej za takie nie uważaliśmy. Okazało się, iż waginozałożycielka amsterdamskiego Muzeum Menstruacji (serio) skrytykowała fryzurę szwedzkiej ministry. „Twoja fryzura to przywłaszczenie kulturowe. W jaki sposób zamierzasz pracować nad zwalczaniem rasizmu w świecie kultury?” – pytała. No i teraz jest nam wstyd za takie przeoczenie. Tylko co teraz? Help!!! ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA



HYMN

SARAH BRIGHTMAN

IN CONCERT



6 LISTOPADA 2019
COS TORWAR WARSZAWA
 BILETY: PRESTIGEMJM.COM

PŁYTA JUŻ W SPRZEDAŻY WWW.SARAHBRIGHTMAN.COM

SWAROVSKI

Prestige
MJM

uta
UNITED TALENT
AGENCY

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

RZECZY

GAZETA BANKOWA

T3

WP

STRÖER

VIXON

PRESS
SERVICE

pap

Uwaga, uwaga, nadchodzi! Miało być na przełomie stycznia i lutego, będzie przez większość lutego. Co? Ogłaszanie nowego programu PiS i nowej „piątki Morawieckiego”. Wiewiórki mówią, że zacznie się 11 lutego od konferencji premiera Mateusza i ministrów, a potem resorty będą przez dwa tygodnie pokazywały swoje wiekopomne plany.

Rzekome zbrodnie rodziny Kaczorleone polegają na tym, że Kaczor Dyktator jest **uczciwy, kumaty, ostrożny i sympatyczny**

Wzwiązku z wiekopomnymi planami trudno rozmawiać nam z rządowymi wiewiórkami, gdyż wszystkie mają czerwone ślepie z niewyspania i są mocno rozkojarzone. Wszyscy w rządzie siedzą bowiem i liczą, na co wystarczy, a na co nie wystarczy. Przypominamy więc uniwersalną zasadę polityki od zarania dziejów: jak mówisz, że dasz, to zawsze powiedzą, że za mało. Jak mówisz, że zabierzesz, to zawsze powiedzą, że za dużo.

Wwiewiórki dużo mówią o sprawach gospodarczych, bo premier Mateusz chce nowymi pomysłami wytrącić argumenty z ręki niewdzięcznym wolnorynkowcom krzyczącym, że PiS łupi przedsiębiorców. Zadajemy nieśmiało, patriotyczne pytanie: A jeśli łupi dla Polski?

Dementujemy natomiast wieści o wielkich planach podwyżek dla emerytów. Podobno kalkulacja jest taka: emeryci rzadko kiedy zmieniają zdanie. Ci, którzy popierają PiS, dalej będą to robić. Ci, którzy nie popierają, zdania nie zmienia, choćby dostali nie wiadomo ile. No to po co marnować pieniądze?

Wgazetach tymczasem huk z powodu taśm „Wyborczej”, na których zarejestrowano rzekome zbrodnie rodziny Kaczorleone. Zbrodnie

polegają na tym, że Kaczor Dyktator jest uczciwy, kumaty, ostrożny i sympatyczny. Faktycznie, szok. Przecież znamy realia III RP i portret jej typowego przedstawiciela jest zupełnie inny. Gdzie się taki wyjątek uchował?

Zżycia Haribo. Zapomnieliście już, ale tak wdzięczni żołnierze ochrzczili Bartłomieja M., kiedy był jeszcze rzecznikiem MON. Otóż Haribo zostałyby zawinięty przez CBA już dawno temu, ale bardzo sprytnie tę akcję opóźniał.

Gdy tylko prokuratorzy mieli już na niego gotowe kwity, to ten podczas kolejnego przesłuchania beztrąsko

obciążał się jeszcze bardziej. Trzeba więc było uaktualniać, pisać kwity od nowa, i tak przez całuski rok. Geniusz. Jednym słowem, geniusz.

Martwimy się o Haribo. A dokładnie o to, co się stanie teraz z jego kolekcją. Ryngrafy, buzdygany, szable, florety, kordziki, wszystko z grawerunkami. Łącznie z prezentami od trzygwiazdkowych generałów. Najnowszym dodatkiem, jak rozumiemy, może być najwyżej zaostrzona więzienna łyżka.

Mało kto pamięta, ale my pamiętamy. W kwietniu 2017 r. informowaliśmy w naszej rubryce, że Haribo z kolegami założyli spółkę, która doi spółki Skarbu Państwa. „Informujemy o tym zawczasu, mając pełną świadomość, że za jakieś dwa, góra cztery tygodni spółkę odkryją »GazWyb«, Wirtualna Polska czy też inne media springerowskie lub parówkowe i będą obwieszczały: »Ujawniamy«!» – pisaliśmy. Nie odkryły. Podpowiadamy kolegom: czytanie poszerza horyzonty. Na przykład czytanie naszej rubryki.

Zżycia Eine Totalopposition. Ważą się losy koalicji. Nie jednej, ale trzech. Pierwsza to Peło z ogonkiem w postaci Nowoczesnej Kropki. Druga to czerwoni bracia z SLD, zieloni bracia z PSL oraz zielona guerilla ekologiczna, czyli Zieloni. Koalicja nr 2 też chciałaby u siebie Nowoczesny ogonek, ale Nowoczesna jest rozdarta. Dośćownie. Koalicja nr 2 niezbyt chciałaby

natomiast przyjąć komunistycznych brodatych drwali z partii Razem. Wolałyby ich popchnąć ku Peło, ale drwale nie chcą i wolą już pogodzić się z Czarszastem, choć to inteligencik i siekiery proletariackiej w życiu nie trzymał. Jest i koalicja nr 3 – Roberta z Biedroniem. Wszystkim życzymy szczęścia i pomyślności. Zaslugują na więcej. Oczywiście na więcej rozmaitych koalicji.



FOT. ROBERT CAROZINSKI

dwaj panowie g

Zżycia Włodzimierza Czarzastego. Żywi on nadzieję, że Włodzimierz Cimoszewicz, wracając do polityki (której – jak wiadomo – nigdy nie opuścił, ale to drobiazg), zostanie gwiazdą list wyborczych lewicy. Czarzasty spotkał się w tym celu z Cimoszewiczem i długo konferował. Niestety, los starego nomenklaturowego Władka nie leży w rękach młodszego sweterkowego Władka, lecz w łapskach Ludojada Schetyny. Ten bowiem też chciałby mieć Cimoszewicza na listach, a argumenty ma lepsze.

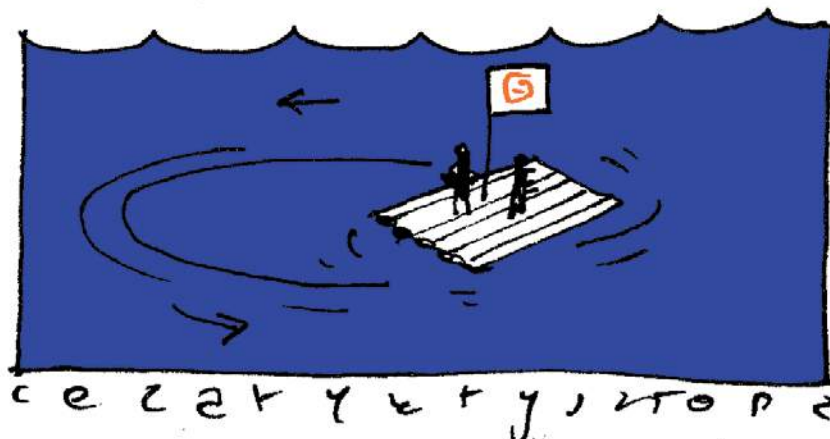
Jurny Stefan. To piękna ksywa. Lepsza niż Stefan Biały Nos albo Stefan Muchołapski. Tym mocnym akordem do historii przechodzi właściciel niewyparzonego języka z miasta Łodzi, miłośnik szczawiu i mirabelek, wróg pornogrubej Kwaśniewskiego i Kalisza. Informacja o seksualnych podbojach Jurnego Stefana ściśle powiązanych z przysługami dla zawiniętych przez CBA biznesmenów zdumiała wszystkich poza byłymi kolegami Stefana z Pełko. Najwyraźniej Grzegorz Eremita Schetyna wiedział, co robi, rezygnując z usług Jurnego Stefana.

Jurny Stefan miał przyjmować korzyści osobiste w postaci usług seksualnych tak intensywnie, że załamało się łóżko. To wiedzą już wszyscy. My jednak ustaliliśmy, że jedna z tych korzyści była specyficznego rodzaju. Otóż jeden z łapówkodawców miał stręczyć Stefanowi własną żonę.

Ważna wiadomość dla czytelników śledzących sprawę międzynarodowe. To nieprawda, że na konferencji bliskowschodniej organizowanej w Polsce przez Wielkiego Szejtana Amerykę i Małego Szejtanka Polskę zabraknie przedstawiciela Iranu. Jego rolę ma potajemnie odgrywać przedstawiciel Turcji. Informację tę podajemy głównie po to, by wystraszyć redakcję na Czerskiej. Oni mdleli już na dźwięk hasła: „Budapeszt w Warszawie”. Pomyślcie, co będzie, gdy usłyszą: „Ankara w Warszawie, i Teheran też”.

Apropos spraw międzynarodowych. Komwojażer motyl Emmanuel Macron wiosną przybędzie do Warszawy, żeby sprzedać Polsce jakieś okręty podwodne albo przynajmniej elektrownię atomową. Być może coś jeszcze

Po zerwaniu konserwatywnej kotwicy Platforma skryć w lewo...



innego, ale tak czy inaczej trzeba mieć w pogotowiu luźne 10 mld euro. Mamy nadzieję, że rząd premiera Mateusza będzie negocjował roztropnie. Z Francuzami nigdy nic nie wiadomo, w końcu to oni wplątali Amerykanów w wojnę w Wietnamie.

**Jurny Stefan.
To piękna ksywa.
Lepsza niż Stefan Biały Nos
albo Stefan Muchołapski**

Tymczasem w MSZ odkryto bardzo ciekawą rzecz. Jak wiadomo, Korea Północna to kraj, w którym nieustannie dochodzi do przerw w dostawie prądu. Działające tam ambasadę skazane są więc na zasilanie z agregatów. Za minionego reżimu Pełko zamówiono dla polskiej ambasadę takie awaryjne zasilanie. Maszyny padły po zaledwie dwóch miesiącach wytężonej pracy. A każda kosztowała ćwierć bańki. A nawet więcej. Ktoś bowiem zmienił umowę. Suma pozostała, ale waluta się zmieniła. I tak złotówki zmieniły się w euro. Poszukiwania sprawców trwają. Bynajmniej nie w Korei Północnej.

Natomiast z północnej, ale Ameryki, nie Korei, przybyły do nas cywilizacja i kaganiec oświaty dla ciemnych Polaków. W IPN pojawiła się delegacja Muzeum Holokaustu z Waszyngtonu, by przekonać Polaków, że za frajer powinni im przekazywać 300 tys. stron kopii akt z IPN. Zażądali spotkania z szefostwem IPN. Pod jednym wszakże warunkiem: że nie będzie to prezes Jarosław Szarek, bo to wstrętny nacjonalista. Ostatecznie zgodzili się, by był to wiceprezes Mateusz Szpytma. Do tej pory myśleliśmy, że Szarek to kosmopolita, ale teraz musimy zmienić zdanie.

Wiecie, kto to jest Anna Sikorska? My do niedawna też nie wiedzieliśmy. Ale uświadomili nam to kumple ze Straży Granicznej. Pani o takim nazwisku regularnie pojawia się na bramce dla VIP-ów, legitymując się polskim paszportem dyplomatycznym. Otóż okazało się, że Radzio Sknerus Sikorski, będąc szefem MSZ, kazał wystawić małżonce znanej powszechnie jako Applebaum paszport zwalniający z takich uciążliwości jak stanie w kolejce do odprawy. Ale co tam! Przecież wszyscy wiemy, że pani Anna czy też Anne, znana z łamów nowojorskich czy waszyngtońskich dzienników, jest prawdziwą ambasadorką Polski. A że jest to Polska, która minęła ponad trzy lata temu... nie bądźmy drobiazgami. ©©

To miała być wielka, dziennikarska sensacja. Niektórzy „taśmy Kaczyńskiego” zapowiadali jako medialną bombę, która zmieni w naszym kraju polityczną rzeczywistość. Zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” kilka godzin przed publikacją w mediach społecznościowych tłumaczył, że: „Niestety, nie zdążyliśmy podnieść nakładu jutrzejszego wydania”. I namawiał, by już wcześniej rano udać się do kiosków. Jego współpracownicy namawiali na wykupienie elektronicznej prenumeraty.

Już we wtorek okazało się, że okładowy materiał „GW” sensacyjny nie jest. Nawet część bliskich środowisku „GW” dziennikarzy wytykała, że nie znalazła w nim żadnych „aferyalnych” informacji, które mogłyby wstrząsnąć sceną polityczną. Komentatorzy kpili też, że odwrotnie do zapowiedzi, materiał ocieplił wizerunek prezesa PiS, a jedyną aferą, jaką ujawnił, są prawdopodobnie działania warszawskiego magistratu kierującego się przy wydawaniu decyzji względami politycznymi.

Materiał „Wyborczej” był dziennikarską porażką: pomyłono w nim terminy i pojęcia, przygotowano go wyłącznie w oparciu o jedno źródło, a całość sprawiała wrażenie wrzutki zrealizowanej przez pełnomocnika jednej ze stron sporu wokół spółki Srebrna.

To już kolejna sytuacja, gdy – po analizie pojawiających się w przestrzeni publicznej opiniach i komentarzach – można odnieść wrażenie, że politycznie zaangażowane dziennikarstwo „Gazety Wyborczej” w wojnie z PiS skutkuje materiałami, które obracają się przeciw dziennikowi. Może dlatego, że to walka, w której rzetelność dziennikarska, standardy prowadzenia śledztw dziennikarskich zaczęły ustępować miejsca politycznemu zaangażowaniu.

TRZY STRZAŁY, TRZY SAMOBYJE

„Mamy tajny list do premiera Morawieckiego” – ogłosiła „GW” w czerwcu ubiegłego roku, w artykule Wojciecha Czuchnowskiego i Małgorzaty Kolińskiej-Dąbrowskiej. Przekonywała, że dysponuje dokumentem, który do szefa rządu miał wysłać zamieszany w głośną aferę GetBack Krzysztof K., prezes tej spółki. K. domaga się w nim wsparcia przez państwo upadającej spółki, co gazeta przedstawia jako rzekomy dowód na powiązania między rządem a aferzystami. List znany był już kilkanaście dni wcześniej, a „Wyborcza”



Wojciech Wybranowski

„Gazeta Wyborcza”, która przekonywała: „Nam nie jest wszystko jedno”, w wojnie ze Zjednoczoną Prawicą rzuciła na szalę rzetelność i wiarygodność. Poności spektakularne porażki



Pukawka

pomyliła adresatów. W rzeczywistości miał on bowiem zostać wysłany nie do premiera Morawieckiego, a do lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego. No i nie było w nim nic „aferyalnego”.

„Wygląda na to, że zamiast listu do premiera Morawieckiego opublikowaliśmy list do prezesa Kaczyńskiego (też nazwanego »premierem«) – przyznał ostatecznie Wojciech Czuchnowski. A kiedy minister Michał Dworczyk, bliski współpracownik szefa rządu, nazwał sprawę żenującą i zapytał, kiedy „GW” zamierza za pomyłkę przeprosić, usłyszał od dziennikarza, że „jest obciachowy”.

„Gazeta Wyborcza” musiała już jednak publikować sprostowanie do innego z artykułów. W tekście „Układ radomski PiS. Jak ukręcono łeb korupcyjnemu śledztwu CBA” zasugerowano, jakoby w 2016 r. CBA miało materiał do postawienia zarzutów korupcyjnych dwóm posłom PiS – Andrzejowi Kosztowniakowi i Krzysztofowi Sońcie, ale po zmianie władzy sprawę wobec nich wyciszono. Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał zamieścić gazecie na pierwszej stronie sprostowanie, uznając, że tezy postawione przez autorów artykułu były bezzasadne.



z gazety

Już po wybuchu afery reprivatyzacyjnej i licznych zatrzymaniach realizowanych przez CBA, na łamach „Gazety Wyborczej” umieszczono też artykuł ilustrowany zdjęciem sprzed lat, oparty na opowieści brata jednego z głównych zatrzymanych w aferze reprivatyzacyjnej. Przekonywano w nim, że szefów CBA łączy dobra znajomość z Jakubem R. odpowiedzialnym w stołecznym ratuszu za reprivatyzację. Miało to dyskredytować funkcjonariuszy służb tropiących przekręty reprivatyzacyjne.

– Sposób, w jaki autor tego artykułu – Wojciech Czuchnowski – atakuje

mnie i środowiska kojarzone z Prawem i Sprawiedliwością wymykają się wszystkim standardom dziennikarskim – mówi nam minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych.

Gdy w „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł Czuchnowskiego o rzekomych związkach szefostwa CBA z „reprivatyzatorami”, dziennikarz zamieścił na swoim Twitterze wpis, w którym zajął się fizjonomią Wąsika. Napisał: „[...] Do tego – to już prywatna uwaga – z facjatą Wąsika (inna część ciała w miejscu twarzy) trudno o jakikolwiek autorytet”.

Jeszcze w listopadzie 2015 r., kiedy prezydent Andrzej Duda ułaskawił Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i Ernesta Bejdę – szefów CBA w okresie rządów PiS – Czuchnowski napisał: „Tak działa państwo mafijne”. Partia Kaczyńskiego wytoczyła mu proces, a sąd (prawomocnym już wyrokiem) nakazał publikację przeprosin.

JAK TO NA WOJENCIE ŁADNIE...

Kiedy patrzeć na ręce władzy i rozliczanie rządzących w „GW” przekształciło się w polityczną wojnę z PiS? Wydaje się, że pierwsze symptomy były wyraźne w 2015 r. W tamtym roku, dwa dni przed wyborami do parlamentu, gazeta z ulicy Czerskiej opublikowała okładkowy tekst, w którym przekonywała, że zwycięstwo PiS może zagrozić demokracji. „Wprowadzenie obietnic wyborczych PiS – 500 zł na dziecko, obrona przywilejów branżowych, zwłaszcza trwałe nierentownych kopalń, cofnięcie reformy emerytalnej koniecznej z powodu coraz dłuższego życia Polaków – zrujnowałoby finanse publiczne” – straszono.

Publikacja została przez wielu komentatorów wyśmiana jako „histeria” i „straszenie PiS”. Cztery lata później można mieć pewność, że była też mocno na wyrost. Na początku stycznia tego roku Bank Światowy poprawił ocenę Polski, podnosząc prognozę PKB naszego kraju na 4 proc., a renomowana agencja ratingowa Fitch utrzymała ocenę zdolności kredytowej Polski na poziomie „A-” (stabilna). Co więcej – miniony, 2018 r. Polska zakończyła deficytem budżetowym na poziomie 10–11 mld zł, czyli o 30 mld zł niższym niż planowano.

– Przed wyborami od wielu lat straszili PiS-em. Przypomnę okładkę z piątku przed ciszą wyborczą w 2015 r.: stawką jest demokracja czy coś w podobnym stylu. A po wyborach co chwilę objawiał im się „pożar Reichstagu”. Tyle że dziś ta obsesja nasila się niebezpiecznie – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Stanisław Żerko, naukowiec z poznańskiego Instytutu Zachodniego UAM. Gdy kilka dni temu krytycznie w mediach społecznościowych ocenił „afere taśm Kaczyńskiego”, publicysta „GW” Paweł Wroński napisał do niego: „Mógł się panu zlasować”.

Przerazająca wizja kraju zrujnowanego przez PiS była pierwszą salwą w politycznej wojnie, którą wytoczyła obozowi Zjednoczonej Prawicy bliska dzisiejszej opozycji „GW”.



Redaktorzy „Gazety Wyborczej” przygotowujący tekst zapowiadali jako medialną bombę, która zmieni w naszym kraju polityczną rzeczywistość. FOT. TWITTER/GAZETA WYBORCZA

Jesienią 2015 r. powstał firmowany nazwiskiem Mateusza Kijowskiego Komitet Obrony Demokracji (KOD). Miał animować i organizować antyrządowe wystąpienia pod wspólnym szyldem niekojarzącym się z partiami politycznymi. „GW” nawoływała w ówczesnym tekście: „KOD do demokracji”. W listopadzie 2015 r. ujawniliśmy na łamach „Do Rzeczy” fragment listu, który współpracownik „Gazety Wyborczej” Maciej Orłowski skierował do aktywistów KOD. Wynikało z niego, jak redakcja angażowała się w promocję organizacji. „Chcemy pociągnąć temat [...]. Czy mają państwo przykład prawicowego hejtu/ataków/czegoś w tym rodzaju? [...]”. Prosił też o podanie motywacji osób, które do KOD przystąpiły. I otwarcie przyznawał: „Lepsze będą odsyłacze, bo nie chciałbym, żeby wyglądało to tak, że gazeta kreuje pewne wypowiedzi. Aczkolwiek też ujdzie, w końcu możemy się państwa zapytać o zdanie” – napisał.

W czerwcu 2016 r. „GW” dołączyła do weekendowego wydania deklarację przynależności do organizacji Kijowskiego. „Wstęp do KOD” – namawiała wielkimi literami gazeta Adama Michnika. Dziennik promował wszystkie antyrządowe wystąpienia tej organizacji do momentu, gdy „Rz” i Onet ujawniły, że KOD był w zasadzie skarbonką dla Mateusza Kijowskiego i jego współpracowników.

POSKARŻYĆ SIĘ SĄSIADOM

Wczesną wiosną ubiegłego roku redaktor Adam Michnik napisał ostry

esej dla niemieckiej gazety „Die Welt” znanej z niechęci do centroprawicowego rządu w Polsce. „Upiory totalitaryzmu powróciły, z całą pogardą dla pluralizmu, państwa prawa, równości” – grzmiał. Przekonywał, że w Polsce nastąpił wzrost homofobii i ksenofobii, a Jarosław Kaczyński, Marine Le Pen, Donald Trump i Władimir Putin tworzą wspólny front przeciw demokracji. Naczelny „Wyborczej” przekonywał swoich niemieckich czytelników, że polskie władze postępują względem niektórych artystów podobnie jak Sowietów wobec Solżenicyna czy Pasternaka.

Także w maju ubiegłego roku Michnik zdecydował się na przeniesienie wojny z PiS na forum międzynarodowe. Okazją był Europejski Kongres Prasy w Wiedniu. Szef „GW” wygłosił przemówienie, w którym padały kuriozalne zarzuty. – Węgry Viktora Orbána i Polska Jarosława Kaczyńskiego są zapatrzone w Putinowską Rosję. [...] W tych krajach mamy potiomkinowską wioskę instytucji demokratycznych, parlament, trybunał konstytucyjny, publiczne media, ale to iluzja, bo o wszystkim decydują Putin i jego kamaryla albo Orbán czy Kaczyński i ich otoczenia – oskarżał Michnik.

Jest i sprzężenie zwrotne. Jednak pozorne. Bo „Gazeta Wyborcza”, sięgając po rzekomy głos Europy w sprawie Polski, często przytacza publikacje osób z nią związanych. W takich sytuacjach też strzela sobie w stopę.

Latem 2016 r. wiceszef „GW” Jarosław Kurski i publicysta Piotr Stasiński

udzielili wywiadu Chrisowi Hedgesowi, wcześniej dziennikarzowi „The New York Times”, a obecnie blogerowi związanemu z kremłowską telewizją propagandową Russia Today. W wywiadzie zarzucili rządowi PiS promowanie nacjonalizmu, ograniczanie demokracji i łamanie prawa człowieka. Propagandysta Putinowskich mediów wykorzystał to do ataku na Polskę. – Nie wiedzieliśmy, że Hedges współpracuje z Russia Today, a on nie zdradził nam tego faktu. Gdybyśmy to wiedzieli, oczywiście odmówilibyśmy spotkania – tłumaczył się potem Jarosław Kurski w rozmowie z Onetem.

Przenoszenie własnych politycznych animozji związanych z wewnętrzną sytuacją w Polsce na forum międzynarodowe stało się w „GW” zjawiskiem niemal powszechnym. Jedną z dziennikarek „GW” skarżyła się niemieckiemu portalowi Ostpol.de, że politycy PiS nie chcą z dziennikiem rozmawiać, przez co dziennikarze muszą sięgać do źródeł nieoficjalnych. Z kolei Paweł Wroński i Roman Imielski zostali blogerami lewicowej gazety „Die Zeit”, przekonując sąsiadów w tytule jednego z tekstów, że w Polsce powstaje „totalitarne państwo” (szybko słowo „totalitarne” zastąpiono słowem „nowe”).

OCZY SZEROKO ZAMKNIĘTE

Wydarzeniem, które stało się ikoną upolitycznienia „GW”, była niedawna akcja przeprowadzona w mediach społecznościowych przez jednego z internautów. Założył on sobie fałszywe konto „Donald Tusk” i zwrócił się do zastępcy redaktora naczelnego „GW” Jarosława Kurskiego słowami: „Jarku, gratulacje!! Robisz doskonałą robotę. Obiektywizm »Gazety Wyborczej« wielu poraża. Ale tak się dzieje, gdy komuś obce są lub nie potrafi zrozumieć tolerancyjnych wartości europejskich i liberalnej demokracji, dzięki której Polska i »Gazeta Wyborcza« tak dobrze sobie radzą”.

Publicysta „GW” połknął haczyk. Zareagował szczerym zachwytem i ciepłymi słowami pod adresem domniemanego Tuska: „Dziękuję Donaldzie za słowa, których adresatem jest cały znakomity zespół @gazeta_wyborcza. Dziś w PL obrona liberalnej demokracji, wolności słowa i praw człowieka wymaga charakteru. Ani Tobie, ani nam go nie brakuje, o czym na co dzień świadczą złe emocje tzw. drugiej strony”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ogrzewanie niedocieplonego budynku stanowi ponad 70 proc. kosztów utrzymania nieruchomości.

Jak płacić niższe rachunki?

Państwowy bank wspiera spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe w ocieplaniu i remoncie budynków mieszkalnych na warunkach korzystniejszych niż rynkowe.

Zarządcy nieruchomości oraz lokatorzy budynków często zastanawiają się, skąd wziąć pieniądze na ocieplenie ścian budynków oraz stropów, wymianę stolarki okiennej i drzwiowej, wymianę oświetlenia na energooszczędne czy unowocześnienie systemów grzewczych. Na wszystkie te inwestycje można uzyskać korzystne pożyczki w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pożyczki unijne na poprawę efektywności energetycznej pozwolą także na sfinansowanie takich inwestycji jak instalacja lub modernizacja wentylacji lub klimatyzacji w budynku, montaż systemów zarządzania energią (tzw. inteligentny budynek) oraz wyko-

rzystanie technologii OZE (jeśli wynika to z audytu energetycznego).

EFEKTYWNOŚĆ ENERGETYCZNA TO REALNE OSZCZĘDNOŚCI

Ogrzewanie niedocieplonego budynku stanowi ponad 70 proc. kosztów. Aby obniżyć wysokość opłat, warto zainwestować w działania poprawiające efektywność energetyczną, takie jak np. ocieplenie ścian, wymiana okien czy zastąpienie indywidualnego pieca przyłączem do sieci ciepłowniczej miasta. W przypadku takich inwestycji BGK oferuje trzy produkty. Są to: Pożyczka na efektywność energetyczną, Pożyczka termomodernizacyjna oraz Jessica2.

Zaletą wspomnianych pożyczek w porównaniu z innymi środkami, które można uzyskać na poprawę efektywności energetycznej, jest szerszy zakres inwestycji. Pieniądze można pożyczyć m.in. na montaż różnorodnych form odnawialnych źródeł energii (OZE), takich jak panele fotowoltaiczne, kolektory słoneczne (solar), pompy ciepła, a także rekuperatory (odzyskujące ciepło z powietrza wydostającego się z budynku) czy wykorzystanie kogeneracji (jednoczesnego wytwarzania ciepła i energii elektrycznej).

SEKRET DOBREGO ZARZĄDCY

Pożyczka termomodernizacyjna, Pożyczka na efektywność energetyczną oraz pożyczka Jessica2 to odpowiedź na trudno dostępne kredyty komercyjne dla instytucji mieszkaniowych. Zaletą produktów BGK są też korzystniejsze niż rynkowe warunki.

Wartość udzielanego wsparcia może sięgać nawet **10 mln zł**, a okres spłaty aż **20 lat**. Oprocentowanie pożyczki wynosi od zera do zaledwie **0,56 proc.**, a do tego bank nie pobiera prowizji za jej przyznanie. W razie potrzeby **spłata kapitału może zostać zawieszona na okres 18 miesięcy** od jej uruchomienia.

Tak atrakcyjne warunki finansowania oraz oszczędności wynikające z modernizacji budynku sprawiają, że pożyczka może w ogóle nie obciążać bieżących kosztów wspólnoty lub spółdzielni. Z Pożyczki termomodernizacyjnej i Pożyczki na efektywność energetyczną skorzystały już 32 instytucje mieszkaniowe, a z pożyczki Jessica2 zostało sfinansowanych 17 projektów.

JAK OTRZYMAĆ PIENIĄDZE?

Informacja jak uzyskać pożyczkę oraz kto jej udziela dostępna jest na stronie rpo.bgk.pl. Zapraszamy również do kontaktu telefonicznego:

- w przypadku woj. wielkopolskiego – (61) 885 31 00;
- w przypadku woj. łódzkiego, opolskiego, małopolskiego, podlaskiego i dolnośląskiego – (22) 599 81 00.

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie pożyczki zależy od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.



Piotr Semka

Cała operacja z taśmami Kaczyńskiego przekracza wszelkie dotychczasowe granice manipulowania prawdą. Chodzi o utrwalanie stereotypów, trafiających do wyobraźni zarzutów i grę na ludzkiej zazdrości o bogactwo

Medialno-polityczna burza wokół nagrań z rozmów Jarosława Kaczyńskiego z Geraldem Birgfeldnerem doskonale ilustruje obecny styl konfliktów w polskiej polityce. Platformie Obywatelskiej i jej medialnym sojusznikom chodzi w niej głównie o grę na emocjach, utrwalanie paru dyskredytujących haseł mających zapaść w pamięć wyborcom. Wszystko w poszukiwaniu jakiegoś antypisowskiego odpowiednika afery Rywina, która kiedyś podcięła nogi SLD. Teraz chodzi nie tylko o spadek notowań PiS, lecz także o zniszczenie osobistego wizerunku lidera tej partii jako osoby skromnej, ideowej i niedbającej o nabicie sobie kieszeni.

Pierwszą rundę wygrało Prawo i Sprawiedliwość. „Gazeta Wyborcza” i idąca w ślad za jej rewelacjami Platforma przesadziła z buńczuczными deklaracjami, że ujawnione taśmy zmiotą PiS. Do opinii, że sensacje „Wyborczej” są kapiszonem, przychylił się obserwatorzy ze wszystkich stron sceny politycznej, prócz betonowych antykaczyistów. Po gorzkim rozczarowaniu „Wyborcza” i parę innych mediów zmieniły taktykę – skupiono się na paru wątkach, które są dla PiS kłopotliwe, np. na unii personalnej Kaczyńskiego łączącej spółkę Srebrna z jego partią albo na uczestnictwie prezesa Banku Pekao SA w rozmowach prezesa PiS z Austriakiem. Opozycja także przyjęła do wiadomości, że nie będzie jednego morderczego ciosu, który zachwieje PiS. Zamiast tego zdaje się przyjmować taktykę długiego sączenia w uszy Polaków haseł o przekraczającym wszelkie dotychczasowe granice skorumpowaniu rządzącej partii.

Na razie na podstawie tego, co już wiemy, można pokusić się o cztery wnioski ze sprawy taśm Kaczyńskiego.



„Ja cię nie mogę”, czyli wnioski z taśm Kaczyńskiego



wypadkach pozwolono wykupić pisma partiom politycznym.

Fundacja Prasowa „Solidarność”, w której działali politycy Porozumienia Centrum – partii Kaczyńskiego – wykupiła prawa do „Expressu Wieczornego”, Kongres Liberalno-Demokratyczny, część działaczy Unii Demokratycznej związanych niegdyś z Aleksandrem Hallem, nabył „Życie Warszawy”, Konfederacja Polski Niepodległej nabyła dziennik „Sztandar Młodych” i tygodnik „Razem”, a postkomuniści z SdRP – mało wtedy cenioną „Trybunę”.

Z tych nabywców tylko Jarosław Kaczyński potrafił sprawnie sprzedać „Express Wieczorny” i stworzyć spółkę Srebrna, która czerpała zyski z wynajmu nieruchomości pozostałych po dawnym „Expressie”.

Zyski z działalności Srebrnej pozwoliły środowisku Porozumienia Centrum przeżyć okres politycznej dekonstrukcji lat 1993–2001. Z pieniędzy spółki wydawano tygodnik „Nowe Państwo”, z którego wyłoniły się potem czołowe pióra prawicowej publicystyki od Piotra Zaremby i Roberta Mazurka do dzisiejszego szefa Muzeum Powstania Warszawskiego Jana Ołdakowskiego. Srebrna działała w sposób typowy dla Kaczyńskiego – z niejasną strukturą kompetencji, klimatem „zakonu” politycznego, nadrzędną pozycją prezesa i wiecznym balansowaniem na linie wobec niechęci UW, a potem PO. Była jednak trwała, gdy inni swe szanse uzyskane wskutek decyzji Komisji Likwidacyjnej RSW roztrwonili. Nigdy nie była też czynnikiem osobistego wzbogacania się Kaczyńskiego.

Prezes dobrze zapamiętał sobie ciężki okres lat 90. To pozwala zrozumieć, dlaczego mógł chcieć budowy wieżowca. Mógł go traktować jako zabezpieczenie finansowe dla partii na wypadek jesiennego wygranej PO i próby anihilacji PiS.

Jak to? – spytać może ktoś. A dotacje z budżetu? Czyż nie są gwarancją trwania partii nawet w opozycji?

Co będzie, jeśli Platforma po wygranej zlikwiduje jednak dotacje, choćby tylko po to, by zniszczyć PiS? Kaczyński jako lider dużej partii nie chciał ryzykować. Tylko w okresie rządów PiS mógł się starać o kredyt, gdyż pamiętał, że w epoce Kwaśniewskiego czy Tuska prawica na duże kredyty z racji niejawnych nacisków nie miała szans. To, co przedstawia się jako załatwianie po znajomości, mogło być więc skorzystaniem z krótkiej chwili, gdy PiS miał takie same szanse co inni na uzyskanie pożyczki. Jednak po 2015 r.

blokada na kredyt znika, ale pozostała przy wydawaniu zgody przez ratusz pod kontrolą nienawistnej wobec PiS prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz. Gdy Kaczyński to zrozumiał, a szanse na wygraną Patryka Jakiego ocenił w sposób umiarkowany – zaczął się wycofywać z projektu. Wszedł w spór biznesowy z Austriakiem, który odrzucił propozycję rozstrzygnięcia przez sąd. Birgfellner mimo rodzinnych koneksji polecił do Romana Giertycha. Ten już wiedział, jak działać w tej sytuacji.

Dlaczego w rozmowie Kaczyński sam przyznawał, że operacja postawienia wieżowca pod szyldem Srebrnej jest medialnie nie do obrony? Nie jest to dowód na patologiczny charakter przedsięwzięcia, ale efekt świadomości prezesa, że „Wyborcza” jest w stanie rozpętać wokół takiej inwestycji nagonkę mogącą zablokować budowę. W podobny sposób nakręcono w czeskich mediach alarm, że tamtejsi inwestorzy mogą sprzedać Radio Zet prawnicowej Fratrii. I jeszcze jedno – gotowość Banku Pekao SA do kredytowania inicjatywy przedstawiana jest wyłącznie jako wynik presji politycznej. Polityka pewnie grała rolę – tak samo jak za rządów Leszka Millera czy Donalda Tuska, ale pamiętajmy jedno. Budowa wieżowca z powierzchnią biurową w tak atrakcyjnym punkcie stolicy to dla banku interes o wysokim prawdopodobieństwie zwrotu zysków.

I jeszcze jedno. Krzysztof Bosak, polityk narodowców, tak skomentował sprawę: „Pomijając aspekty prawne i etyczne, to gdybym był za PiS, byłoby mi cholernie przykro, że faktyczny przywódca państwa, mający pełnię władzy i możliwość dowolnego reformowania państwa, przez dwa lata na wielu spotkaniach knuje z jakimś Austriakiem w sprawie wieżowca”. Złośliwości Bosaka mimo woli trafiają w sedno sprawy. Władza PiS w Warszawie była i jest ograniczona przez kontrakcję polityczną PO w ratuszu. I dodatkowo jest na wielu politycznych frontach zagrożona siłą kontrakcji medialnej opozycji. To dlatego lider PiS chciał sprawę trzymać w tajemnicy. A to łatwo dziś przedstawiać jako podejrzaną aferę.

WNIOSEK NR 2: Problemy prezesa potwierdzają jego diagnozy. Dominika Wielowieyska z „Wyborczej” w kontekście taśm Kaczyńskiego ironizuje, że „PiS miał zwalczyć patologiczny styk polityki i biznesu, tymczasem sam go tworzy”.

Jej ironia jest głęboko nieuczciwa. Rzecz w tym, że Kaczyński właśnie

WNIOSEK NR 1: „Myśmy wszystko za-pomnieli”. Całą historię spółki Srebrna i taktyki polityczno-biznesowej Jarosława Kaczyńskiego nie sposób zrozumieć bez spojrzenia w przeszłość. Wiedza o sytuacji na styku polityki i mediów w latach 1990–2005 jest w Polsce niemal zupełnie zapomniana.

Dziennikarze „Gazety Wyborczej”, opowiadając o powstaniu spółki Srebrna w 1995 r., zazwyczaj ograniczają się do ogólnikowego określenia, że „Kaczyński i jego koledzy uwłaszczyli się wtedy na komunistycznym majątku”.

Wszystko zaczęło się od powołania w 1990 r. komisji do spraw likwidacji majątku RSW, komunistycznego giganta, który wydawał większość prasy w PRL. Komisja z udziałem ludzi starej władzy i osób wywodzących się z Solidarności (był w niej np. Donald Tusk) uwłaszczała wtedy postkomunistyczne pisma i wydawnictwa wraz z cennym majątkiem – redakcjami i budynkami. Większość gazet, wydawnictw i elementów majątku RSW po uiszczeniu odpowiednich opłat przeszła w ręce starych zespołów, które potworzyły tzw. spółdzielnie redakcyjne. Tylko w paru

■ zderzył się z tym stykiem polityki z biznesem. Sam fakt, że PiS uznał, iż dopóki Warszawą rządzi PO – urzędnicy ratusza nie pozwolą mu na taką inwestycję z przyczyn strictly politycznych – potwierdza jego diagnozy. Złą wolę Platformy potwierdził sam nowo wybrany prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, który próbował sugerować, że wokół nie ma wielkich wysokościowców i że wysokość 190 m jest nie do zaakceptowania. Tyle że niedaleko, na tej samej ulicy Towarowej, stoi drapacz chmur Warsaw Spire, który ma 180 m (z iglicami 220 m).

Internauci szybko przypomnieli też tekst z grudnia 2018 r. we „Wprost”, w którym Joanna Miziołek pisała o tworzeniu ekipy Trzaskowskiego: „Według naszego informatora pierwsze skrzypce w urzędzie miasta chce grać ambitny Marcin Kierwiński, nazywany obecnie w Platformie wiceprezydentem Warszawy. – W mieście poszła informacja, że biznes ma się kontaktować z Kierwińskim, bo to on będzie podejmował nieformalne decyzje w sprawie inwestycji w Warszawie – opowiada jeden z polityków”.

WNIOSEK NR 3: Łatwiej atakować tych, którzy chcą coś zmienić. Wspomniany powyżej cytat z „Wprost” pokazuje jedną rzecz: politycy w Warszawie wiedzą i akceptują fakt, że bez zgody, a być może i bez łapówki dla tuzów z obozu III RP nie da się załatwić tzw. wuzetki, czyli zgody miasta na rozpoczęcie budowy wyjątkowo lukratywnych inwestycji. W mediach można o tym napisać na marginesie, ale nikt nie robi z tego sensacji. Tak samo wielu warszawskich dziennikarzy wiedziało o czyszczeniu kamienic, ale nikt tego nie nagłaśniał. Zauważmy, jak zupełnie inaczej wiele mediów traktuje oskarżenia wobec Kaczyńskiego, choć teza o przestępstwie jest dęta, a zarzuty o chęć osobistego wzbogacenia się „naczelnika” to nieuczciwość.

Na tym tle dość nieoczekiwaną odsieczą dla lidera PiS był zeszytygodniowy komunikat stołecznego ruchu miejskiego Miasto Jest Nasze. „Kaczyński nie dostał, inni dostali; w ścisłej okolicy ul. Srebrnej powstało lub powstaje aż pięć innych wieżowców zbudowanych na »wuzetkach«! Tak się kończy miasto bez planów miejscowych: jedni niech budują byle co, innych przybłokujemy. Skończmy z tym!”

Coś nie mogliśmy uwierzyć w te deklaracje polityków PO, że »nie wydaliby zgody na taki budynek w tej okolicy«. Więc sprawdziliśmy: ratusz w ostatnich latach

wydał »wuzetki« na pięć innych wieżowców w okolicy Srebrnej”.

Tyle że działacze miejscy w ramach symetryzmu udzielili też reprimendy Kaczyńskiemu. Pod biurem PiS przy Nowogrodzkiej ogłosili: „Prezes chce jednocześnie mieć ciastko i zjeść ciastko. Tak się nie da. Panie prezesie: albo pan walczy z układami i buduje silne państwo, albo buduje włane układy i korzysta ze słabości państwa”.

Ruch Miasto Jest Nasze i Jan Śpiewak w czasie kampanii samorządowej uważali Kaczyńskiego i Platformę za takie samo zło. Tyle że teraz układ warszawski po wygranej Trzaskowskiego ma szansę odbudować swoje siły. A Patryk Jaki w razie wygranej stworzyłby czytelniejsze reguły gry. Jego pilnowałaby choćby „Wyborcza”. Plotek o wszechwładzy Kierwińskiego nie sprawdza na serio nikt.

WNIOSEK NR 4: To walka na śmierć i życie.

Cała ta sprawa pokazuje wciąż ten sam dylemat Kaczyńskiego w warunkach ostrego konfliktu z obozem III RP. Jak grać, aby przetrwać, jednocześnie odrzucając patologiczne reguły gry. Bez dotykania walki o wpływy i pieniądze ląduje się na aucie. Podejmując grę na rzecz zmian, trzeba wygrywać, a to wymaga balansowania na granicy prawa. A wtedy moralności i symetryczności wskazują: „Sam mówi o zasadach, a niekiedy je łamie, oburzały go uwłaszczenia postkomunistów, ale bez uwłaszczenia majątku »Expressu Wieczornego« i stworzenia Srebrnej nie przetrwałby do 2015 r.”. Czy jest z tego dylematu jakieś dobre wyjście?

„Guzik nas obchodzą jego szlachetne plany” – odpowiadają symetryści z młodszych generacji. „Dzisiaj widzimy jedynie faceta, który ma prezesa banku na telefon, i kogoś, kto miesza rolę polityka i działacza fundacji chcącej zarobić grubą forszę”.

Tyle że, drodzy oburzeni, może oburzacie się tylko na to, co pokażą wam „Wyborcza” i TVN? Cała operacja z taśmami Kaczyńskiego przekracza wszelkie dotychczasowe granice manipulowania prawdą. Ludzie, którzy doskonale wiedzą, że Kaczyński jeszcze pięć lat temu musiał brać pożyczkę na pokrycie kosztów leczenia matki – dziś bez mrugnienia okiem budują wizerunek prezesa PiS jako mafijnego bossa opływającego w luksusy. Temu służyły też wybiegi w „GW” czerwona czcionką zdania „Jestem niezwykle zamożnym człowiekiem”, którego oczywisty ironiczny charakter jasno wynikał ze stenogramu.

W tej kampanii chodzi bowiem jedynie o utrwalenie stereotypów, trafiających do wyobraźni zarzutów i grę na ludzkiej zazdrości o bogactwo. Być może dlatego TVN24 używa określenia „wieżowiec Jarosława Kaczyńskiego”. Posłowie PO mówią o „bossie Kaczyńskim” i „rozmowach w stylu mafijnej rodziny Soprano”. Jan Vincent Rostowski na Twitterze poucza Kaczyńskiego, że „okradanie kuzyna nie jest fajne”. Projekt wysokościowca, jakich wiele w tej okolicy – zostaje nazwany planem „faraonicznym”, a Platforma wita prezesa PiS w Sejmie okrzykami: „deweloper”. Już widać w sieci nowy slogan: „PiS – najbardziej skorumpowana ekipa rządząca po roku 1989”.

Prawo i Sprawiedliwość broni się, wykorzystując brak umiaru w atakach. Tomasz Lis przegrał zapowiedzi nagranych w sposób sugerujący polityczne tsunami i dzień wyprowadzenia flagi dla PiS. Nie wiem, czy w dzień publikacji taśm partia wynajęła speców od kontrkampanii w sieci. Wiem, że iluś ludziom wobec skali ataku zrobiło się prezesa żal. Jeszcze inni przeczytali stenogram z rozmów z Austriakiem i nie znaleźli w nim żadnego przestępstwa, a co najwyżej przekraczanie dobrych obyczajów w polityce. Jeszcze inni – nieznający Kaczyńskiego z prywatnej sfery – zaskoczeni byli in plus jego poczuciem humoru i sprawnością w biznesowych negocjacjach. Wszystko to pokazuje, jak bardzo masowy image „naczelnika” nijak się ma do jego prawdziwego oblicza.

Tym bardziej że politycy Platformy w amoku kampanii antykaczyzmu mogą się szybko zbrzydzić. Licytują się na agresywne dowcipy bez wdzięku, które przerażają wielu ludzi. Coś jak show Sławomira Nitrasa i Joanny Muchy w okupowanym sejmie zimą 2016 r.

W tej licytacji na radykalizm antykaczyzmu postanowił wziąć udział Robert Biedroń. Były prezydent Słupska ogłosił właśnie, że majątek PiS powinien zostać znacjonalizowany, jak znacjonalizowano majątek PZPR. W ustach byłego posła Ruchu Palikota ma to wyjątkowo bezczelne brzmienie.

PiS może liczyć jedynie na to, że ta wrogość spali drugą stronę. I że elektorat doceni spokój i opanowanie rządu. W tym pojedynku bowiem oczy obu partyjnych gladiatorów wciąż kierują się co rusz ku widowni. Czyje zachowanie Polacy uznają za dobre, a czyje za złe? To będzie długa i gorzka wojna.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE



Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

MARCIN MAKOWSKI: Widział pan takiego mema: „Spieszymy się pytać ministrów, tak szybko wychodzą”?

PIOTR GLIŃSKI: Nie widziałem, ale coś tam słyszałem.

Zabawne?

Jak dla kogo. Internet rządzi się swoimi prawami, ja tam rzadko zaglądam. Jeśli chodzi o moje wyjście ze studia RMF,

emocjonalnie reaguję na sytuacje, które nie mieszczą mi się w głowie. Tym bardziej że redaktor działał w warunkach recydywy.

Mówi pan o polu minowym, ale przynajmniej w kilku kularowych rozmowach z politykami usłyszałem, że na tę minę wszedł pan na własne życzenie, unikając odpowiedzi o finansowanie Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku.

Zależy które.

Jeden z tych panów, w związku z decyzją dotyczącą ECS sprzed kilku miesięcy, był łaskaw stwierdzić, że „Gliński wbijał nóż w serce Adamowicza” (cisza). Przecież to nie są letnie sprawy. Ja wiem, że zrywając wywiad, popełniłem błąd polityczny, wizerunkowy, ale mam to w nosie, bo ważniejsze są inne wartości: szacunek dla tragicznej śmierci, zaufanie



Z wicepremierem prof. Piotrem Glińskim, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego rozmawia Marcin Makowski

Przeprowadzamy demokratyczną korektę

bo chyba do tego pan zmierza, to prowadzący wywiad Robert Mazurek po prostu nie dotrzymał słowa. Zgodziłem się na tę rozmowę – a nie ja o nią zabiegałem – tylko pod warunkiem nieporuszania tematu Gdańska. Ta tragedia nie potrzebuje młocki medialnej.

A wie pan, że Mazurek w wywiadzie dla portalu Weszło stwierdził, że ponoć jest pan przesympatyczny, tylko „nie daje po sobie tego poznać na antenie”. Dlaczego pan tę sympatyczną twarz chowa?

Bo mam wredny charakter (śmiech). Prawie tak jak pan Mazurek. Praca z mediami jest często jak spacer po polu minowym. Jest również prawdą, że

Przecież powiązanie go ze śmiercią Pawła Adamowicza nie jest oczywiste.

To ci ludzie byli średnio zorientowani.

Sądzę, że politycy powinni takie rzeczy mówić otwartym tekstem, jeśli faktycznie mają coś na myśli.

Jednak pan Mazurek doskonale wiedział, że to jest powiązane. Nie przeze mnie. Kilka dni przedtem zrobili to, w sposób niezwykle agresywny, a jednocześnie absurdalny, znani politycy drugiej strony. Tym bardziej nie chciałem im odpowiadać. W obliczu tragedii politycy powinni jak najmniej rezonować. Dla dobra życia publicznego. Niestety, stało się dokładnie odwrotnie... Zna pan te wypowiedzi?

między ludźmi... Bardzo rzadko to robię, ale tak, umówiłem się z dziennikarzem, żeby pewnych spraw nie poruszać.

Chyba nie tak powinny wyglądać wywiady z politykami.

W sytuacjach wyjątkowych w życiu publicznym, a taką była tragiczna śmierć Pawła Adamowicza, jako człowiek, polityk, mam prawo się uchylić. Oczywiście druga strona może się nie zgodzić, ale wtedy nie byłoby rozmowy i nie byłoby

problemu... a poza tym pytanie o ECS padło dosłownie 20 sekund przed końcem wywiadu. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć tej sprawy w tak krótkim czasie. Nie interesuje mnie, czy będę w takiej sytuacji hejtowany, czy redaktorzy z pana tygodnika, nie mając pojęcia, o czym mówią, będą się wymądrzać na mój temat. Nie godzę się na takie media i takie metody, nie godziłem się w TVN,

w TVP za Kraśki i za Kurskiego. Nie godzę się u Mazurka.

Teraz nikt pana nie goni. Zamieniam się w słuch.

Dlatego teraz na spokojnie mogę się do tej sprawy odnieść merytorycznie. W październiku wyjaśniliśmy sprawę szczegółowo na stronie ministerstwa, nie cofamy dotacji dla ECS, tylko powracamy do kwoty

bazowej zapisanej w umowie. Zgodnie z prawem i z powodu tego, że głównym decydem w ECS jest miasto Gdańsk (a zatem powinno też w największym stopniu finansować budżet instytucji), oraz z powodu wykorzystywania tej instytucji – wbrew jej statutowi – przez opozycję do celów politycznych. Problemem tej instytucji jest to, że – mówiąc nieco eufemistycznie – nie wszyscy Polacy czują się w niej współgospodarzami. A Solidarność była nasza wspólna.

Czy wiceprezydent Gdańska Aleksandra Dulikiewicz kontaktowała się z panem w tej sprawie w ostatnich dniach?

Telefonowała do mojego zastępcy Jarosława Sellina, oni się zresztą znają z Ruchu Młodej Polski. Spotkaliśmy się z panią prezydent i marszałkiem województwa w gronie współfinansujących ECS. Przedstawiliśmy nasze propozycje zmian. Umówiliśmy się na kontynuowanie dialogu.

Dialog, ostatnio ulubione słowo polityków. A czy jako socjolog widzi pan szansę na ucywilizowanie tego „dialogu”? Impuls podobny do tego, który wystąpił na krótko po śmierci Jana Pawła II i po katastrofie smoleńskiej.

Znamienne, że nie wymienia pan śmierci Marka Rosiaka. Wtedy nawet nie dano szansy, żeby się pogodzić, nie istniała bowiem prawdziwa demokracja, a z mediami i polityką – od samorządowej do centralnej – w jednych rękach nie było mowy o pojednaniu w kontekście mordu politycznego. Teraz jest inaczej, bo choć mord nie ma charakteru



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

politycznego, to jest przejawem chorej agresji czy nienawiści, a jednocześnie mamy w Polsce demokrację, równowagę systemu politycznego, choć nie medialnego. I ludzie, którzy budują politykę na złych emocjach, muszą się może trochę bardziej liczyć i ze słowami, i z czynami. Można więc mieć nadzieję, że mowa nienawiści trochę opadnie, trudniej może będzie opozycji przez jakiś czas używać skrajnych emocji przeciw nam, co było jej codzienną wręcz praktyką, ale co do kłamstw i manipulacji w życiu publicznym – to wielu złudzeń nie mam.

Uprzedził pan moje pytanie. Owa operacja to zapewne „taśmy Kaczyńskiego” „Gazety Wyborczej”. Szef partii, który wbrew ustawie o partiach zajmuje się poważnymi interesami, a kredyt negocjuje bezpośrednio z szefem państwowego banku, to nie problem?

Niech pan zauważy, że cała ta rozmowa – w przeciwieństwie do wszystkich

A o co miał apelować jako polityk opozycji? O zamknięcie TVN? Media pokazują go jako stonowanego, ale przecież on jest współodpowiedzialny za osiem lat rządów PO-PSL, pojawiał się na marszach KOD. Nie dajmy się oszukać. Nagonka na Telewizję Polską jest trudna do zaakceptowania. Poprzednio wszystkie telewizje mówiły jednym głosem, teraz mamy pluralizm. Owszem, ze wszystkimi, nawet ostrymi, przejawami debaty publicznej, które mogą nam się nie podobać. Nie przyjmuję argumentu, że TVP wyróżnia się szczególnie na tle innych podmiotów.

Pana zdaniem Telewizja Polska jest skuteczna?

Zależy, jak na to patrzeć. Są miliony ludzi, którzy ją oglądają i potrzebują takiej telewizji po latach, kiedy nie mieli „swojej”, „zaprzyjaźnionej”. Z drugiej strony, od kilkunastu, kilkudziesięciu już lat istnieją specjalne programy w mediach prywat-

Jednak pewien incydent, związany z obecnością Piotra Rybaka, który wykrzykiwał antysemickie hasła pod bramą obozu, rzucił się na nie cieniem.

A kto zezwolił na jego manifestację przed Auschwitz? Prezydent miasta związany z PO. Niemniej jednak pan Rybak nie pierwszy raz robi rzeczy nieakceptowalne i to nasza władza doprowadziła niedawno do jego skazania.

Powinien znowu trafić do aresztu?

Jeśli doszło i w tym przypadku do złamania prawa, a na to wygląda, tak sądzę. I to z uwzględnieniem kary za recydywę. Przy tej okazji jednak powraca pytanie o granice wolności słowa. Czy my powinniśmy takie osoby prewencyjnie zatrzymywać, gdy istnieje ryzyko złamania prawa, czy nie? W wolnym kraju zapewne zdania na ten temat są podzielone. To kwestia rozsądnego dylematów związanych z wolnością zgromadzeń i praw człowieka w kontrze do ewentualnego zagrożenia innych wartości. Jeżeli wsadzać na 48 godzin Rybaka, to może także działaczy „Krytyki Politycznej”, bo słyszałem, że zaprosili kiedyś jakichś agresywnych niemieckich żuli do Polski.

Pozostając w temacie historii II wojny światowej – w ubiegłym roku ogłosił pan rozpoczęcie prac nad Muzeum Getta Warszawskiego. Pomimo początkowego entuzjazmu również w Izraelu w tej chwili na łamach dziennika „Haaretz” toczy się bój o przyszłość placówki. Doktor Havi Dreifuss z Yad Vashem uważa, że będzie ono „tuszowało dzieje Zagłady”. Dlaczego?

Pod adresem tej placówki, jeszcze zanim zaczęła działać, padło wiele fałszywych oskarżeń, ale to nie jest spór polsko-izraelski, raczej wewnątrzizraelski, ponieważ dotyczy personalnych rozbieżności pomiędzy dr Dreifuss a głównym historykiem muzeum, prof. Danielem Błatmanem. Dodatkowo w tę narrację wpisują się opozycyjnie nastawieni różni polscy aktorzy. Nie rozumiem ich stanowiska. Jest dziwnie agresywne, a zarzuty bezpodstawne. A przyszłość tej placówki jest w rękach polskiego rządu i dyrekcji muzeum. I to się pewnie nie podoba – z przyczyn czysto politycznych. Tymczasem z pomysłem powołania muzeum przyszedł do mnie prof. Paweł Śpiwak, którego trudno podejrzewać o szczególną do nas sympatię. Wskazał miejsce – zabytkowy budynek dawnego żydowskiego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, który od kilku lat stał pusty. Gdy Śpiwak nakreślił mi sprawę, mówiąc, że środowiska

Nagonka na Telewizję Polską jest trudna do zaakceptowania. Poprzednio wszystkie telewizje mówiły jednym głosem, teraz mamy pluralizm

innych tzw. taśm – mogłaby być przedstawiona z otwartą przyłbicą w jakiegokolwiek telewizji. Tam nie ma nic do ukrycia. Każde środowisko polityczne ma prawo tworzyć fundacje prowadzące działalność gospodarczą, których dochody są w całości przeznaczane na cele statutowe, na działalność społeczną, obywatelską. Każde, w Polsce i na całym świecie. Tylko nie PiS. PiS ma być z definicji wykluczony i pozbawiony wszelkich praw. I tyle. Zresztą to dość toporna operacja propagandowa: insynuacje, kłamstwa, pomówienia – czyli znowu wróciliśmy do ulubionego przeze mnie trudnego tematu mediów.

A z perspektywy mediów. Czy one po wydarzeniach w Gdańsku zachowały się odpowiedzialnie?

Nie wiem, nie chciałbym generalizować – zachowały się różnie w zależności od tytułu i osoby.

To szczegółowo. Władysław Kosiniak-Kamysz zaapelował do Jarosława Kaczyńskiego o odwołanie prezesa TVP Jacka Kurskiego, który jego zdaniem za ostro krytykował śp. Pawła Adamowicza, a „Wiadomości” nazwał narzędziem propagandy.

nych, wielkie gazety i tabloidy, które służą, dzień w dzień, do brutalnego niszczenia przeciwników politycznych. I co? Gdzie jest oburzenie? Nikomu one nie przeszkadzają? Nasza debata publiczna nadal nie jest zrównoważona.

Mówi pan, że część Polaków ma „swoją” telewizję. Z podatków i abonamentu płacą na nią jednak wszyscy. Jak mają się w niej odnaleźć np. wyborcy Platformy?

Tak samo jak inni wyborcy przed 2015 r. wobec tamtego TVP. Bywałem gościem tamtej telewizji i doskonale ją pamiętam.

Zmienimy temat. 27 stycznia obchodzono rocznicę odbicia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. To również rocznica politycznej burzy wywołanej nowelizacją ustawy o IPN. Czy pana zdaniem jako państwo czegoś się od tego czasu nauczyliśmy?

Przed wszystkim doprowadziliśmy do słynnego wspólnego oświadczenia Morawiecki-Netanjahu. To kamień milowy w naszych stosunkach i wielki sukces polskiej polityki pamięci. A rocznicę upamiętniliśmy w sposób godny i uczciwy.

żydowskie od dawna starały się o muzeum w tym budynku, błyskawicznie podjąłem decyzję. Dziedzictwo polskich Żydów to również polskie dziedzictwo historyczne i jako państwo musimy się o nie troszczyć. Dyrektorem Muzeum Getta został historyk Albert Stankowski, przyjęliśmy jego program i jako ministerstwo nie ingerujemy w bieżące prace. Mimo to nowa placówka, jedna z ok. 30, które teraz tworzymy (na czele z powstającym w warszawskiej Cytadeli Muzeum Historii Polski), jest wciąż przedmiotem absurdałnych ataków politycznych. A na dyrektora zmontowano ogromny hejt tylko dlatego, że odważył się w czasach PiS zrobić coś konstruktywnego. Lepiej było nic nie robić jak za rządów Platformy?

Czy jest pan zadowolony z obecnego budżetu na kulturę? Słyszałem od jednego ministra, że się pan „rozpycha o pieniądze” dla resortu.

To jest chyba pocałunek śmierci, a koledzy mnie zabijają (śmiech). Ale nie jestem z tego budżetu zadowolony, musimy go jeszcze zwiększyć, bo i cele są ambitne. Wystarczy wejść na naszą stronę, żeby zobaczyć, ile instytucji powołaliśmy do życia, za ile inicjatyw odpowiadamy – na to

muszą się znaleźć środki. Dzięki pieniądzu na kulturę kupiliśmy też kolekcję książek Czarotoryskich, czego poprzednia władza zrobić nie umiała.

Dlaczego, pomimo dokonań, o których pan wspomina, przez część środowiska artystycznego uważany jest pan za „szkodnika kultury”? Z czego pana zdaniem ta niechęć wynika?

To jest przede wszystkim kwestia strukturalna. My przeprowadzamy obecnie demokratyczną korektę, nawet nie zmianę, kursu w kulturze. To narusza wiele korporacyjnych, grupowych interesów. I wywołuje niebywałą histerię. Zresztą, o czym już mówiliśmy, podsycaną specjalnie z powodów politycznych, żeby rozhuścić emocje i nienawiść. Kiedyś przeczytałem o sobie, zresztą na portalu, który finansuje moje ministerstwo, że wprowadzam w teatrach „stalinowskie czystki”. A myśmy na 121 teatrów publicznych naruszyli raptem interesy w dwóch – we Wrocławiu i w Krakowie. To o czym my w ogóle mówimy? Jaki to ma związek z rzeczywistością? Może taki, że teatry prywatne, które były wcześniej uprzywilejowane, dzisiaj mają równy start,

jak inni. Podobnie dzieje się w pozostałych sektorach kultury.

Politycy lubią się ostatnio spotykać ponad podziałami, może po prostu zorganizowałby pan Okrągły Stół Kultury i ze zwaśnionymi aktorami, muzykami oraz twórcami porozmawiał szczerze przy dobrym koniaku? Czy to jednak za duża naiwność?

Przecież to nie jest tak, że wszyscy są przeciwni. Pracujemy z tysiącami osób kultury w Polsce. Twórcy są u mnie w gabinecie codziennie. Pan Zanussi łaskawy był powiedzieć, że w ciągu trzech lat widzieliśmy się tylko dwa razy. A spotkań było co najmniej pięć. Jesteśmy cały czas w kontakcie ze środowiskiem, zorganizowaliśmy wiele spotkań w ramach Ogólnopolskiej Konferencji Kultury, ale na postawę osób, które na zasadzie zero-jedynkowej bojkotują władzę PiS, wpływu nie mamy. Gdyby jednak chcieli przyjść na takie spotkanie, drzwi są zawsze otwarte. Dzielenie się polityczne, w atmosferze agresji, jest szalenie destrukcyjne dla polskiego życia społecznego i tkanki demokratycznej, niszczy kulturę polityczną. A my chcemy stosować się do jej zasad, nawet jeśli nasi przeciwnicy chcieli nas jak te watahy „dorżnąć”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



DAVE MATTHEWS BAND EUROPE 2019

KONCERT
COS Torwar | **25 marca 2019**
Warszawa 20:00 Bilety: prestigemjm.com

Z KAŻDYM ZAKUPIONYM BILETEM
- NAJNOWSZY ALBUM COME TOMORROW DO POBRANIA ZA DARMO

DAVEMATTHEWSBAND.COM | WAREHOUSE.DAVEMATTHEWSBAND.COM



a-ha
play hunting high and low live

18 listopada 2019
Torwar Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MJM

REGENT
WARSZAWA HOTEL

wprost

Esencja

GŁÓWNA BANKOWA

Galerzysta

WP

cgm.pl

Prestige
MJM

złote przeboje

GOLD

wprost

Esencja

GŁÓWNA BANKOWA

Galerzysta

WP

video

Multikino

Esencja

pap

STRÖER

WAXON

cgm.pl

Multikino

Esencja

pap

WAXON

STRÖER



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy opozycja w ogóle miała szansę na polityczny zysk przy wykorzystaniu śmierci Pawła Adamowicza?

Zbrodnia w czasach postpolityki



Politycy opozycji zachowali się powściągliwiej niż media ich wspierające

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

Już kilka dni po śmierci Pawła Adamowicza usłyszałem od jednego z ekspertów branży internetowej, że ani nie spełnią się nadzieje, które pokładała w tej tragedii opozycja, ani obawy, które wzbudziła ona w obozie władzy. Nie stanie się oczekiwany przez PO i straszącym PiS „game changerem”, momentem odwrócenia sondażowych tendencji. Na moje pytanie, skąd to wie, usłyszałem: „Widzę zasięgi”. Pierwsze informacje o śmierci prezydenta Gdańska były wprawdzie rekordy klikalności i podań w mediach społecznościowych, ale „follow-ups”, materiały do nich nawiązujące, gubiły to zainteresowanie dość szybko.

Trudno się zresztą dziwić, bo tak jak w każdej innej sprawie komentarze były do mdłości przewidywalne. Przeciwnicy PiS powtarzali na różne sposoby, że za tę zbrodnię odpowiadają Prawo i Sprawiedliwość oraz „atmosfera nienawiści”, zwolennicy PiS – że takie zbrodnie i tacy zbrodniarze zdarzają się niestety wszędzie, a okoliczności tragedii są dziełem przypadku. Opozycja eskalowała histeryczne oskarżenia, że Adamowicza „zabito słowami” – władza gromadziła cytaty pokazujące, jak agresywnie odnosiły się do niego media PO i jej politycy, szczególnie po tym, jak wieloletni prezydent Gdańska odmówił podporządkowania się decyzji partii i ogłosił, że będzie kandydował przeciwko Jarosławowi Wałęsie.

Trzy tygodnie po tragedii i dwa tygodnie po pogrzebie, który, za sprawą demonstracyjnego upokorzenia prezydenta i premiera oraz kilku wypowiedzi po nabożeństwie, ostatecznie sprowadził emocje w koleiny trwającej od lat wojny politycznych plemion, można już się chyba zgodzić z ekspertem. Wielka żałobna mobilizacja, miliony złotych w „ostatniej puszcze”, zgromadzenia w całej Polsce, bezlitosne szarpanie emocjami przez media na żadną trwałą zmianę nastrojów się nie przełożyły.

A czy w ogóle mogły?

@

Zagospodarowywanie tragedii zaczęło się już w poniedziałkowy poranek 14 stycznia, gdy Paweł Adamowicz leżał jeszcze pod szpitalną aparaturą i lekarze wciąż walczyli o jego życie. Po palmę pierwszeństwa zgłosili się pełniący obowiązki redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” Jarosław Kurski oraz Maciej Kisilowski, wykładowca Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie,

uczelnia George’a Sorosa, znanej z konfliktu z premierem Orbánem. Kurski zaapelował, by „nazwać po imieniu... wyrachowaną, zaplanowaną zbrodnię na demokratycznie wybranym polityku”. Kisilowski w serwisie Politico.eu ostrzegł, że PiS „wykorzysta tę tragedię tak jak Hitler podpalenie Reichstagu”, i przestrzegł, by nie podporządkowywać się apelowi rządu o jedność narodową w obliczu tragedii (których zresztą wcale nie było), albowiem takie apele, podobnie jak walka z „mową nienawiści”, to przykrywką dla zaplanowanej likwidacji przez reżim resztek wolności słowa i pacyfikacji opozycji. W ogóle w tej pierwszej fali wiele było apeli przeciwników władzy do własnego środowiska, aby nie dało się „zakneblować przyzwoitością” (to słowa dziennikarki „Polityki”, Ewy Siedleckiej), jakby rzeczywiście istniała obawa, że jakieś skrupuły mogą „totalnej opozycji” utrudnić docięnięcie pedału i wydobyć ze śmierci Adamowicza wszystkich możliwych politycznych zysków.

Ekspert Sorosa, Kisilowicz, nie posunął się wprost do oskarżenia, że Stefan W. był wykonawcą jakiegoś politycznego planu władzy, ale zasugerował to wyraźnie – nie tylko porównaniem z podpaleniem Reichstagu, lecz także proroctwem, że „co się naprawdę stało, nie dowiemy się, dopóki PiS pozostaje u władzy”, oraz zawieszeniem pytania, dlaczego gdański finał WOŚP praktycznie nie był chroniony, podczas gdy na „miesięcznicach” smoleńskich i innych imprezach organizowanych przez PiS policji zwykle nie brakuje.

Może zresztą te wypowiedzi nie były pierwsze, tylko najbardziej wybiły się w natłoku komentarzy. Charakterystyczne, że zanim zdążyli się odezwać politycy z pierwszej linii (zapewne nie z nadmiaru „kneblujących” skrupułów, tylko z braku „przekazu dnia”), w ciągu zaledwie kilku godzin całe pole politycznej wojny zostało wyznaczone i opanowane przez harcówników korzystających z nagłośnienia w mediach. Wojciech Sadurski, jeden z bardziej rozpoznawalnych hejterów PO na portalach społecznościowych, zaapelował o organizację upamiętniających śmierć Adamowicza „miesięcznic”, poseł Szczerba zapowiedział utworzenie przez PO „niezależnej komisji śledczej”, która wyjaśni „prawdziwy” przebieg wydarzeń. Każde oskarżenie natychmiast było „agregowane” w Internecie, całe strony główne portali wypełniły na pewien czas nagłówki z charakterystycznymi, zapewniającymi klikalność zwrotami: „X mocno o...”, „Y

■ bije w...”, „Z oskarża...”, „Mocne słowa o...”, „Bez taryfy ulgowej dla...” etc.

Chętnych do zagospodarowywania emocji okazało się tak wielu i mieli oni na to tak wiele pomysłów, że nikt nie miał szansy nad tym zapanować. Widać to było szczególnie dobrze w Internecie, gdzie portale i profile, kierując się liczbą wejść i podań, rzucały się na wzajemnie sprzeczne teorie, eksponując je jedną po drugiej albo w tym samym czasie, bez żadnej selekcji. Telewizje informa-

podążają za tymi „brendami”, które gwarantują podgrzewanie ich emocji do najwyższych możliwych temperatur.

Media polityczne, chcąc nie chcąc, muszą skupić się na zaspokajaniu oczekiwań przede wszystkim tych właśnie najbardziej aktywnych odbiorców. A ponieważ wszystkie media walczą o przetrwanie, ta rywalizacja nieuchronnie wiedzie do historycznego tonu, szaleńczych oskarżeń, mnożenia wielkich słów i natychmiastowego sięgania po najsilniejsze emocje

Liderzy opozycji mają już pewne doświadczenie z trzyletnich prób odbierania PiS „moralnej legitymacji do sprawowania władzy”

cyjne reagowały wolniej i były wyraźnie w defensywie – to goście w studiu musieli ustosunkowywać się do cytowanych przez prowadzącego wypowiedzi z Twittera czy Facebooka, zamiast, jak jeszcze kilka lat temu, być tam cytowani i inicjować tymi cytatami internetowe kłótnie oraz wojny. Główne wieczorne programy informacyjne zaś zdawały się w ogóle z innego świata.

TVN wyczuł sytuację lepiej, zupełnie inaczej formatując programy w TVN24, oglądanej głównie przez widzów politycznie zadeklarowanych i zaangażowanych, a inaczej mające 10 razy większą widownię „Fakty” – gdy goście Morozowskiego i Olejnika już kilka godzin po śmierci Adamowicza wtórowali Internetowi w okrzykach o „krwi na rękach” i „zaszczuci” prezydenta, „Fakty” były pierwszego dnia od takich akcentów zupełnie wolne i utrzymane w podniosłym, godnym tragedii tonie, oczekiwanym przez „normalistów”, którzy włączyli telewizory dopiero wieczorem.

TVP, której takiego sprytu zabrakło, przystąpiła do rozrachunków w „Wiadomościach”, poświęcając osobny materiał wypominaniu różnych agresywnych zachowań „totalnej opozycji”. Wywołała tym niesmak nawet po „swojej” stronie, a po przeciwnej furję wielokrotnie powtarzanych oskarżeń o „haniebną reakcję TVP”.

@

Pokazało się wyraźnie, że długotrwała „wojna polsko-polska” spowodowała wyodrębnienie sporej grupy politycznie aktywnych kibiców, którzy żyją emocjami generowanymi przez politykę, czekają na kolejne ciosy, kibicują i śledząc media,

z możliwych. Licytacja dotyczy także tego, kto dotrze do radykałów z oczekiwanym przekazem pierwszy. Tym razem udało się to „Gazecie Wyborczej”, która wyprzedziła z narracją o „politycznej zbrodni” media Ringier Axel Springer, i dopiero użycie wdowy po Pawle Adamowiczu pozwoliło Tomaszowi Lisowi odrobić straty w „peowskim” segmencie rynku.

Fakt, że główni rozgrywający świata polityki prawie się nie zdążyli odezwać, może świadczyć o pewnym ich rozsądku: liderzy opozycji mają już pewne doświadczenia z trzyletnich prób odbierania PiS „moralnej legitymacji do sprawowania władzy”, w których trakcie tylko trzykrotnie udało się rozszerzyć oburzenie, a i to na krótko, poza wąski krąg „wzmózonych” i demonstrujących praktycznie nieustannie – podczas pierwszych demonstracji pod Trybunałem Konstytucyjnym, czarnego protestu i palenia świec pod sądami.

W istocie suflowane dziennikarzom kularowe sugestie, że „Grzegorz celowo się nie odzywa i czeka – jak oskarżenia zadziałają, staniemy jako PO na czele, jak ludzie tego nie kupią, odetniemy się”, były robieniem dobrej miny do złej gry. Pomysł sprzed trzech lat, by celem opozycyjnej polityki uczynić „totalne” zdelegitymizowanie władzy poprzez wzbudzenie w społeczeństwie oburzenia jej „niemożliwością”, właśnie okazuje się pułapką.

Polityka robiona na trumnie Pawła Adamowicza uwiódła bowiem tylko proces trwający już od pewnego czasu – proces, który jest logiczną konsekwencją przyjętej strategii „opozycji totalnej” i który można było przewidzieć. Skoro polityka zamiast na sporze idei czy programów

skupia się na budzeniu emocji i zarządzaniu nimi, to ster nieuchronnie z rąk partyjnych liderów przechodzi w ręce liderów medialnych, którzy owymi emocjami zarządzają.

Jeśli Grzegorz Schetyna łudzi się, że w razie czego może się od nich „odciąć”, to głęboko się myli – i to również jest nauką z szarzy na trumnie Adamowicza. To już nie Schetyna decyduje, co jest przekazem opozycji, ale Jarosław Kurski, Tomasz Lis, Agnieszka Holland czy każdorazowi goście Moniki Olejnik. Schetyna oraz inni politycy PO muszą podążać w wyznaczonym przez nich kierunku i nadążać. A to sprawia, że coraz trudniej dotrzeć im do wspomnianych już „normalistów”, którzy nie podniecają się przez cały dzień, jak nasi dokopali onym na Twitterze czy w telewizyjnym studiu, ale którzy pójdą na wybory i je rozstrzygną.

Na szczęście dla PiS, który operuje propagandą, może i – jak utyskuje wielu polityków i zwolenników władzy – dużo bardziej toporną niż TVN-owska, ale skoordynowaną, w obozie nienawiści do Kaczyńskiego jest zbyt wielu generałów, próbujących odciągać wojska od siebie nawzajem.

Polityczne nadzieje wykorzystania tragedii Pawła Adamowicza upadły nie dlatego, że – jak chcieliby kibice władzy – „Polacy się na nich poznali”, ale dlatego, że akcja politycznego wykorzystywania zbrodni rozpoczęta została za szybko, bez jakiegokolwiek planu, pod wpływem instynktu i tkwiących w pamięci wzorców z lat poprzednich.

@

Głównym, nieustannie przyświecającym opozycji wzorcem jest oczywiście Smoleńsk. W obozie anty-PiS, zarówno wśród polityków, jak i na liberalnych salonach, panuje przekonanie, że to właśnie oskarżenie władzy PO-PSL o współudział w zamachu na prezydenta Kaczyńskiego i rozpętanie związanych z tym teorii spiskowych było owym „przejechaniem zakonnic na pasach”. Trudno doprawdy zrozumieć popularność tej wiary, sprzecznej z najoczywistszymi faktami, ale wystarczy wgłębić się w wywiady czy „analizy” powstające w kręgach lewicowo-liberalnych, by nie mieć co do niej wątpliwości. Wszystko było dobrze dopóty, dopóki Kaczyński nie „zagrał trumną brata”, wtedy wyborcy się od nas odwrócili.

Takie przekonanie wiedzie do oczywistego wniosku: trzeba mieć własny

Smoleńsk, trzeba też „zagrać jakąś trumną”. Apele prof. Kisilowskiego czy red. Siedleckiej, aby w imię historycznej konieczności „obrony demokracji” przed PiS porzucić skrupuły (chciałoby się dodać „mieszkańskie” albo „burżuazyjne”), były zupełnie zbędne. Wystarczy przypomnieć sobie, jak usiłowały antypisowskie media wykorzystać samospalenie chorego na depresję Piotra Szczęsnego – faktu, że kult „szarego człowieka” nie chwycił, nie uznały one bynajmniej za argument, iż „gra trumną” się nie opłaca, wytłumaczono sobie po prostu, że Szczesny był postacią zbyt mało znaną.

Śmierć Adamowicza była oczywiście dla wszystkich zaskoczeniem, ale jakaś śmierć – kogoś znanego i nie lubianego przez PiS – była oczekiwana, a cały zespół zachowań przygotowany do natychmiastowego użycia. Tym bardziej że kłopoty Adamowicza z prawem narzuciły lewicowo-liberalnym mediom odwołanie się do innego wzorca, sprawy, która przed 13 laty okazała się ich wielkim sukcesem: Barbary Blidy.

Tę zapomnianą już dziś historię (zapomnianą m.in. dlatego, że wiele wyroków sądowych oraz raport komisji sejmowej dowiodły, iż narracja o rzekomym „zaszczeniu Blidy” była kłamstwem w każdym właściwie punkcie) łączą z postacią Adamowicza śledztwo i korupcyjne podejrzenia. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Prezydent

równie karkołomna jak próba wmówienia widzom i słuchaczom, wbrew wszystkim, że Stefan W. nie działał sam, ale w ramach „wyrachowanego, zaplanowanego” spisku.

Na dodatek oskarżenia rozjechały się za sprawą Jerzego Owsiaka, który od pierwszej chwili narzucił narrację, że zbrodniarz kierował się nienawiścią do WOŚP, a nie Adamowicza – i to jeszcze groteskowo i obsesyjnie wskazując tu jako na element sprawczy kukiełkowy program satyryczny w TVP Info. Narracji tej antypisowskie media nie mogły pominąć z uwagi na popularność Owsiaka i nadzieje na dołączenie jego orkiestry do „koalicji sił obywatelskich”. Jej połączenie z kreowaniem Adamowicza na Blidę-bis nie mogło się jednak udać. Nawet niezyczliwy PiS odbiorca musiał odnieść wrażenie, że za dużo tu grzybów w barszczu.

Przekaz opozycji dodatkowo skomplikowała chęć wyciągnięcia ze śmierci Adamowicza bardzo konkretnego zysku politycznego – zdyskredytowania rozbijającej propagandowe narracje opozycji TVP. Ta akcja być może zyskałaby zrozumienie, gdyby wsparto ją obrazem – jakimś konkretnym fragmentem programu TVP, w którym „szczuto” przeciwko prezydentowi Gdańska. Oskarżenia pozostały jednak gołosłowne, natomiast media i profile PiS zasypały zainteresowanych odbiorców konkretnymi przykładami

nie tyle politycznych antypatii pani Adamowicz, ile państwa polskiego.

Wspomnianym wywiadem – i całym swoim w ogóle zachowaniem – ostatecznie zniweczyła wdowa po prezydencie możliwości wyciągnięcia przez opozycję ze śmierci Adamowicza politycznych zysków. Gdyby ktoś w opozycji był mądrzejszy i nie wmawiał sobie bez sensu, że władzę dała PiS wiara w „zamech w Smoleńsku”, tylko zastanowił się, dzięki czemu PO eksplozję emocji po tej tragedii przetrwała, sięgnąłby może po świetną erudycyjną analizę zamieszczoną kiedyś w piśmie filozoficznym „Kronos”. Jej autorzy zauważyli m.in., że w odczuciu „zwykłych Polaków” PiS złamał swoistą umowę dotyczącą żałoby – w tym konkretnym przypadku dlatego, że czas żałoby, który zgodnie z uświęconą tradycją musi być czasem wyjątkowym, zaczął przeciągać w nieskończoność, czego symbolem był krzyż na Krakowskim Przedmieściu.

Wydaje się, że Magdalena Adamowicz, udzielając od dnia pogrzebu niemal codziennie wywiadów, w których dawała upust swemu politycznemu zaangażowaniu, również w analogiczny sposób „wymówiła żałobę”. Wysłała z roli cierpiącej wdowy, sprawiła wrażenie osoby, która rozgrywa swój szczególny status interesownie – i tym samym status ten, w oczach publiczności, przestał jej przysługiwać. Tym bardziej że pani Adamowicz nie tylko zaatakowała premiera i prezydenta, lecz także nie ucieła spekulacji o swoim ewentualnym kandydowaniu do Parlamentu Europejskiego. Parlament Europejski zaś nie jest postrzegany przez Polaków jako miejsce, gdzie wdowa mogłaby w jakikolwiek sposób kontynuować „misję męża”, przez całe aktywne politycznie życie samorządowa, tylko jako miejsce, gdzie idzie się po wielkie pieniądze, niemożliwe do zarobienia w polityce krajowej.

Trudno się nie zdumieć, jak błyskawicznie wszystko to poszło. Nie trwało wiele dłużej niż walka „w obronie dzików”, ale krócej niż okupacja sali obrad Sejmu „w obronie wolnych mediów” dwa lata temu. Kolejne paroksyzmy emocjonalne „opozycji totalnej” są jednak jak alkohol – aby uzyskać ten sam efekt, trzeba coraz większych dawek aplikowanych coraz częściej. Jeśli śmierć prezydenta Gdańska dawała jakąś szansę wyjść z tej rutyny, to szansa ta została zaprzepaszczone.

Oskarżenia rozjechały się za sprawą Owsiaka, który narzucił narrację, że zbrodniarz kierował się nienawiścią do WOŚP

Gdańska nie zabił się podczas próby zatrzymania, nie zamordował go fanatyk krzyczący o „oczyszczeniu życia publicznego”. Motywacje Stefana W. zostały przez niego wyłożone jasno: prywatna zemsta za aresztowanie (jego zdaniem niewinne, bo pieniądze, które ukradł, nie były „ludzi”, tylko „banków” – jeśli jakieś medium można więc obciążyć winą za szaleństwo mordercy, to nie TVP, tylko „Krytykę Polityczną”) i „torturowanie”, z którymi – abstrahując od ewidentnie urojeniowego charakteru oskarżeń – nie mógł mieć Adamowicz nic wspólnego.

Próba powiązania mordu z „atmosferą nienawiści” – czytaj: informowaniem opinii publicznej o niejasnościach oświadczeń majątkowych śp. prezydenta i stawianych mu zarzutach – była więc

bardzo ostrych ataków polityków PO i ich mediów na Adamowicza.

Wśród tych przykładów szczególnego znaczenia nabrał tekst z „Newsweeka”, który w roku 2017 – a więc już za czasów Tomasza Lisa – o zły wpływ na męża i sprawczą rolę w zarzucanych mu nadużyciach oskarżył Magdalene Adamowicz. Cytaty ze starego tekstu pojawiły się oczywiście po tym, jak Lis uczynił okładkowym materiałem rozmowę z wdową, która, pośród różnych wzruszających wspomnień o tak nagle i tragicznie utraconym mężu, formułuje oskarżenia przeciwko PiS i TVP, a także z pewną dumą opowiada, że to ona zażądała, by prezydent i premier RP byli na pogrzebie usadzeni gdzieś z tyłu, co odebrano jako symboliczne upokorze-



Agnieszka Niewińska

Miasta organizują zajęcia o mowie nienawiści i przeznaczają fundusze na programy antydyskryminacyjne. Prawicowe organizacje uczulają jednak rodziców, aby pytali o przekazywane tam młodzieży treści

Od 4 do 8 lutego pod Wawelem odbędzie się Krakowski Tydzień Dobrego Słowa. Ma pokazać uczniom, że ich szkoły mogą być wolne od mowy nienawiści i hejtu, wypełnione pozytywnym przekazem. Jednym z elementów wydarzeń w Krakowie będzie zadanie dla młodzieży, w ramach którego ma ona fotografować nienawistne hasła na krakowskich murach. Wiosną będą zamalowywane. W krakowskich szkołach odbędą się też specjalne lekcje dotyczące mowy nienawiści. W ubiegłym tygodniu przeszkolono pod tym kontem 300 nauczycieli.

Takie zajęcia odbyły się lub dopiero są w planach w takich miastach jak m.in. Wrocław, Warszawa, Poznań, Lublin czy Białystok. Wyłamał się burmistrz Wadowic Bartosz Kaliński, który stwierdził, że tego rodzaju zajęć w jego mieście nie będzie, bo to przejaw lewicowej indoktrynacji politycznej.

BEZ NAMYSŁU, BEZ PROGRAMU

Z inicjatywą wystąpił tuż po zabójstwie Pawła Adamowicza prezydent Wrocławia Jacek Sutryk. Sam poprowadził taką lekcję w jednym z wrocławskich liceów. W jego ślady poszedł prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, który podczas zajęć z uczniami I LO w Białymstoku nie stronił od politycznych sugestii. „Nienawiść wydała swoje krwawe żniwo. Ta mowa nienawiści, która od kilku lat nabrała charakteru instytucjonalnego, jest wszechobecna. Jest narzędziem do walki politycznej. Sam jestem przedmiotem wielu ataków” – przywoływał słowa białostockiego wójtka portal Poranny.pl.

Pomysł lekcji podchwycił też prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. A warszawski magistrat rekomendował nauczycielom materiały dydaktyczne na zapowiadane lekcje. Wśród nich znalazł



Nienawiść według LGBT

się podręcznik Rady Europy „Zakładki. Przeciwdziałanie mowie nienawiści w sieci poprzez edukację o prawach człowieka” czy „Kompasik. Edukacja na rzecz praw człowieka w pracy z dziećmi”. To m.in. ze względu na te rekomendowane publikacje prawicowe organizacje zdecydowały się na pikietę pod warszawskim ratuszem i kampanię informującą rodziców.

– Chcemy uczulić rodziców, żeby sprawdzali, jakie treści przekazywane są na lekcjach na temat nienawiści, które po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska zlecili organizować w szkołach niektórzy samorządowcy – zwraca uwagę Paweł Kwaśniak, prezes Centrum Życia i Rodziny,

które było jednym z organizatorów pikiety. – Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski odgórnie zaleca nauczycielom podręczniki, z których mają podczas takich lekcji korzystać. Materiały te pojęcie „mowy nienawiści” tłumaczą w sposób czysto ideologiczny. To społeczności LGBT, feministki czy osoby o odmiennym kolorze skóry są tam pokazywane jako odwieczne napiętnowane. Nie ma w tych materiałach mowy o szacunku dla rówieśników pochodzących z rodzin wielodzietnych, dla upośledzonych i niepełnosprawnych, dla tych, którzy są mniej zamożni, gorzej ubrani, a w wielu szkołach to jest poważniejszy problem – twierdzi.



FOT. ANDRZEJ STOLCK

leżnie od tego, kim jest czy skąd pochodzi. Jednak jego zdaniem takie lekcje wymagają namysłu i programu, który zaakceptują rodzice. – Przykre jest to, że po tragicznych wydarzeniach zajęcia zlecono szkołom w trybie pilnym, bez konsultacji z rodzicami. Można byłoby wspólnie z radami rodziców opracować program dla młodzieży, przygotować materiały. Politycy zamiast buńczucznych deklaracji o walce z nienawiścią powinni uderzyć się we własne piersi, a nie wciągać dzieci i młodzież w politykę – podkreśla.

KTO, CZEGO I JAK UCZY?

Kłopotem przy prowadzeniu zajęć na temat mowy nienawiści jest to, że nie ma jasnej definicji tego pojęcia. Dlatego to, co zawierać będą szkolne zajęcia, zależy w dużej mierze od prowadzącego. Nikt nie zbiera danych na temat tego, gdzie zajęcia się już odbyły i jakie treści w ich ramach przekazywano. Pytaniem otwartym pozostaje, gdzie prowadzone były one przez nauczycieli, a gdzie przez zewnętrzne podmioty. – Akceptujemy autonomię szkół, które opracowują własne programy wychowawcze – odpowiada Katarzyna Pieńkowska z biura prasowego Urzędu Miasta Warszawy. I zapewnia: – Takie lekcje, w ramach godzin wychowawczych, prowadzą nauczyciele. Zgodnie z prawem oświatowym programy te zawierają mają tematy związane m.in. z poprawną komunikacją i kształtowaniem postaw otwartości i szacunku dla drugiego człowieka.

Na zajęcia prowadzone w szkole przez podmioty zewnętrzne musi się zgodzić rada rodziców. Rodzice mają również prawo odmówić udziału swojego dziecka w takich zajęciach. Jednak prawo oświatowe nie pozbawia rodziców wpływu także na treści, które są przekazywane uczniom przez ich nauczycieli chociażby na godzinie wychowawczej.

Instytut Ordo Iuris zamieścił na swoich stronach specjalne oświadczenie, które rodzic może pobrać, wypełnić i złożyć w szkole, jeśli nie chce, by dziecko brało udział w warsztatach przeciw mowie nienawiści. Można też zwrócić się do Instytutu z prośbą o sprawdzenie, kto i zgodnie z jakimi materiałami prowadzi lekcje na temat nienawiści w szkole naszego dziecka. – Złożyliśmy już wnioski do warszawskich szkół z prośbą o informację na temat przeprowadzonych w nich zajęć. Chcemy sprawdzić, kto, jak i czego tam uczył – mówi Nikodem Bernaciak

z Instytutu Ordo Iuris. Zwraca uwagę, że efektem deklaracji samorządowców o konieczności prowadzenia z młodzieżą lekcji na temat nienawiści po zabójstwie prezydenta Gdańska jest wyasygnowanie dodatkowych funduszy przez miasta na różnego rodzaju działania antydyskryminacyjne. Lublin już ogłosił konkurs. Chce przeznaczyć na nie 140 tys. zł.

– Otwarty konkurs na działania antydyskryminacyjne planowaliśmy już wcześniej. To jedno z podstawowych zadań miasta. Tragiczna śmierć prezydenta Gdańska jedynie przyspieszyła jego ogłoszenie – mówi Piotr Choroś, dyrektor Biura Partycypacji Społecznej Urzędu Miasta Lublina. Jak mówi, to, czy w ramach działań będą prowadzone zajęcia w szkołach, zależy od propozycji organizacji pozarządowych, które zgłoszą się do konkursu. – Zajęcia edukacyjne w szkołach to jedna z propozycji, które wyszczególniliśmy w ogłoszeniu konkursowym. Organizacje mogą zaproponować ich realizację, ale nie jest to obowiązkowe – tłumaczy dyrektor. I dodaje, że jeśli takie zajęcia będą realizowane, to by uniknąć konfliktów z rodzicami, placówki same będą zgłaszać chęć udziału. – Przed dwoma laty prowadziliśmy zajęcia dla młodzieży dotyczące sytuacji i kultury cudzoziemców mieszkających w Lublinie. Wówczas chętne szkoły same zgłaszały się do projektu.

POZNAŃ Z PODRĘCZNIKIEM

64 szkoły zgłosiły się do projektu, który już od lutego 2018 r. proponuje Poznań. Zajęcia antydyskryminacyjne w tej edycji zostaną wzbogacone o temat mowy nienawiści właśnie ze względu na zabójstwo prezydenta Gdańska. Miasto wydało poradnik dydaktyczny dla nauczycieli. Publikacja odsyła nauczycieli do takich organizacji jak Kampania przeciw Homofobii, Feminoteka, Towarzystwo Edukacji Antydyskryminacyjnej. Konsultantką publikacji była dr Iwona Chmura-Rutkowska, znana promotorka gender, która prowadziła projektowi „Gender w podręcznikach”. W jego ramach ochotnicy poddali genderowej analizie zatwierdzone przez MEN podręczniki. W publikacji prezydent Jacek Jaśkowiak chwali się, że na antydyskryminacyjny projekt miasto przeznaczyło 200 tys. zł.

W całej sprawie musi dziwić fakt, że samorządowcy nagle uznali, iż bez ich nakazów nauczyciele nie potrafią wychowywać dzieci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Od medali do zarzutów



Kamila Baranowska

„Złote dzieci partii” zwykle robią bardzo szybkie kariery, które równie szybko się kończą. Nie inaczej jest z byłym rzecznikiem MON Bartłomiejem M., którego w ubiegłym tygodniu zatrzymało CBA

Bartłomiej M. usłyszał m.in. zarzuty powoływania się na wpływy i pośrednictwa w przyjęciu korzyści majątkowej, przekroczenia uprawnień funkcjonariusza publicznego oraz działania na szkodę jednej ze spółek Skarbu Państwa – Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Sąd przychylił się do wniosku prokuratury o trzymiesięczny areszt M. Jego obrońca poinformował, że planuje zaskarżyć tę decyzję.

Bartłomiej M. jest jedną z sześciu osób zatrzymanych przez Centralne Biuro Antykorupcyjne na wniosek tarnobrzesckiej prokuratury. Wśród zatrzymanych znaleźli się także m.in. były poseł PiS Mariusz Antoni K. oraz członek zarządu PGZ Radosław O., prywatnie dobry znajomy Bartłomieja M. jeszcze z czasów pracy w aptece w Łomiankach.

– Prezes PiS Jarosław Kaczyński wielokrotnie mówił, że nie będzie „świętych krów”, wszyscy wobec prawa są równi

bez względu na legitymacje i sympatie polityczne – skomentowała sprawę zatrzymania rzeczniczka PiS Beata Mazurek, a za nią narrację tę przejęli wszyscy pozostali politycy PiS. Jednocześnie ruszyła także lawina politycznych i publicystycznych interpretacji tego, co się wydarzyło. Jedną z wersji mówi, że zatrzymanie Bartłomieja M. to sygnał wysłany w kierunku Antoniego Macierewicza, który ma żal o usunięcie go ze stanowiska ministra i ma wokół siebie ludzi, którzy przekonują go, że nie powinien dać się usunąć na partyjny margines. Inna wskazuje, że Nowogrodzka, spodziewając się niewygodnej publikacji „Gazety Wyborczej” dotyczącej interesów spółki Srebrna, chciała przykryć to innym mocnym wydarzeniem politycznym.

To jednak spekulacje. Fakty są takie, że pierwsze doniesienia medialne dotyczące tego, że CBA bada nieprawidłowości w Polskiej Grupie Zbrojeniowej z uwzględnieniem możliwych przestępstw korupcyjnych, pojawiły się w połowie ubiegłego

roku (opisał je tygodnik „Sieci”). Nie jest więc tak, że akcja CBA była całkiem niespodziewana.

– A nie mówiłem, to się musiało tak skończyć – SMS takiej treści dostaliśmy od jednego z polityków PiS tuż po informacji o zatrzymaniu M.

Rzeczywiście, kariera „złotego dziecka PiS” kończy się równie spektakularnie i szybko, jak się zaczęła.

A zaczęła się od Antoniego Macierewicza i na nim się głównie opierała. M. (rocznik 1990) zaczynał bowiem od parzenia kawy w jego biurze poselskim. Miał wtedy 17 lat, do pracy zgłosił się sam. W „Do Rzeczy” opowiadał, że Macierewicz był i jest dla niego wzorem polityka. – Nieugięty, z jasnymi poglądami, konsekwentny, a do tego najlepszy nauczyciel, potrafiący przekazać całą tę polityczną naukę, świetny specjalista od bezpieczeństwa państwa – wyliczał.

Oficjalnie M. do PiS wstąpił w 2010 r., po katastrofie smoleńskiej. Zaangażował się w pracę zespołu ds. wyjaśniania katastrofy smoleńskiej, był szefem biura i nieformalnym rzecznikiem prasowym. To wtedy Macierewicz nabrał do niego pełnego zaufania. – Bartłomiej M. sześć lat był sekretarzem komisji smoleńskiej i to dzięki niemu zebraliśmy dowody pokazujące rosyjską odpowiedzialność za śmierć polskiej elity narodowej – chwalił go w jednym z wywiadów. To właśnie czas pracy w ko-



FOT. EUAGS2015/EAST NEWS

tu. Chociaż ważniejsze były jego funkcje nieformalne. Był prawą ręką Macierewicza. Jego cieniem, jak mówili niektórzy.

Taki awans w połączeniu z brakiem doświadczenia i młodym wiekiem musiał uderzać do głowy. Bardziej doświadczeni politycy patrzyli na jego karierę z niepokojem. Zwłaszcza że do mediów co rusz przedostawały się historie o tym, jak żołnierze oddają M. honory, salutują mu czy witają słowami „Czołem, panie ministrze!”. Symbolem stał się obrazek z jednej z uroczystości, gdy nad przemawiającym w deszczu M. parasol trzymał jeden z żołnierzy.

Macierewicz jednak na każdym kroku okazywał M., jak dużym zaufaniem go obdarza. To jego oddelegował do nocnego przejęcia Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO, w związku z tym, że poprzednie kierownictwo nie uznawało swojego odwołania. I to on miał być jego oczami i uszami w kluczowych, powiązanych z armią spółkach, jak choćby w radzie nadzorczej PGZ. To budziło wątpliwości i mnożyło pytania. M. nie miał doświadczenia ani wojskowego, ani biznesowego, wcześniej pracował w aptece w Łomiankach.

Wyciągnięto mu też, że trafiając do rady nadzorczej Polskiej Grupy Zbrojeniowej, nie tylko nie miał skończonego kursu dla członków rad nadzorczych, lecz także nie spełniał innego warunku – nie miał wyższego wykształcenia (był wówczas na etapie kończenia studiów licencjackich).

Do mediów przedostawały się historie o tym, jak żołnierze oddają M. honory, salutują mu czy witają słowami: „Czołem, panie ministrze!”

Kiedy media zaczęły się mocniej interesować sprawą, na chybcika dokonano takich zmian w statucie spółki, by M. mógł zasiadać w radzie. Platforma złożyła w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury. Sam M. bronił się, twierdząc, że trwa na niego nagonka mediów i opozycji.

– Media nauczyły się socjotechniki, koloryzowania i wyolbrzymiania tak, żeby ośmieszyć i zwalczać daną osobę. Szczególnie atakują patriotyczne środowiska młodzieżowe, nie chcąc dopuścić do koniecznych zmian, jakie niosą ze sobą kolejne pokolenia patriotycznej młodzieży.

Dla nich dobre jest to, co wiązało się z aparatem komunistycznym oraz demagogią – mówił „Do Rzeczy”, pytany o krytykę pod swoim adresem.

Macierewicz był podobnego zdania. Co więcej, uważał, że to, co się dzieje wokół M., jest próbą uderzenia w niego samego, i nie zamierzał ulegać naciskom. Wręcz przeciwnie, postanowił odznaczyć swojego współpracownika Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju, co wywołało kolejną falę oburzenia. Jeden z polityków PiS tłumaczył nam wówczas, że upór, z jakim Macierewicz wspierał M., był swoistym pokazem siły, skierowanym głównie do armii. Wedle tej tezy ówczesnemu ministrowi zależało, by pokazać, kto tu rządzi i kto może absolutnie wszystko – nawet odznaczać asystentów medalami, delegować ich do najważniejszych spółek.

W pewnym momencie powstała dziwna sytuacja, w której Macierewicza upominali publicznie prezydent, premier, a także prezes Kaczyński, a ten nic sobie z tego nie robił. – To jest wizerunkowy problem. Skoro wciąż staje się bohaterem mediów, to nie ma w tym nic dobrego i wierzę, że minister Macierewicz tę sprawę załatwi – mówił w wywiadzie dla „Do Rzeczy” Jarosław Kaczyński. – Na to, by oficerowie meldowali się temu młodemu człowiekowi czy tytułowali go ministrem, nie może być zgody – dodał. Chociaż jednocześnie przyznał też, że „to składają sympatyczny, uprzejmy młody człowiek, bardzo sprawny w tym, czym się zajmuje”.

Prezes był cierpliwy do czasu. W PiS wskazują, że sprawa M. położyła się cieniem na relacjach obu polityków i sprawiła, że Kaczyński jakiś czas później bez większych oporów zgodził się na usunięcie Macierewicza z rządu.

Sam Macierewicz, zapytany w telewizji Republika o komentarz do zatrzymania M., bronił go, choć w sposób dość umiarkowany. – Wiele osób do mnie telefonowało. Wiele osób mówiło mi, że zna tego człowieka i trudno jest im sobie wyobrazić, żeby on był nieuczciwy – stwierdził. – Nie wiem, jaka jest sytuacja, kiedy ja z nim pracowałem, był to człowiek uczciwy i rzetelny, co się działo później, nie wiem. To wyjaśnią prokuratura i sądy. Mam nadzieję, że będzie w tej sprawie zachowana rzetelność – dodał. Zdradził też, że w sprawie M. interweniował o. Tadeusz Rydzyk, który poręczył za M. w prokuraturze. Duchowny miał podkreślić, że M. zawsze zachowywał się „odpowiedzialnie, bez zastrzeżeń i bardzo przykładowie”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Stefan Sękowski

Zamiast brać udział w wojnie PO-PiS, Robert Gwiazdowski chce mówić o podatkach i emeryturach. Czy to wystarczy, by odegrać poważną rolę na scenie politycznej?

Wielu prawicowców narzeka, że nie ma na kogo głosować. PO jest nijaka i wiadomo, jak rządziła przez „tamte osiem lat”, PiS – zbyt rewolucyjny, Korwin-Mikke – zbyt radykalny... I oto przecierają oczy, bo Robert Gwiazdowski ogłosił wejście do polityki. Zaczyna budować nową formację, zaprasza do współpracy, rusza w kraj. Na trasie są takie miasta jak Poznań, Namysłów, Łódź czy Bolesławiec. Zainteresowanie jest spore, na każde spotkanie przychodzi 100–200 osób.

Robert Gwiazdowski w polityce? Przecież od zawsze od polityki się oddegnywał; powtarzał, że się na niej nie zna i się nią nie interesuje, do wyborów nie chodzi. Prawnik i doradca podatkowy, do tej pory udzielał się jako ekspert od gospodarki. Od początku III RP znany jest jako jeden z głównych przedstawicieli polskiego liberalizmu gospodarczego – jednak jako propagator (wcześniej w Centrum im. Adama Smitha czy dziś w Warsaw Enterprise Institute), ale nie jako polityk – nawet wtedy, gdy przewodził radzie nadzorczą ZUS.

PAKIET PROPOZYCJI

Polityka to coś zupełnie innego niż działalność eksperta czy publicystyczna. Żeby w niej coś ugrać, potrzebne są m.in. jasny przekaz, rozpoznawalność, pieniądze, struktury i skóra słonia. To pierwsze Gwiazdowski z pewnością posiada. W prawicowych kręgach można zauważyć pewne poruszenie, bo oto do polityki wszedł ktoś, kto nie chce wdawać się w utarczki między PO i PiS. Podobnie jak Robert Biedroń twierdzi, że to nie jego wojna i że należy zająć się rzeczami istotnymi. A jest ich sporo. Gwiazdowski wypuścił „prospekt inwestycyjny” swojej nowej formacji, choć prawdę mówiąc, jak się nie wie, gdzie szukać, to się go nie znajdzie – nie ma go



Eksperscki eksperyment

FOT. MACIEJ KOSCIARZ/KIP/REPORTER

bowiem na stronie WiadomoscGwiazdowskiego.pl. Poszczególne części są za to na stronie Związku Pracodawców i Przedsiębiorców. Można więc tam znaleźć skonkretyzowane propozycje, które prawnik głosi od lat: reformę systemu podatkowo-składkowego, polegającą na

zastąpieniu obecnych składek ZUS i podatku PIT jednolitym podatkiem od funduszu wynagrodzeń, a także wprowadzeniu jednolitej stawki VAT (16,25 proc.). Ponadto CIT miałby zostać zastąpiony podatkiem przychodowym w wysokości 1,5 proc. (miałoby to ukrócić machlojki

wokół tej daniny). Wchodzącym na rynek pracy obiecuje emeryturę obywatelską, gwarantowaną każdemu obywatelowi, który przekroczyłby odpowiedni wiek.

Celem tych zmian byłoby podatkowe odciążenie pracujących. Gwiazdowski chce także uchwalenia nowej konstytucji. Wprowadzałaby ona m.in. system prezydencki, skracając katalog praw i zwiększając uprawnienia samorządów. Wbudowana byłaby w nią także reforma sądownictwa: znikłyby Krajowa Rada Sądownictwa i Trybunał Konstytucyjny, którego funkcję przejmowałyby po trochu sądy powszechne oraz zreformowany Sąd Najwyższy.

To wszystko połączone z niechęcią do narodowców czyni z Gwiazdowskiego potencjalnie kandydata „prawicowych symetrystów”. Tylko że tutaj zaczynają się schody, bo oprócz przekazu potrzeba także innych elementów. A z tymi jest krucho. Gwiazdowskiemu brakuje rozpoznawalności Biedronia. To porównanie może wydawać się niedorzeczne, ale nie jest bezzasadne. Obaj Robertowie uderzają w podobne tony i coraz częściej mówią o podobnych sprawach. Kilka dni po ogłoszeniu swojego projektu przez Gwiazdowskiego Biedroń stwierdził, że chce wprowadzić emeryturę obywatelską. Co prawda trudno zrozumieć, czy chodzi faktycznie o takie świadczenie, czy też tylko o podwyższenie emerytury minimalnej, jednak to nieistotne. Ważne, że to hasło zaczyna być teraz kojarzone właśnie z Biedroniem – z powodu jego większej rozpoznawalności. Były poseł Ruchu Palikota od miesięcy nie wychodzi z telewizji, jest notowany w sondażach i uzyskuje w nich wyniki powyżej progu. Na sondaże uwzględniające Gwiazdowskiego jest co prawda jeszcze za wcześnie, ale gołym okiem widać, że czas, gdy to on był czołowym komentatorem ekonomicznym, już minął. Sam udzielił wywiadów RMF FM czy Polsat News, ale informacja o tym, że zakłada nową formację, pojawiła się w niewielu mediach.

DWÓCH ROBERTÓW

Podobnie jak Biedroń Gwiazdowski zaczyna od „zbierania drużyny”, choć w przypadku byłego prezydenta Słupska już od początku było wiadomo, że wśród jego współpracowników są Maciej Gdula z „Krytyki Politycznej” czy Dariusz Standerski z Fundacji Kaleckiego. Nawet jeśli nie są to nazwiska powszechnie znane, to nawet takich nieznanymi w otoczeniu

Gwiazdowskiego nie ma. Największe za interesowanie budzi potencjalna współpraca Gwiazdowskiego z Bezpартijnymi Samorządowcami, którzy w wielu miastach organizują spotkania ze świeżo upieczonym politykiem. W ubiegłorocznych wyborach do sejmików wojewódzkich zdobyli 5,3 proc. głosów w skali kraju i teoretycznie część ich wyborców mogłaby zagłosować na nową inicjatywę. – Rozmawiamy z naszymi przedstawicielami w regionach i żaden nie powiedział, że nie ma ochoty zobaczyć Roberta Gwiazdowskiego czy z nim współpracować. Jego poglądy ustrojowe, dotyczące Senatu jako nowej Izby Samorządowej, decentralizacji czy finansowania samorządów, są bliskie temu, co mówimy – mówi Jerzy Karwelis z BS, którzy właśnie rejestrują stowarzyszenie.

Jednak z rozmów z osobami zaangażowanymi w inicjatywę wynika, że te relacje nie układają się zbyt różowo, zwłaszcza jeśli chodzi o „górze” Bezpартijnych. Niczego nie przesądzając – dochodzą głosy, że co prawda „doły” ugrupowania są chętne do współpracy, to jednak ci samorządowcy, którzy w ubiegłym roku zostali prezydentami czy burmistrzami dzięki poparciu BS, nie garną się do polityki ogólnokrajowej. Nie chcą ryzykować dobrych relacji z władzą centralną. Z kolei Związek Przedsiębiorców i Pracodawców w kontekście startu nowej inicjatywy oficjalnie ogłosił swoją apolityczność, życząc Gwiazdowskiemu „samy sukcesów w nowym projekcie”, jednocześnie Gwiazdowski przestał być szefem Rady Nadzorczej ZPP. I choć nie jest tajemnicą, że kierownictwo związku patrzy na nową inicjatywę przychylnym okiem, to takie wyczekiwanie świadczy o niechęci do podjęcia ryzyka związane z jej otwartym poparciem. Swojego członka honorowego poparło także stowarzyszenie KoLibeR, które jednak jest, po pierwsze, zbyt zróżnicowane wewnętrznie, jeśli chodzi o sympatie partyjne, po drugie, nawet gdyby nie było i tak nie jest na tyle dużą siłą, by Gwiazdowski mógł na nim budować.

Prawnikowi pozostaje więc liczyć na to, że solidni działacze i politycy znajdą się wśród zgłaszających się do niego. Internetowo formularz na stronie projektu wypełniło na razie 12 tys. osób (to stan na chwilę pisania tego artykułu), teraz jednak zacznie się dla Gwiazdowskiego czas żmudnego odsiewania ziarna od plew.

A na każde potknięcie czeka konkurencja. Ta z prawej strony wykorzystała już sytuację, zarzucając prawnikowi, że nie jest wystarczająco jednoznaczny w kwestii obrony nienarodzonych dzieci. Gwiazdowski wypowiadał się bowiem jako przeciwnik aborcji, zarazem zwolennik zachowania status quo, wyśmiewający ewentualne karanie kobiet za zabicie nienarodzonego dziecka. Takich pytań będzie coraz więcej – o związki partnerskie, in vitro czy religię w szkołach. Gwiazdowski twierdzi jednak, że przemawia do tych, którzy o tym nie chcą słuchać.

TRUDNE ZADANIE

Czy w takim razie będzie dobrym kandydatem dla tych, którzy odcinają się od wojny PO-PiS? Wątpi w to socjolog dr hab. Jarosław Flis. – W tym segmencie są już Paweł Kukiz czy Janusz Korwin-Mikke. Poza tym ze szczegółowych danych, które zebrała dr Paulina Górską, autorka raportu „Polaryzacja polityczna w Polsce”, wynika, że elektorat socjalny głosuje głównie na PiS, za to wolnorynkowy jest podzielony między wszystkie pozostałe partie. PO, Kukiza, Nowoczesną, SLD, a nawet Partię Razem, której elektorat jest bardziej liberalny gospodarczo niż jej działacze. Gwiazdowski będzie miał tu sporą konkurencję – mówi naukowiec. Także socjolog Marcin Palade powątpiewa w jego szansę, a jego największym konkurentem może się okazać... były prezydent Słupska. – Największą jego wadą jest to, że jest kompletnie nierozpoznawalny poza środowiskiem konserwatywno-liberalnym. Niezdecydowani wyborcy, którzy mają poglądy wolnorynkowe i nie przywiązują wagi do kwestii obyczajowych, myślą o tym, by przenieść swoje poparcie na Roberta Biedronia – mówi.

Może wydawać się to dziwne, ale trzeba się zmierzyć z rzeczywistością. Jeśli Gwiazdowski chce odegrać jakąś rolę w polityce, to musi błyskawicznie przekształcić się z publicysty w polityka właśnie. Chociaż i wtedy będzie to bardzo trudne, skoro nawet własne środowisko nie wykazuje wiary w zwycięstwo. Jednak nawet gdyby się nie udało: jeśli dzięki niemu choć na chwilę w debacie pojawi się temat podatków czy emerytur, to też już będzie jakieś osiągnięcie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinktine'u „Nowa Konfederacja”.

Wszyscy chcą więcej



Łukasz Warzecha

Jeśli ktoś się chwali bogactwem, to ściąga na siebie kłopoty. Do rządu ustawia się kolejka tych, którzy chcą podwyżek z budżetu. Jak PiS sobie z tym poradzi?

Od trzech lat PiS chwalił się dobrym stanem finansów państwa i gospodarki. Mowa była o bardzo zwiększonych wpływach z VAT i niskim deficycie. Wedle szacunków na koniec ubiegłego roku dochody podatkowe miały być wyższe w stosunku do roku 2017 o 8 proc., a dochody z samego VAT – o 7,6 proc. W listopadzie mieliśmy jeszcze nadwyżkę budżetową, którą jednak zjadły grudniowe wydatki, ale i tak deficyt był mniejszy od zakładanego w budżecie na 2018 r. o ok. 25 mld zł i wyniósł ok. 15 mld zł.

Wszystko to prawda, ale być może niektórzy zwracają uwagę na to, że umieszczony swego czasu na warszawskim rondzie Dmowskiego licznik długu Forum Obywatelskiego Rozwoju Leszka Balcerowicza nadal tyka. Dzisiaj pokazuje 1,052 bln zł, czyli niemal 50 proc. rocznego PKB Polski, a w przeliczeniu na mieszkańca – 27 722 zł. Jak to możliwe, skoro jest tak świetnie? Mówiąc w uproszczeniu – to, że deficyt jest rekordowo niski, nie oznacza, że go nie ma. Oznacza to tyle, że dług publiczny powiększa się relatywnie najwolniej, co oczywiście jest rzeczą dobrą, ale znacznie lepsze byłoby, gdyby zaczął się zmniejszać. Czyli gdyby Polsce udało się utrzymywać budżet zbilansowany, a najlepiej – z niewielką

nadwyżką. Bo przecież dług publiczny jest nazywany publicznym właśnie dlatego, że obciąża każdego z nas. Jeśli nie my, to będą go musiały spłacać nasze dzieci. Tyle że rząd, który w praktyce mieści się w nurcie socjaldemokratycznym, nie myśli w takich kategoriach. Sam Mateusz Morawiecki wielokrotnie odwoływał się do klasyków myśli etatystycznej, a przecież to jeden z nich, John Maynard Keynes, w swym „Traktacie o reformie monetarnej” stwierdzał, że „w długim okresie wszyscy jesteśmy martwi” – czyli: po nas choćby potop. Takie podejście jako jedną ze szkół myślenia o ekonomii wzmacnia dodatkowo immanentna dojrztliwość polskiego życia publicznego.

Czy politycy PiS uwzględniali w swojej strategii wizerunkowej, że nieustannie chwalać się dobrą sytuacją, prowokując do stawiania kolejnych żądań przez kolejne grupy zawodowe? Nie wiadomo. Można za to przypuszczać, że podkreślanie od samego początku dobrego stanu gospodarki i przypisywanie sobie całej za to zasługi (choć przecież jest to również w dużej mierze efekt dobrej światowej koniunktury) to nauka z lat 2005–2007, gdy wyniki gospodarcze również były dobre, ale PiS skupił się na walce z „układem”, zamiast podkreślać tę pierwszą kwestię. Uznano potem, że była

to jedna z przyczyn porażki wyborczej sprzed 12 lat.

POLICJANCI I LEKARZE

Poza rozbudzeniem apetytów grup, którym łatwo jest naciskać na rząd ze względu na swoją rolę w państwie, możliwy jest również inny, niekoniecznie uwzględniony przez PiS, negatywny dla rządzących efekt. Oto część wyborców – w szczególności tych, których sytuacja nie zmieniła się na korzyść, a więc tych, którzy nie są beneficjentami szczodrej polityki socjalnej – może poczuć irytację, słysząc nieustannie o wspaniałej sytuacji gospodarczej i finansowej, z której sami nic nie mają. Przeciwnie – mogli np. odczuć zmniejszenie kwoty wolnej od podatku lub wręcz ją stracić. A mowa o tej grupie wyborców, którzy w 2015 r. pozwolili PiS wygrać, nie głosząc przeciwko partii Kaczyńskiego. W 2019 r. stratedzy PiS wiedzą, że muszą powalczyć o to, żeby ci wyborcy znów zostali w domach.

Tymczasem klasyczny szantaż wobec władzy zastosowali ci, którzy mają w ręku instrumenty nacisku. Policjanci w drugiej połowie ubiegłego roku zaczęli masowo dezertować ze służby, korzystając ze zwolnień lekarskich – można przypuszczać, że w ogromnej części fikcyjnych.



FOT. JAKUB KACZMAREK/VPAP

na zwarcie z grupami interesu potężniejszymi niż młodzi lekarze.

Można by się mimo to spodziewać, że po tego typu środki strona rządowa sięgnie w przypadku nauczycieli. Wszak Związek Nauczycielstwa Polskiego, główny animator obecnego protestu, jest politycznie po przeciwnej stronie niż PiS i od początku sprzeciwiał się reformie systemu edukacji, wprowadzanej po 2015 r. Tyle że żądania płacowe stawia także Solidarność oświatowa, więc uderzenie w nauczycieli byłoby ryzykowne. Solidarność wciąż jest blisko PiS, choć Piotr Duda staje się wobec rządu coraz bardziej buńczuczny.

Co ciekawe, lekarze rezydenci prowadzili protest w formie, która nie była w ogóle uciążliwa dla pacjentów lub była uciążliwa w minimalnym stopniu. Tymczasem protest mundurówki wprost zagrażał bezpieczeństwu, nauczyciele zaś zaczęli brać w grudniu masowo zwolnienia lekarskie, uciekając się do tej samej metody, z której wcześniej korzystali policjanci. Ta forma nieformalnego protestu uderza w dzieci i rodziców. ZUS w tym wypadku zareagował, przeprowadzając kontrole zwolnień. Od końca grudnia było ich ok. 3 tys.

Nauczyciele domagają się podwyższenia o 1 tys. zł podstawy, od której wyliczane są wynagrodzenia na wszystkich szczeblach nauczycielskiej kariery. Ministerstwo Edukacji wyliczało, że na spełnienie tego postulatu trzeba by znaleźć niemal 15 mld zł. Tymczasem nauczyciele mają bardzo mocną pozycję do płacowego szantażu: rok wyborczy, zbliżający się termin matur i trudny początek roku szkolnego z kumulacją roczników tuż przed wyborami do Sejmu. Atutem rządu może być brak poparcia dla nauczycielskiego strajku. Niedawne badanie panelu Ariadna pokazało, że przeciw strajkowi jest 44 proc. badanych, za – 38 proc. Rząd, jeśli zostanie przyparty do ściany, może próbować zagrać na tym sentymencie.

KTO PO NAUCZYCIELACH?

Jednak to nie koniec kolejki. Ustawili się w niej już szeroko rozumiana budżetówka oraz rolnicy. W imieniu tej pierwszej żądania zaczyna stawiać tak przeciw dopieszczana przez PiS Solidarność. Prawdą jest, że zarobki urzędników nie były waloryzowane od wielu lat. Co ciekawe, związek zawodowy przypomina też o niezrealizowanej obietnicy

podwyższenia kwoty wolnej od podatku, która, owszem, wzrosła, ale jedynie dla zarabiających absolutne minimum.

W imieniu rolników protestuje nowa organizacja AGROunia, kierowana przez Michała Kołodziejczaka. Lider związku chepi się, że rozpoczyna chłopskie powstanie. To deklaracja mocno na wyrost, ale rzeczywiście AGROunii udało się już kilkakrotnie zorganizować blokady dróg w różnych miejscach w Polsce. Policja nie interweniowała, co – jak niektórzy mogą pamiętać – było standardem jeszcze kilkanaście lat temu, gdy na czele rolników stawał Andrzej Lepper. Trudno się dziwić, skoro PiS walczy z PSL o poparcie wsi.

Na razie dotychczasowe oświadczenia AGROunii są ogólnikowe i enigmatyczne. Mówią o dramatycznie pogarszającej się sytuacji wsi, ale na czym to pogorszenie ma konkretnie polegać i jak rząd ma mu zapobiegać – nie wiadomo.

Kolejne postulaty, protesty, żądania nie powinny być zaskoczeniem. Są natomiast dla PiS bardzo rozbudowanym problemem. Po pierwsze – bo z wizerunkiem rządu współczującego, a zarazem hojnego, nie licowałoby wezwanie do wstrzemięźliwości i otwarta deklaracja, że na żadne kolejne podwyżki czy koncesje pieniędzy po prostu nie ma.

Po drugie – bo do Polski zaczynają docierać bardzo niepokojące sygnały, dotyczące światowej koniunktury, a rząd świetnie wie, że sytuacja Polski jest od niej zależna. Niemcy właśnie zredukowały prognozę własnego wzrostu gospodarczego na 2019 r. do zaledwie 1 proc. – to drastycznie mało, a polska gospodarka jest bardzo mocno powiązana z niemiecką.

Po trzecie – bo w planach na rok wyborczy PiS ma podobno ruchy, które miałyby sprawić, że ci, którzy potencjalnie mogliby głosować przeciw partii rządzącej na jesieni, zostaną w domach. Na przykład spełnienie w końcu obietnicy podniesienia kwoty wolnej od podatku. To jednak oznaczałoby spadek wpływów do budżetu. Problem w tym, że o ile ograniczanie fiskalizmu jest ruchem ze wszech miar pożądanym, o tyle powinno być zawsze połączone z redukcją wydatków. Ale tego PiS nie planuje.

Wszystko wskazuje na to, że na razie plan jest jeden: przetrwać do wyborów w stanie względnego spokoju społecznego, być może nawet kosztem nowych obciążeń dla budżetu – a potem się zobaczy. Niestety, to plan bardzo krótkowzroczny.

Zamiast tracić na trzymaniu pieniędzy w skarpecie, warto zanieść je do banku. Wpłacając je na lokatę, można uchronić oszczędności przed skutkami inflacji

Lokaty od lat cieszą się ogromną popularnością wśród Polaków. Według raportu „Kwartalne rachunki finansowe” na koniec II kwartału 2018 r. Polacy zgromadzili w bankach 481 mld zł na rachunkach bieżących i 301 mld zł na depozytach.

Lokaty są bowiem jedną z najbezpieczniejszych form oszczędzania. W zasadzie na typowej lokacie nie można stracić. Po określonym w umowie czasie wcześniej ustalony zysk jest gwarantowany przez bank. Również ryzyko związane z depozytem jest bardzo niewielkie.

To bankierzy biorą bowiem na siebie ryzyko inwestycji. I na tym właśnie zarabiają. Uproszczony model działalności banków komercyjnych wygląda bowiem prosto: bankierzy zarabiają na różnicy w oprocentowaniu lokat i kredytów. Osobom lub firmom zakładającym lokaty oferowane są więc niższe odsetki, z kolei dłużnicy – osoby fizyczne, firmy, instytucje – za pożyczone od banku pieniądze płacą więcej.

Gdyby zaś doszło do upadku banku lub zawieszenia przez niego działalności – co na szczęście w Polsce zdarza się stosunkowo rzadko – zgromadzone pieniądze są chronione przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny do równowartości 100 tys. euro, czyli obecnie ok. 430 tys. zł (pod warunkiem jednak, że dany bank ma siedzibę na terenie Polski).

JAK BANK NALICZA ODSETKI?

Kolejnym powodem ogromnej popularności depozytów jest to, że założenie lokaty nie wymaga wiedzy o złożonych instrumentach finansowych, umożliwia również przewidzenie z góry, jakie odsetki otrzymamy po zakończeniu umowy. Założenie lokaty jest też wyjątkowo proste. Najczęściej nie jest już nawet konieczna wizyta w oddziale. Większość banków umożliwia bowiem zawarcie prostej umowy depozytowej przez Internet, za pomocą aplikacji na smartfon lub przez telefon. Niektóre banki pozwalają na założenie samej lokaty, inne żądają, aby oprócz lokaty założyć również konto. Dzieje się tak np., jeśli chcemy skorzystać z podwyższonego, promocyjnego oprocentowania. Warto wówczas sprawdzić, jaki jest koszt prowadzenia kon-



Pewny zysk



FOT. ANDRZEJ STOK

ta bieżącego, aby wiedzieć, czy oferta jest rzeczywiście tak korzystna, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Czas trwania lokat jest bardzo różny. Możliwe jest ulokowanie pieniędzy na zaledwie kilkanaście godzin. Przeciętny Kowalski ma jednak do dyspozycji lokaty na okres od jednego dnia do nawet pięciu lat.

Depozyty zakładane na krótszy okres są zazwyczaj mniej zyskowne. Dla przykładu:

obecnie „zamrażając” 10 tys. zł na jeden tydzień, możemy liczyć na oprocentowanie od 0,1 proc. do maksymalnie 1,5 proc., podczas gdy średnie oprocentowanie lokat jednomiesięcznych wynosi w skali roku od ok. 0,6 proc. do 3,4 proc., a trzymiesięcznych od 0,65 proc. do 4 proc. W przypadku lokat długoterminowych – od roku do pięciu lat – oprocentowanie depozytów wynosi od ok. 0,5 proc. do 3,1 proc.

W poszukiwaniu najlepiej oprocentowanych lokat pomóc mogą strony internetowe banków (e-lokaty mogą być bardziej atrakcyjne niż standardowe depozyty), a także darmowe porównywarki lokat w Internecie. Porównując oferty, trzeba pamiętać, że bank zawsze podaje oprocentowanie w skali roku. Jeśli więc przy lokacie trzymiesięcznej bank oferuje oprocentowanie 1,8 proc., to oznacza, że

■ po trzech miesiącach dostaniemy odsetki warte 0,45 proc. naszych oszczędności. Jeśli więc ulokujemy na takiej lokacie np. 10 tys. zł z kapitalizacją odsetek na koniec umowy, to po zakończeniu inwestycji bank naliczy nam odsetki w wysokości 44,38 zł i wypłaci – już po odliczeniu podatku od zysków kapitałowych – 35,95 zł (a nie niemal 180 zł minus podatek).

Często najwyższe stawki promocyjne dotyczą tylko ograniczonych kwot (np. maksymalnie do 10 tys. zł), oferowane są tylko nowym klientom lub np. tym, którzy lokatę założą w Internecie czy za pomocą aplikacji na smartfon, a także tym, którzy w zamian za wyższe oprocentowanie zgodzą się na przetwarzanie swoich danych osobowych w celu marketingu produktów i usług podmiotów współpracujących z bankiem. Poza tym zapytajmy w banku lub sprawdźmy na stronie internetowej, jakie są skutki ewentualnego zerwania lokaty. Zazwyczaj ustalone odsetki otrzymamy bowiem tylko wówczas, jeśli utrzymamy lokatę do ostatniego dnia określonego w umowie terminu. W przeciwnym razie stracimy całość lub większą część wypracowanych odsetek.

Konieczność zamrożenia środków może być traktowana jako wada, w nagłych wypadkach ogranicza bowiem dostęp do pieniędzy. W przypadku osób, które dopiero zaczynają oszczędzać, ma jednak tę zaletę, że zniechęca do wydawania pieniędzy na chwilowe zachcianki. Są jednak banki mające w ofercie lokaty, które nawet w przypadku wcześniejszego zerwania umowy i tak gwarantują odsetki naliczane proporcjonalnie do czasu utrzymywania przez nas pieniędzy na lokacie. Warto więc sprawdzić ten warunek przed wyborem banku, w którym chcemy ulokować nasze pieniądze. Szukając odpowiedniej lokaty, warto bowiem przejrzeć oferty nie tylko banku, który prowadzi nasze konto bieżące, lecz także jego konkurentów.

Jeśli nie jesteśmy pewni, kiedy będziemy potrzebowali zaoszczędzonych pieniędzy, to możemy je ulokować na koncie oszczędnościowym (większość banków zezwala wówczas na co najwyżej jedną darmową wypłatę pieniędzy z takiego rachunku miesięcznie) lub podzielić kwotę na kilka lokat i np. 20 proc. ulokować na oprocentowanym rachunku oszczędnościowym, 40 proc. na lokacie jedno- lub trzymiesięcznej, a pozostałe środki na lokacie długoterminowej. Oprocentowanie kont oszczędnościowych waha się od ok. 0,6 proc. do 3,5 proc. w skali roku.

100 tys. euro

**RÓWNOWARTOŚĆ TAKIEJ KWOTY
W ZŁOTÓWKACH ULOKOWANEJ W POLSKICH
BANKACH JEST GWARANTOWANA PRZEZ BFG**

Warto też pamiętać, że chociaż banki zazwyczaj podają czas trwania lokaty w miesiącach, to najczęściej depozyty zakładane są na określoną liczbę dni. Aby samodzielnie obliczyć zysk z założonej lokaty, można więc posłużyć się względnie prostym wzorem: kwotę lokaty mnożymy przez liczbę dni, na którą jest ona zawarta, oraz przez oprocentowanie w skali roku, a wynik dzielimy przez 365 lub 360 dni (w zależności od banku przyjmuje się, że rok liczy 365 lub 360 dni, informacja taka powinna znaleźć się w umowie depozytowej lub w regulaminie prowadzenia rachunków lokat terminowych). Od uzyskanej kwoty musimy jeszcze odjąć wynoszący 19 proc. podatek. Trzeba również wziąć pod uwagę częstotliwość kapitalizacji odsetek (np. co pół roku, raz na rok). Ci, którzy nie mają czasu na obliczenia, mogą skorzystać z kalkulatorów internetowych, które po wprowadzeniu parametrów lokaty wyliczają rzeczywisty zysk z danego depozytu.

STAŁE CZY ZMIENNE?

Oprocentowanie lokat krótkoterminowych zazwyczaj jest stałe. W przypadku depozytów zakładanych na dłuższy okres czasami można jednak wybrać, czy wolimy oprocentowanie stałe czy zmienne. Jeśli prognozy ekonomiczne przewidują spadek stóp procentowych, to warto wybrać lokatę z oprocentowaniem stałym. Jeżeli prognozowany jest wzrost stóp procentowych, to zazwyczaj lepiej wybrać oprocentowanie zmienne. Trzeba jednak pamiętać, że rzeczywiste oprocentowanie uzależnione jest od panujących na rynku warunków, może się więc okazać, że w danym okresie – wbrew oczekiwaniom – oprocentowanie spadnie, zamiast wzrosnąć.

Lokaty dzielą się również na nieodnawialne oraz odnawialne. W przypadku tych pierwszych po zakończeniu terminu lokaty pieniądze wraz z odsetkami wracają na wskazane w umowie konto bieżące. W przypadku depozytów odnawialnych lokata jest automatycznie odnawiana na kolejny okres. Takie automatyczne przedłużenie czasu trwania depozytu nazywane jest rolowaniem.

Przed podjęciem decyzji o tym, na którą opcję się zdecydować, warto sprawdzić, jakie będzie oprocentowanie przy przedłużeniu lokaty. W wielu bankach promocyjne oprocentowanie (np. 3 proc.) dotyczy bowiem tylko pierwszych trzech miesięcy, a automatycznie przedłużony depozyt może być oprocentowany np. tylko na 0,5 proc. Najczęściej można też wybrać opcję, w której na kolejny okres deponowany jest tylko pierwotny kapitał, a odsetki trafiają na rachunek bieżący.

Obliczając przyszły zysk z lokat, pamiętajmy także, że oprocentowanie nominalne nie uwzględnia inflacji ani podatku. Jeśli więc inflacja wynosi 1,2 proc., a oprocentowanie nominalne lokaty to 3 proc., to oprocentowanie realne równa się 1,8 proc. Dodatkowo bank z należytą nam kwoty automatycznie potrąci podatek od zysków kapitałowych w wysokości 19 proc. Dopiero po jego odliczeniu możemy oszacować ostateczny zysk, który uzyskamy.

W ostatnich latach większość banków w Polsce ma nadpłynność, nie muszą rywalizować o środki klientów, w związku z czym oferują wyjątkowo niskie oprocentowanie lokat. Bywa, że jest ono na tyle skromne, iż po uwzględnieniu inflacji oraz podatku od zysków kapitałowych zamiast zysku może przynieść realną stratę. Sytuację deponentów może poprawić ewentualna podwyżka stóp procentowych, ale ta zależy od dalszego kształtowania się sytuacji gospodarczej zarówno naszego kraju, jak i gospodarki światowej. Trzeba jednak pamiętać, że nawet niewielkie oprocentowanie lokat może być mimo wszystko bardziej korzystne niż trzymanie gotówki w skarpcie czy na zwykłych nieoprocentowanych rachunkach bankowych.

DLA CIUŁACZA, RENTIERA I INWESTORA

Poza tradycyjnymi lokatami dla osób, które nie potrafią z góry określić, na jak długo uda im się zamrozić zebrany kapitał, banki proponują lokaty progresywne (dynamiczne). Zazwyczaj są to z założenia depozyty długoterminowe, np. roczne, dwuletnie lub trzyletnie. Od tradycyjnych lokat różnią się tym, że zazwyczaj w początkowym okresie oprocentowanie jest najniższe, po czym – zazwyczaj – z miesiąca na miesiąc rośnie. Zaletą tego rodzaju lokat jest możliwość wypłaty środków w dowolnym momencie bez ryzyka utraty odsetek naliczonych do momentu trwania umowy. Zazwyczaj odsetki nie są jednak w ogóle naliczane, jeśli do zerwania lokaty

dojdzie przed upływem pierwszego miesiąca.

Osoby trzymające część oszczędności w walutach obcych mogą założyć lokaty walutowe. W Polsce najczęściej są one prowadzone w dolarze, euro, we franku szwajcarskim oraz w funcie brytyjskim. Zazwyczaj są one o wiele niższe oprocentowane niż depozyty w złotych.

Wśród depozytów wyróżnia się również lokaty call, overnight oraz automatyczną. Warunkami założenia lokaty call są zazwyczaj: posiadanie rachunku bieżącego w danym banku oraz wpłata kwoty minimalnej. Depozyt zakładany jest na minimum dwa dni i ma oprocentowanie zmienne. W umowie z bankiem nie podaje się bowiem terminu jego zakończenia. Gdy potrzebujemy wycofać środki, składamy w banku stosowne wypowiedzenie i po dwóch dniach roboczych pieniądze wraz z należnymi odsetkami są przelewane na nasz rachunek bieżący.

Lokata nocna, inaczej nazywana lokatą overnight lub O/N, kierowana jest głównie do przedsiębiorców, którzy nie zamierzają zamrażać pieniędzy na dłuższy czas, ale chcą uchronić ich wartość przed inflacją. Zakładana jest zazwyczaj na zlecenie klienta do godz. 15 lub 17 danego dnia, a już następnego dnia rano pieniądze i odsetki czekają na rachunku bieżącym. W tym przypadku zdarza się jednak, że banki żądają wysokiej kwoty minimalnej, np. 200 tys. zł lub nawet 500 tys. zł. Kilka lat temu lokaty jednodniowe wykorzystywane były do unikania płacenia podatków od zysków kapitałowych. W 2012 r. weszła jednak w życie zmiana ordynacji podatkowej, zgodnie z którą zarówno podstawę opodatkowania, jak i kwoty podatków od nich pobierane zaokrąglą się do pełnych groszy w górę.

Podobnie do lokaty nocnej działa lokata automatyczna, nazywana też często lokatą dla bogatych. Banki oferują ją jedynie wybranym klientom. Depozyt zakładany jest z nadwyżek środków zgromadzonych na koncie bieżącym, gdy saldo przekroczy wcześniej określoną kwotę. Lokata automatyczna oprocentowana jest według zmiennej stopy procentowej i utrzymywana jest przez uzgodniony z bankiem okres.

Wiele banków ma w ofercie tzw. lokaty rentierskie. Są to zazwyczaj lokaty długoterminowe (od roku do trzech lat), które wyróżniają się na rynku tym, że odsetki od kapitału są regularnie wypłacane na rachunek bieżący. Najczęściej tego typu depozyty oferowane są klientom, którzy posiadają

wiekszy majątek. Kwota minimalna to często kilkanaście-kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Do grona bogatszych klientów kierowane są również lokaty negocjowane. Osoby deponujące wyższe kwoty, np. powyżej 200 tys. zł lub powyżej 1 mln zł, mogą liczyć na istotnie atrakcyjniejsze stawki niż standardowe. Lokaty negocjowane najczęściej nie mają kwoty maksymalnej ani nie podlegają automatycznemu odnowieniu. Po zakończeniu umowy nowy depozyt można zawrzeć dopiero po ponownym wynegocjowaniu warunków.

KWOTY GWARANTOWANE

Zawierając lokatę na tak wysokie kwoty, warto pamiętać, że BFG gwarantuje zwrot 100 proc. środków jedynie do kwoty stanowiącej równowartość 100 tys. euro. To zaś oznacza, że BFG w ciągu 20 dni odda depozytariuszom 100 proc. zgromadzonych w banku środków, jednak maksymalnie równowartość ok. 430 tys. zł. Mając np. 1 mln zł oszczędności, warto więc rozważyć podział tej kwoty na kilka banków, zgodnie z jednym z ulubionych powiedzeń w branży finansowej: „Nie wkładaj wszystkich jajek do jednego koszyka”.

Zawsze warto bowiem pamiętać o dywersyfikacji portfela inwestycyjnego – dzięki różnicowaniu składu naszego portfela redukujemy ryzyko, a co za tym idzie, znacząco zmniejszamy ryzyko utraty wszystkich pieniędzy.

Dla tych, którzy chcieliby, aby zgromadzony przez nich kapitał wypracował wyższe odsetki, bankierzy skonstruowali lokaty z funduszem oraz lokaty strukturyzowane. W przypadku depozytów połączonych z funduszem zazwyczaj połowa środków wpłacana jest na atrakcyjnie oprocentowaną lokatę trzy- lub sześciomiesięczną, a pozostałe środki inwestowane są w jeden z proponowanych przez bank funduszy inwestycyjnych. W przypadku konieczności wycofania się z inwestycji przed terminem zazwyczaj banki znacząco obniżają odsetki od lokaty zawartej w takim pakiecie.

Lokaty strukturyzowane to z kolei produkty, które łączą w sobie cechy tradycyjnego depozytu oraz inwestycji na rynkach finansowych. Lokata strukturyzowana zazwyczaj składa się z dwóch elementów: kapitału początkowego (zazwyczaj chronionego w trakcie trwania lokaty) oraz części opcyjnej, która umożliwia osiągnięcie dodatkowego zysku w zależności od kształtowania się ceny instrumentu

bazowego. Jak działa taki produkt? Część pieniędzy bank inwestuje np. w bezpieczne obligacje skarbowe, a część w opcje lub np. w fundusze akcji. W dniu zapadalności lokaty bank – w zależności od zapisów w warunkach lokaty – gwarantuje zwrot części lub całości zainwestowanego kapitału. Wysokość ewentualnych odsetek jest całkowicie uzależniona od wartości instrumentu bazowego, np. danej waluty, kursu wybranych spółek akcyjnych, indeksów giełdowych czy surowców i waha się zazwyczaj od 0 do 7 proc. w skali trwania inwestycji. Może się więc okazać, że dana lokata nie przyniesie żadnego zysku, a po uwzględnieniu inflacji realnie zakończy się stratą (lub nawet stratą kapitału). Do wad tego typu produktów należą zarówno limity w zakresie maksymalnego zysku, jak i wymogi uzależniające wypłatę zysku od różnych kryteriów (np. wzrostu lub spadku wartości akcji kilku różnych firm jednocześnie). Lokaty zakładane są wyłącznie w okresach subskrypcyjnych, ustalanych przez bank w zależności od panujących na rynku warunków.

Zarówno w przypadku lokat z funduszem, jak i lokat strukturyzowanych ryzyko jest zazwyczaj istotnie wyższe niż w przypadku tradycyjnej lokaty, ale wyższy jest również potencjalny zysk. Mogą one być jednak dobrym narzędziem służącym dywersyfikacji portfela inwestycyjnego.

W przypadku wyboru typu lokat, podobnie jak w przypadku pozostałych inwestycji na rynku kapitałowym, warto trzymać się zasady, aby inwestować jedynie w te instrumenty finansowe, których działanie dobrze rozumiemy. Klasyczne lokaty terminowe są zaś idealne dla początkujących.

Jan Pieniążek

Warto wiedzieć:

Deponent – właściciel lokaty.

Kapitalizacja – dopisanie przez bank odsetek do kwoty lokaty. Dzięki kapitalizacji w następnym okresie jej trwania odsetki naliczane są już od wyższego kapitału. Im kapitalizacja częstsza, tym lepiej dla naszych oszczędności. Na naszą korzyść działa bowiem tzw. procent składany.

Kwota minimalna – bank może określić, ile minimalnie pieniędzy trzeba ulokować, aby założyć lokatę. Może to być np. 500 zł lub 1000 zł.



Monika Małkowska

Polski rynek sztuki rośnie. Jednak wciąż zarabiają głównie znane nazwiska. Młodzi muszą sprzedawać w Internecie, choć podcinają tym własną gałąź

Za obraz „M39” Wojciecha Fangora zapłacono w ubiegłym roku 4,7 mln zł

FOT. JOANNA BOROWSKA/FORUM

Na pozór jest fantastycznie: obroty aukcyjne za rok 2018 wyniosły 252 mln zł. W obieg poszło ponad 15 tys. obiektów sztuki. Padł kolejny rekord sprzedaży: 7 mln 11 tys. zł za instalację (złożoną z pięciu obrazów ze „Studium przestrzeni”) Wojciecha Fangora; 4,72 mln za płótno „M39” tego samego autora. Zaledwie kilkanaście lat temu (2006) wielkim osiągnięciem wydawało się 161 tys. za obraz „E12” z 1965 r.

Dobra wiadomość dotarła też z paryskiego Christie’s: podczas grudniowej licytacji kompozycja z 1968 r. Tadeusza Kantora znalazła nabywcę za 247,5 tys. euro (ok. 1 mln zł), kwotę najwyższą z dotychczasowych transakcji aukcyjnych tego twórcy. A jeszcze dwa lata temu najdroższym polskim artystą był Roman Opałka, którego „Detal” w grudniu 2016 r. osiągnął 2,3 mln zł.

Czy to oznacza, że doszłusowaliśmy do światowego „krwiobiegu” sztuki?

Niekoniecznie. Ten sukces ma dwie strony. Normalizacja idzie ręką w rękę z patologią.

BYĆ W PELETONIE

Liderzy naszych licytacji wcale nie pracowali na swój sukces, bo... odeszli z tego świata, zanim aukcyjna maszyna poszła w ruch. Zawalczyli o nich marszandzi. Zapewnili im prowadzenie 15–20 lat temu i jak dotychczas rynek sztuki nie zweryfikował negatywnie ich wskazań.

Owszem, nastąpiły przegrupowania w mistrzowskiej ekipie, ale nazwiska wciąż te same: Fangor, Kantor, Opałka, Wróblewski, Nowosielski, Stażewski, Tarasin, Jarembianka, Brzozowski. Na dalszych pozycjach plasują się Stefan Gierowski i Stanisław Fijałkowski (nadal żyjący seniorzy), Ryszard Winiarski, Teresa Pągowska, Erna Rosenstein, Edward Krasiński, Władysław Hasior, Edward Dwurnik. Absolutnym wyjątkiem jest Mirosław Bałka (rocznik 1958), o którym wiadomo, że drogo

Licytacje biedy i bogactwa

sprzedaje, lecz na krajowych aukcjach jest praktycznie nieobecny/nieosiągalny. W najbliższych latach mogą nastąpić kolejne przetasowania, choć trzęsienie ziemi raczej nie jest nieprzewidywane.

– Najwięcej stracili ci, którzy zmarli w latach 80. lub w pierwszej dekadzie transformacji – uważa Katarzyna Włodarska, znawczyni rynku sztuki, wieloletnia redaktor „Art & Business”. – Są też przypadki szczególne, kiedy zawinił upór rodziny. Jednak wiadomo, że na rynkowy sukces nie wpływają aukcje, lecz wystawy w prestiżowych miejscach. Licytacje są efektem pozycji w historii sztuki.

To wielkie wystawy monograficzne w muzeach sprawiły, że coraz więcej rodaków interesuje się sztuką powstałą po II wojnie i inwestuje w nią. Przy czym „klasycy nowoczesności”, których dojrzałość przypadła na lata 60. XX w., o lata świetlne wyprzedzają tych, którym przyszło debiutować tu i teraz, w poprzelomowej Polsce.

MŁOTKI W RUCH!

Polski kalendarz aukcji należy do najgęstszych w Europie. Licytacji jest więcej niż dni w roku. W ubiegłym roku odnotowano 302 aukcje „młotkowe” plus trudną do dokładnego zliczenia liczbę aukcji internetowych. Do tego dochodzą sporadyczne, za to z wielkim rozgłosem urządzone licytacyjne wyścigi w mediach, które służą nie tylko jakimś zbożnej sprawie, lecz także promocji „dobroczyńców”. Dlatego artyści zabiegają, by to właśnie o ich prace walczyli uczestnicy akcji: najczęściej uzyskane wówczas kwoty mają się nijak do realistycznych wycen, wszak chodzi o szlachetny cel.

Jeśli obecne aukcyjne wzmoczenie nałożyć na nasz cherlawy rynek sztuki, który przez trzy dekady kapitalizmu nie zdołał złapać równowagi ani nie ukształtował świadomych odbiorców, to zobaczymy hybrydę o dwóch obliczach.

Jedna twarz odzwierciedla mizериę środowiska plastycznego, które w III RP doszłusowało do marginesu ubóstwa. Po drugiej stronie zobaczymy finansowych potentatów, fortuny wydawane na sztukę i zarabiane za pośrednictwem sztuki.

A co z tymi, których dzieła wywindowano na cenowe może nie himalaje, ale co najmniej taty?

Autorów, którym za życia dane jest konsumować owoce rynkowego sukcesu połączone z „podręcznikową” pozycją, można policzyć na palcach jednej ręki. Mam wymienić? Mirosław Bałka, Roman

Opalka (sprzedawał wysoko jeszcze za życia), Edward Dwurnik (choć w tym wypadku chodziło raczej o ilość) i... już.

Najczęściej frukty spływające z racji aukcyjnego wyniesienia jakiegoś nazwiska pałaszują dealerzy, pośrednicy, marszandzi (każda ze specjalności nieco się różni) oraz ci, których profesja polega na wynuchiowaniu, co w trawie piszczy. Jeśli dobrze pójdzie, to zyski czerpią krewni, znajomi i pobratymcy artysty, który pośmiertnie stał się gwiazdą, w efekcie rozmaitych marketingowych zabiegów.

Nie łudźmy się – talent sam się nie broni. Zwłaszcza nie w obecnych realiach, kiedy nie to wartościowe, co

może być niezłym widowiskiem. Aukcjonery podkrećali emocje, widownia wstrzymywała oddech, nabywcy tracili rozsądek.

Świeżo upieczeni kolekcjonerzy popisywali się portfelem jak gość z piosenki Młynarskiego, który zdawał się mówić: „Popatrzcie na mnie, chłopcy!”. Kiedy adrenalina opadała, rozsądek wracał i rozrzutni niby-nabywcy nie raz, nie dwa wycofywali się z zakupów. Jednak fama szła.

Znamienne, że przez pierwsze dwie dekady w awangardzie (zakupowej) była ariergarda. Przedmiotami pożądania stawali się polscy XIX-wieczni realści. Potem nastała moda na polsko-żydowską École de Paris, czyli figuratywną sztukę

Polski kalendarz aukcji należy do najgęstszych w Europie.

Licytacji jest więcej niż dni w roku

wartościowe, ale to, co da się efektywnie opakować.

Jak do tego przyczyniają się aukcje?

Żeby zarobić z pomocą domów aukcyjnych, trzeba czasu, mądrej strategii i... teatru.

KUPOWANIE NA HAJU

W Polsce ruch w artystycznym interesie zintensyfikował się wraz z uryunkowaniem.

„Ten gwałt, ten blask, ten cud” obserwowałam na własne oczy. Wczesne lata 90. ubiegłego wieku; powstało kilka domów aukcyjnych, które „rozkręcały biznes”. Długo ton nadawały Agra-Art, Rempex, Desa i Desa Unicum, Polswiss Art i Ostoya. Towar zbierano, skąd się dało. Obok rarytasów – rzeczy podrzędne. Dominowały figuracja i realizm. W ciemno rwano Kossaki, Brandty, Kędzierskie, Masłowskie... Jak się trafił jakiś Matejko czy Siemiradzki, młotek palił się w dłoni licytującego i wystukiwano rekordy. Do legendy przeszedł „Rozbitek” Henryka Siemiradzkiego, wylicytowany do sumy 2,13 mln zł – sukces roku 2000.

W latach 90. za najbardziej wziętych wśród artystów żyjących uchodzili Jerzy Duda-Grac, Zdzisław Beksiński i Franciszek Starowieyski. Polowano też na pseudosurrealistów, wśród których prym wiodli rodacy z certyfikatem zachodniego sukcesu. Olbiński, Siudmak... Nikt nie sprawdzał, jak ich wyceny mają się do europejskich realiów.

Spektakularnym licytacjom chętnie przypatrywali się dziennikarze. Okazało się, że walka (finansowa) o arcydzieła

międzywojnia. Współczesność sprzedawała się słabo. Domy aukcyjne nie odważyły się jeszcze organizować osobnych licytacji dzieł powstałych po II wojnie; pakowały je na koniec bądź pomiędzy „klasykę”.

Przełomem stały się wysokie notowania Andrzeja Wróblewskiego, Tadeusza Kantora, Tadeusza Brzozowskiego, Jerzego Nowosielskiego i kilku innych znanych nazwisk. Rzecz jasna, w ich promowanie zaangażowani byli marszandzi posiadający w zasobach prace tych wymienionych.

Sprawdzony sposób podbijania cen to „ustawki”, czyli fikcyjne zmagania kilku (choćby dwóch) wynajętych osób. Kiedy pada sakramentalne „i po raz trzeci...” z zatykającą dech sumą, już wiadomo, że na danego artystę będzie zapotrzebowanie. Warunek: to nie może być wbrew zdrowemu rozsądkowi, pozycji autora w historii sztuki i samej urodzie konkretnego dzieła.

Oczywiście polskie rekordy nijak się miały i mają do tych światowych. Od początku XX w. do podbijania temperatury (i stawek) podczas licytacji sztuki przyczynili się kolekcjonerzy spoza Europy. Najpierw łakomi europejskiej kultury byli Amerykanie, potem Japończycy, w ostatnich dekadach – bogacze z całego świata: Meksyku, Indii, Turcji, Rosji, Ukrainy... I, nade wszystko, ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. A jak to się zaczęło?

SZTUKA W SŁUŻBIE KAPITALIZMU I DOBROCZYŃNOŚCI

Londyn, rok 1744. Księgarz Samuel Baker ogłasza otwartą licytację zbioru



Liderzy polskich licytacji są wciąż ci sami m.in. Tadeusz Kantor (na zdjęciu obraz jego pędzla) FOT.M.LASKI/REPORTER

■ woluminów. I odnosi sukces. W efekcie zakłada firmę znaną jako Sotheby's, wyspecjalizowaną w starodrukach, która dopiero po I wojnie rozszerza działalność na rynek sztuki, podejmując się m.in. sprzedaży impresjonistów.

Także w Londynie, w 1766 r., rozkręcił biznes pan James Christie, od początku biorąc na cel handel sztuką. Od tej pory obydwaj giganty ze sobą rywalizują – na pozór. W sekrecie współpracują ze sobą, zawiadując 87 proc. globalnego obrotu dziełami sztuki.

W 2000 r. wybuchł skandal – agenci FBI wykryli, że prezesi Christie's i Sotheby's dogadali się co do wysokości prowizji pobieranych od kupujących i sprzedających. W Ameryce manipulowanie cenami dzieł sztuki traktowane jest jak gospodarcze przestępstwo. Obydwaj domy aukcyjne musiały uiścić kary po ok. 250 mln dol. każdy, a dwóch szefów Sotheby's wylądowało za kratkami.

A u nas – niewinność neofitów. Aukcje stają się atrakcją po 1989 r. Powiało wielkim światem, bo w PRL ich nie było. Oficjalny rynek sztuki sprowadzał się do transakcji za pośrednictwem państwowego przedsiębiorstwa DESA (skrótowiec od Dzieła Sztuki i Antyki), utworzonego w 1950 r. Poza tym obiegiem odbywały się potajemne, dokonywane w cztery oczy (klient – artysta), zakupy „z tapczanu”, najlepiej za dewizy. Informacje o ich wynikach kolportowane były drogą szeptaną, bez szans na weryfikację.

Marzyliśmy wtedy o oficjalnych aukcjach, które jawnie ustawiają ceny i priorytety na rynku sztuki.

Ten trend zapowiedziała dobroczynność. Mniej więcej w ostatniej dekadzie ludowego państwa ktoś wpadł na pomysł urządzania aukcji charytatywnych. Te pierwsze były w intencji wsparcia Solidarności. Potem doszły darowizny twórców, np. na rzecz chorych dzieci, pacjentów Tworek, dla podreperowania kas sierocińców oraz na inne wzniosłe cele.

Stawka wywoławcza wynosiła 100 zł – równowartość dwóch, trzech butelek wódki. Artyści nic z tego nie mieli, mimo to dawali chętnie, jako że nie istniał rynek sztuki, a dzięki takim zrywom bodaj promowali nazwisko. No i wierzyli w sens zrzuty. Jeśli ktoś z kupujących miał szczęście, to mógł trafić rarytas za bezcen.

W czasach poprzelomowej rewolucji, kiedy publiczny mecenat zaczął szwankować w wielu kulturalnych dziedzinach, inicjowano kwesty na kulturę: na niedoinwestowane pisma o sztuce („Exit”) czy na zatykanie dziur w kolekcji sztuki współczesnej w zbiorach np. Muzeum Narodowego w Warszawie.

I znów – artyści, jak zwykle bez rozważania w biznesie, ochotnie zrzucali się na potrzebujących, nie dbając o własne zyski. Dzięki ich naiwności co sprytniejsi zaczęli zbijać na sztuce fortuny.

Z czasem cenę wywoławczą na tych dobroczynnych eventach podniesiono do 500 zł. I tak pozostało do dziś.

Co ciekawe – od tej samej kwoty pół tysiąca zaczynają się też licytacje sztuki młodych. Jednak o tym później...

Do tej pory w Polsce nie miały miejsca większe przekręty związane z obrotem

sztuką. Trochę szumu wywołała działalność spółki Abbey House, której czteroletnie istnienie (2010–2014) dało kilku młodym artystom złudne nadzieje na regularne zarobki, stałe sprzedaże i pozycję w rankingach. Wszystko to miała gwarantować autorom przynależność do „stajni” AH, produkowanie wynegocjowanej liczby prac miesięcznie za ustalone wynagrodzenie, na które rzekomo miał być gwarantowany zbyt, a ceny miały rosnać. Nic takiego się nie zdarzyło, obiekty lądowały w magazynie. Jednocześnie wykupiony przez spółkę periodyk „Art & Business” bił pianę, publikując wzięte „z kapelusza” wyniki aukcji, które odbywały się wirtualnie, bez świadków. Potem rzekomo wylicytowane obiekty zniknęły.

Biznes, co było od razu do przewidzenia, zakończył się kląpą. „Stajnia” AH odeszła w niebyt; nieczyste zagrania spółki wyciszono, osoby odpowiedzialne za szwindel rozpląwały się we mgłę.

I tak Abbey House, miał pomóc w lansowaniu młodych zdolnych, tylko namącił na naszym rynku sztuki.

MIĘDZY MŁOTKIEM A CZYNSZEM

Dlaczego na aukcjach wzięcie mają jedynie obrazy „przetestowane” przez czas i historię? Rzecz oczywista – to gwarantowana lokata kapitału.

Konrad Szukalski, wiceprezes Agry-Art, potwierdza, że poważni klienci szukają tylko „pewniaków” za rozsądną cenę.

A co mają robić, z czego żyć absolwenci plastycznych uczelni publicznych i prywatnych, rozmnożonych ponad wszelką

rozsądną miarę w ostatnich dwóch dekadach? Toż to rokrocznie ok. 2 tys. osób, przekonanych, że sztuka jest ich życiowym powołaniem. Abstrahując od sensu kształcenia zastępów prekariuszy, zastanówmy się, jakie mają szanse przebić się do mainstreamu.

W Polsce, w istocie ograniczonej do Warszawy i Krakowa, zaledwie kilka galerii (Raster, Fundacja Galerii Foksal, Zderzak, Piktogram, Monopol, Leto, Startmach) ma moc sprawczą, sprowadzoną do równania: wystawa = sprzedaż. Do publicznych kolekcji, na zagranicznych targach, do prywatnych zbiorów. Raz na dwa-trzy lata do starej gwardii tych miejsc dokooptowani są nowi, atrakcyjni z handlowego punktu widzenia. Elita, stanowiąca najwyżej promil tego, co wypuszczają uczelnie artystyczne. Cała reszta zderza się z realiami i musi przetrwać.

Stąd nawałnica aukcji, internetowych i na żywo, a najczęściej – symultanicznych, na których młodzi wystawiają prace bez wcześniejszych prezentacji w galeriach. Nierzadko są to płótna jeszcze mokre, zdjęte wprost ze sztalug. Niedopracowane, wykonywane na tempo, często malowane z premedytacją pod niewyrobione gusta.

W Polsce kręci się diabelski młyn wylansowanych znakomitości, a przy ziemi obraca się skrzypiąca karuzela młodziaków i przeciętniaków

Ceny jak 10 lat temu: start od 500 zł. Jeśli uda się sprzedać, to po odliczeniu prowizji domów aukcyjnych do autora trafia ok. 300 zł. Tyle, ile wydał na materiały. A gdzie zwrot za koszty robocizny, opłatę czynszu za pracownię i po prostu – za życie?

Jednak nie to jest najgorsze. Ktoś, kto godzi się na sprzedaż za tak niską cenę, wydaje na siebie wyrok. – Sprzedaże po pół tysiąca złotych psują rynek – tłumaczy Elżbieta Kochanek-van Dijk, szefowa istniejącej już 30 lat stołecznej galerii Milano. – Teraz nic już się nie ukryje, po każdej aukcji zostaje ślad w sieci. Nabywcy, zanim coś kupią, sprawdzają w Internecie, za ile „chodzą” inne obiekty danego autora. Młody artysta, który wystawia obrazy z ceną wywoławczą

500 zł, ma nikłe szanse, by kiedykolwiek w przyszłości pomnożyć tę sumę. Twórcom, z którymi współpracuję, stawiam warunek: nigdy nie „puszczą” prac za ceny niższe niż te, które ustalamy w galerii. Wyjątkiem są aukcje charytatywne, gdzie wywoławcze 500 zł jest normą, ale też normą są wysokie przebiecia.

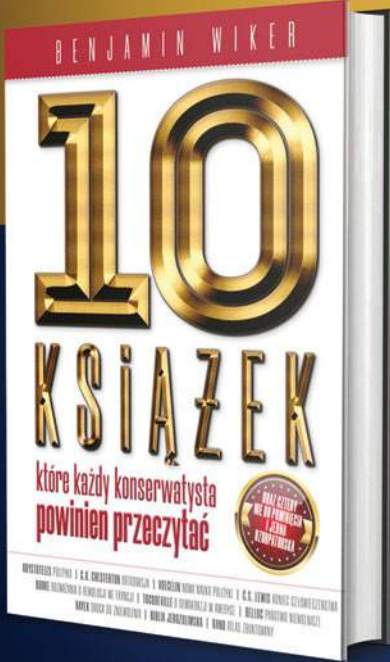
Są jednak galerie, które nie stawiają finansowych wymagań – byle coś się działo.

– Musimy robić aukcje, żeby trwać – wyjawia Barbara Elżanowska-Rutherford z warszawskiej galerii 101 Projekt. – Jeśli galeria nie ma preferencyjnych stawek za czynsz i zarabia na utrzymanie sprzedażą, to aukcje są jedynym wyjściem. Indywidualne wystawy nie są dochodowe, urządza się je raczej dla prestiżu miejsca. Klientów pozyskujemy dzięki licytacjom, jednoczesnym w sieci i na żywo.

I tak oto w Polsce trzeciego millennium kręca się równocześnie dwie aukcyjne osie: na widokowe szczyty wznosi się diabelski młyn wylansowanych znakomitości; tuż przy ziemi obraca się skrzypiąca karuzela młodziaków, przeciętniaków i tych, którzy wypadli z obiegu. Jak wynika z konstrukcji, ich osie nigdy się nie przetną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

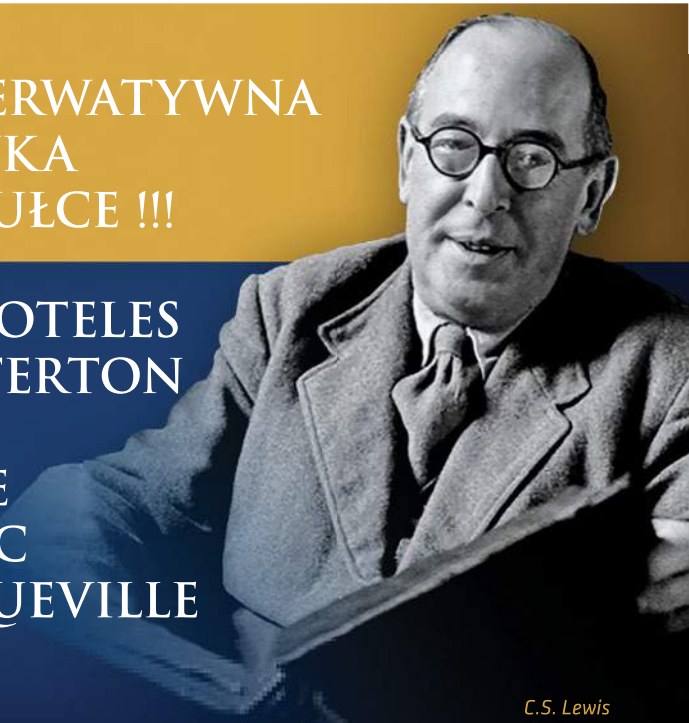
REKLAMA



KONSERWATYWNA KLASYKA W PIGUŁCE !!!

ARYSTOTELES CHESTERTON LEWIS BURKE BELLOC TOCQUEVILLE RAND

C.S. Lewis



Do kupienia w księgarni internetowej XLM, www.xlm.pl, +48 22 836 54 45



FOT. NETFLIX

Opowieść bestii



Piotr Gociek

Dokumentalny serial Berlingera o Tedzie Bundym bije na głowę wszelkie filmy fabularne inspirowane jego przerażającymi zbrodniami

Ted Bundy chciał za młodu zostać najpierw politykiem, a potem prawnikiem, co już powinno nas wprawić w stan najwyższej podejrzliwości. Odkładając żarty na bok – to właśnie utrzymywane do samego końca przebranie, strój „jednego z nas”, jak nawet zatytułował drugi odcinek swej dokumentalnej miniserii Joe Berlinger, przeraża widzów najbardziej.

„Rozmowy z mordercą: Taśmy Teda Bundy’ego” pojawiły się w Netflixie 24 stycznia, w 30. rocznicę śmierci zbrodniarza na krześle elektrycznym.

Z jednej strony to największy banał. Ileż razy widzieliśmy w telewizji świadków powtarzających przy różnych okazjach: „Niczym się nie wyróżniał”, „Był taki spokojny”, „Nikt nie zwracał na niego uwagi”. Matki opowiadają o wzorowym synu, koleżanki o sympatycznym koledze. Czasem ktoś zastrzeże delikatnie: „Był czasem taki wycofany” albo „Nie było wiadomo, co naprawdę myśli”, ale gdyby za takie przestępstwa zamykać w więzieniach, cały świat byłby więzieniem.

Co innego jednak usłyszeć następującą wymianę zdań między reporterem a młodą dziewczyną, zarejestrowaną na archiwalnym nagraniu jednej z amerykańskich stacji telewizyjnych. Frances Messier, mieszkanka domu na Florydzie, w którym przez kilka tygodni żył

Bundy (przedstawiający się wówczas jako Chris), wspomina: „Cichy, wycofany, przyjacielski”. „Poszłabyś z nim na kolację?” – dopytuje reporter. „Raz byliśmy na kolacji” – odpowiada zakłopotana. Najpierw się śmieje, ale potem ten śmiech więźnie jej w gardle. Odwraca wzrok. Chyba właśnie zrozumiała, ile miała szczęścia. Może nie była w typie Bundy’ego. A może po prostu nie zdążył zająć się nią tak jak innymi ofiarami.

Inny przerażający moment to chwila, w której detektyw z Florydy prowadzący przed laty śledztwo w sprawie Bundy’ego relacjonuje słowa, które usłyszał od zatrzymanego i zaprzeczającego wówczas wszystkiemu mordercy: „Kiedy złapiecie człowieka winnego tych przestępstw, to będzie miał na koncie liczbę trzycyfrową w sześciu stanach”. Czy ten nietypowy sposób oświadczenia: „Jestem niewinny” jest chełpieniem się swoimi przyszłymi czy dotychczasowymi

osiągnięciami? Do dziś nie wiadomo, ile kobiet zabił Bundy. Przyznał się do 30 ofiar. Na pewno było ich więcej.

Miniserię „Rozmowy z mordercą: Taśmy Teda Bundy’ego” nakręcił specjalista od dokumentów „true crime”. Joe Berlinger przez 30 lat kariery opowiadał o głośnych procesach, kontrowersyjnych wyrokach, o oskarżeniach pod adresem wielkich koncernów. Nie stronił także od innej tematyki – to jego dziełem jest znakomity dokument „Metallica: Some Kind of Monster” (2004). Osią opowieści uczynił słowa samego Bundy’ego, nagrane przez dziennikarza Stephena G. Michauda w czasach, gdy Bundy przebywał w więzieniu na Florydzie, oczekując na wykonanie wyroku śmierci.

Michaud był wówczas reporterem „Business Week”. Gdy pojawiła się możliwość nagrania i opisanie historii Bundy’ego, rzucił to zajęcie i wraz ze swym przyjacielem i mentorem z „Newsweeka”, Hugh Aynesworthem, rozpoczęli pracę nad książką. Ukazała się w roku 1983, zbierając bardzo pochlebne recenzje. Nosiła tytuł „The Only Living Witness”. Dzięki pracy Michauda Bundy mówi do nas wprost z ekranu – fragmenty wyznań zarejestrowanych na taśmach robią piorunujące wrażenie. Z kolei Aynesworth w tym czasie zbierał materiały, podróżując śladami zbrodni Bundy’ego.

W dokumentalnym serialu Berlingera występują obaj ci dziennikarze, podobnie jak wielu innych świadków wydarzeń sprzed lat. Lista jest imponująca, mamy adwokatów Bundy’ego, jego przyjaciół, jego nauczycieli, jego dziewczynę, a także policjantów, którzy go tropili, prokuratorów, telewizyjnych i radiowych reporterów relacjonujących najpierw śledztwa w sprawie zaginionych dziewcząt, a potem proces mordercy. Wiele rozmów zostało nagranych współcześnie, specjalnie na potrzeby tej produkcji, zadziwia jednak ogrom i poziom materiałów archiwalnych. Ameryka lat 70. XX w. była już krainą mediów elektronicznych w stopniu, o jakim ówczesnym mieszkańcom wielu innych państw nawet się nie śniło.

SYMBOL LĘKÓW

Ted Bundy stał się postacią ikoniczną na długie liście ponurych, przerażających postaci. Nie tylko dlatego, że był zabójcą tak skutecznym i że jego krwawa aktywność przypadła na czasy rozkwitu telewizji oraz erę „eventów medialnych” rozpoczętą przez tragicznie zakończoną

prezydenturę Johna Kennedy’ego. Bywali zabójcy bardziej okrutni, oddający się jeszcze bardziej odrażającym praktykom, bardziej nieuchwytni i obciążeni dłuższą listą ofiar. Bundy to symbol największych lęków zwykłych obywateli o bestii wyglądającej na pozór tak jak my, zachowującej się tak jak my, a mimo to zdolnej do wszystkiego.

Serial Berlingera pokazuje tę dwoistość doskonale. Ted Bundy, przystojny, zdolny, inteligentny i przedsiębiorczy młody człowiek, robi na znajomych jak najlepsze wrażenie. Sekwencje opowiadające o jego wczesnych latach równie dobrze mogłyby prowadzić nie do „American crime”, lecz „American success story”. Prawnik, polityk, psycholog (studiował ten kierunek), może reporter, a może skuteczny biznesmen? Z zewnątrz miał wszystko, co pozwalało by na karierę we współczesnej Ameryce. Nawet kiedy oglądamy ujęcia z jego procesu, trudno oprzeć się wrażeniu, że gdyby ktoś nieznający kontekstu miał wskazać na sali podejrzanego indywiduum, to szybciej wybrałby kogoś z publiczności albo adwokatów mordercy. Bundy niewątpliwie miał także charyzmę. W gorszych okolicznościach (niestety, zawsze są możliwe jeszcze gorsze okoliczności) chyba nie miałby problemu z wcieleniem się w rolę występnego lidera kultu religijnego takiego jak Jim Jones czy David Koresh.

ODPOWIEDNIO SPRYTNY

Ze wszystkich swych darów Bundy robił użytek niewłaściwy. Za fasadą miłego chłopca z sąsiedztwa skrywała się osobowość chwiejna i ułomna, po prostu psychopatyczna. Jakże metodycznie przygotowywająca jednak swe zbrodnie! W pewnym momencie Bundy pracował nawet w komisji doradczej ds. prewencji zbrodni w Seattle, gdzie – jak mówi – „zajmował się zbrodniami przeciw kobietom, zwłaszcza gwałtom”. Dało mu to dostęp do policyjnych statystyk i bezcennej w przyszłości wiedzy o policyjnych procedurach (a ściślej – ich braku). – Zobaczysz to, czego policja nie dostrzegała – opowiada Stephen G. Michaud. – Znalazł miejsca, w których odpowiednio sprytna osoba mogłaby

wykorzystać chaos i brak konsekwencji w obrębie różnych jurysdykcji.

Bundy okazał się „odpowiednio sprytną osobą”. Porywał, gwałcił, torturował, poniżał i zabijał swoje ofiary. Posuwał się także do praktyk nekrofilskich. Przez długie czas policjanci nie mieli pojęcia, że za rozmaitymi morderstwami stoi ten sam sprawca. Departamenty w rozmaitych stanach nie wymieniały informacji. FBI dopiero zaczynało pracę nad profilowaniem i tworzeniem wydziału behawioralnego. Bundy tymczasem zabijał: w jednym stanie, w drugim, trzecim. Kiedy uznawał, że sprawy przybierały niebezpieczny obrót, po prostu się przeniósł, gotów do rozpoczęcia nowego życia (i nowej serii zbrodni) w innym stanie, na innej uczelni.

Nazywany przez łowców go detektywów i oskarżających prokuratorów „wcieleniem czystego zła”, stał się jednym z najbardziej znanych przestępców lat 70. XX w. Urodził się taki? Coś poszło nie tak z jego wychowaniem? Może był psychicznie chory? Pełnej odpowiedzi na to pytanie nie znamy do dziś.

Serial Berlingera jest jednak najpełniejszą jak dotąd i chyba najrzetelniejszą próbą opisanie jego działalności na ekranie. Jest także rzadkim przykładem telewizyjnego dokumentu „true crime” trzymającego poziom. Co roku produkuje się pospiesznie dziesiątki, jeśli nie setki takich programów, zwykle ze znikomym ładunkiem wiedzy, za to ogromną dozą taniej sensacji i zwyczajnej pornografii śmierci. W tym samym

Netflixi, którego za udostępnienie „Rozmów z mordercą” wypada pochwalić, jest przecież i skłębony byle jak doku-serial „Inside Criminal Mind”, w którym autorzy z lubością pokazują aktorów odgrywających role przerażonych ofiar. Z dziennikarstwem nie ma to wiele wspólnego.

Berlinger natomiast podczas zakończonego kilka dni temu festiwalu filmowego w Sundance pokazał inną produkcję o Bundym – film fabularny „Extremely Wicked, Shockingly Evil, and Vile”. Jest to historia Teda Bundy’ego opowiedziana z punktu widzenia jego wioletołnej dziewczyny, Elizabeth, która nie miała pojęcia o jego podwójnym życiu i wierzyła w jego niewinność nawet wtedy, gdy w sądzie zapadł wyrok: skazany na śmierć. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★

REŻ. JOE BERLINGER
„ROZMOWY Z MORDERCĄ: TAŚMY TEDA BUNDY’EGO” („CONVERSATIONS WITH A KILLER: THE TED BUNDY TAPES”)
USA 2019,
DYSTR. NETFLIX



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ponad dobrem i złem



★★★★★
REŻ. LUIS ORTEGA
„ANIOŁ”
(„EL ÁNGEL”)
**ARGENTYNA/
HISZPANIA 2018**

wyst. Lorenzo
Ferro, Chino Darín,
Cecilia Roth

Tylko w serialach i powieściach notoryczni mordercy są erudydami o ujmującej powierzchowności i książęcych manierach. W prawdziwym życiu wyróżniają się raczej brutalnością i brakiem wyobraźni (o empatii nie wspominając) niż urodą i wykształceniem. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły. Jednym z nich jest Argentyńczyk Carlos Robledo Puch, zwyrodnialec o nader zwodniczym wyglądzie. Prasa nadała mu przydomek Anioł, a filmowcy, odczekawszy dla przyzwoitości lat czterdzieści kilka, uczynili zeń muzycznego anarchistę, który zabijał, bo tak jakoś wyszło.

Buenos Aires, rok 1971. Carlos, efeb o twarzy okolonej blond lokami, ma obsesję wolności. Z sobie tylko znanych powodów utożsamia ją z przywilejem wchodzenia do

cudzych domów i zabieraniem na pamiątkę różnych fantów. Matka się dziwi, że koledzy wciąż mu coś pożyczają, bo młodzian, mówiąc o sobie z dumą: „urodzony złodziej”, kłamie. Jego rodzice są uczciwi, ani biedni, ani bogaci i wychowali pierworodnego, jak umieli najlepiej. Naszego pięknisia nauka jednak nie interesuje. W zawodówce pozna Ramona, który też ma lepkie ręce, i jego tatusia, który niedawno wyszedł z więzienia.

Panowie łakną sławy i uznania. Carlos to zawołany tancerz, Ramon śpiewa i chce sprawdzić się w show-biznesie, gdyż przyszłość należy do artystów (oraz rzezimieszków). „Jesteśmy jak Che i Fidel, Evita i Peron!” – puszą się po udanym skoku. Oficjalnie obaj mają dziewczyny, zresztą bliźniaczki, lecz skoro „Anioła” firmuje jako producent Pe-

dro Almodóvar, to wiadomo, że bez perwersji się nie obejdzie. Filmowy Puch jest typem wybitnie androgynicznym, a jego przyjaźń z Ramonem – cokolwiek dwuznaczna.

Dlaczego policja z mety nie przyskrzypiła tak niewydarzonych przestępców?

Scenarzyści sugerują, że priorytetem dla ówczesnych stróżów prawa było ściganie wrogów rządu. Jednak wolą grać na romantycznej, nie na politycznej, nucie. Pytanie, czy socjopata, który zabija z głupia frant, bezinteresownie, tylko dlatego, że może to zrobić, nadaje się na współczesnego lorda Byrona. Twarz aktora, grającego upadłego „Anioła”, nie wyraża nic poza ciekawością: Jak to jest umierać?

Nominacja do Oscara przeszła Argentyńczykom koło nosa i dobrze się stało. Lightowych filmów o ciężkich zbrodniach nakręcono już wystarczająco wiele.

Prawdziwy Puch był zresztą jeszcze gorszy od ekranowego. Zdarzyło mu się strzelać do kobiet, a nawet do niemowlęcia. Gromko jednak protestował przeciwko imputowaniu mu homoseksualnych skłonności. W latynoskiej kulturze nazwanie kogoś ciotą jest bowiem zniewagą z gatunku niewybaczalnych. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „FAWORYTA”

Nowy film reżysera filmów „Lobster” i „Zabicie świętego jelenia” podbił serca krytyków z całego świata. Lanthimos, piszący zwykle własne scenariusze, tym razem sięgnął po cudzy tekst (debiutantka Deborah Davis i telewizyjny weteran Tony McNamara). Efektem jest kostiumowy film o intrygach na angielskim dworze

początku XVIII stulecia, gorzka, błyskotliwa opowieść przyrównywana przez niektórych do „Barry’ego Lyndona” Stanleya Kubricka. Złoty Glob dla Olivii Colman za rolę główną i sporo szans na Oscara. ©© **Piotr Gociek**

• „Faworyta”, reż. Yorgos Lanthimos, wyst. Olivia Colman, Emma Stone, Rachel Weisz, Wielka Brytania/Irlandia 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Green Book”, reż. Peter Farrelly, USA 2018
- „LEGO® PRZYGODA 2”, reż. Mike Mitchell, USA 2019
- „Planeta Singli 3”, reż. Sam Aláin, Polska 2019
- „Walc w alejkach”, reż. Thomas Stuber, Niemcy 2018

Chybiona terapia

Jeśli sódomia jest chorobą, to raczej nieuleczalną. Przykładów znajdziemy sporo – w życiu, kinie i literaturze. Bohaterkę nowego filmu Desiree Akhavan do chłopaków nie ciągnie. Woli obdarzać pieczytami koleżankę. Gdy romans wydźwie na jaw, bogobojna ciotka (rodzice nie żyją) wywozi nastolatkę do ośrodka szkolno-terapeutycznego Wielkiej Obietnicy. Pełna zapału kadra, na czele z wieloletnim Rickiem, który sam niegdyś zmagał się z pociąganiem do własnej płci, ma sprawić, by Cameron wróciła do normy, kontynuując przy tym normalną edukację.

Uczniów nie maltretuje się psychicznie. Wychowawcy stawiają na łagodną perswazję, szczere rozmowy i zachę-

canie do pracy nad sobą. Część podopiecznych daje się przekonać, że homoseksualizm to grzech taki sam jak narkomania, lecz dla reszty religia jest tylko zbiorem pustych rytuałów. Na nich pedagogika wstydu nie działa. Mogą się co najwyżej nauczyć

hipokryzji (skądinąd bardzo przydatnej w dorosłym życiu).

Historia upadku Wielkiej Obietnicy wygrała festiwal w Sundance. Tam lubią antyhollywoodzkie, letnie fabuły. Komedio-dramatowi, który nie jest ani zbyt śmieszny, ani zanedo dołujący, nie potępia w czambuł religii, a przed współczesnością ucieka w epokę grunge'u, trudno jednak wróżyć wielką karierę w naszych kinach. ©©

Wiesław Chęłmniak



★★★★★

REŻ. DESIREE AKHAVAN
„ZŁE WYCHOWANIE CAMERON POST”
USA 2018

wyst. Chloë Grace Moretz, John Gallagher Jr, Sasha Lane



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „RESIDENT EVIL 2 REMAKE”

Dwadzieścia jeden lat. Właściwie całe pokolenie minęło od czasu, w którym pierwszy raz przemieszczałyśmy się ulicami pogrążonego w chaosie i opanowanego przez epidemię zombi miasta Racoon City. Chyba każdy dzieciak, który w latach 90. mógł się pochwalić playstation,

pamięta zakamarki tamtejszego komisariatu i walki ze zmutowanymi bossami. A ponieważ nostalgia to broń potężniejsza od shotguna, wcielając się w losy młodego policjanta Leona i jego towarzyszkę przygód Claire, bawimy się tak samo dobrze jak wtedy. To zasługa nie tylko



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

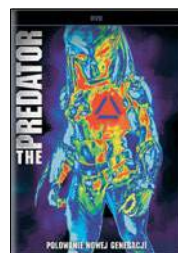
wspomnień, lecz także odświeżeniu systemu sterowania i nowej grafiki.
©©

Marcin Makowski

- Gatunek: TPP/Horror
- Platforma: PC/PS4/XONE
- Dystrybutor: Capcom/Cenega
- Klasyfikacja PEGI: 18+

CZAS DRAPIEŻNIKA

Shane Black to w Hollywood poważana figura. Jak nie szanować gościa, który wymyślił „Zabójczą broń” i scenariusze do trzech kinowych hitów tej serii, a poza tym napisał „Ostatniego skauta”, „Ostatniego bohatera akcji” czy wyreżyserował kryminał „Równi goście”? Wskrzeszając serię „Predator”, Black poniósł jednak porażkę. Jak na kontynuację męskiego thrilleru z 1987 r. film jest zbyt dziecinny, jak na hold klasyce – zbyt wypełniony niepotrzebną przemocą. Trafiają się sceny zabawne, ale robią wrażenie wyjętych z jakiejś zupełnie innej opowieści. Miał to być początek całkiem nowej trylogii, ale raczej nie będzie, bo produkcja okazała się finansową kląpą. Deklaracje twórców, którzy chcieli „wskrzesić ducha »Bliskich spotkań trzeciego stopnia«”, były puste. Aby robić wzruszające kino fantastyczno-familijne, trzeba mieć serce i takt Spielberga, a nie pomysł na historię gromady wesołych wariatów uzbrojonych po zęby.



★★★★★

REŻ. SHANE BLACK
„PREDATOR”
USA 2018,
DYSTR. IMPERIAL

wyst. Boyd Holbrook, Trevante Rhodes, Jacob Tremblay

PANI ZEMSTA

Riley (Jennifer Garner) to ciężko pracująca, niezamożna pani domu. Pewnego dnia cyngle latynoskiego handlarza narkotyków zabijają jej męża i córkę. Ponieważ skorumpowany system nie daje gwarancji ukarania sprawców, Riley zamienia się w anioła zemsty. Zajmie jej to kilka lat, ale okaże się skuteczniejsza od policji.

Filmy zemsty mogą być porywająco i świeżo opowiedziane (tak jak koreański „Oldboy”), mogą być też pełne autentycznej furii i frustracji z powodu tumi-wizmu władzy (jak pierwsze filmy o Brudnym Harrym czy pierwsze „Życzenie śmierci”). Film Pierre’a Morela, reżysera „Uprowadzonej”, nie kwalifikuje się do żadnej z tych kategorii. Wszystko jest tu konwencjonalne, papierowe, sztuczne, włącznie z drewnianymi dialogami. Pierwsze 10 minut wygląda obiecująco, potem zaczyna się droga przez mękę. Zatem nie poziom „Oldboya”, lecz „M jak morderca” z Alem Pacino, którą to produkcję odradzałem mniej więcej rok temu. Odradzam szczerze i „Peppermint”. ©©

recenzuje Piotr Gociek



★★★★★

REŻ. PIERRE MOREL
„PEPPERMINT. SMAK ZEMSTY”
USA 2018,
DYSTR. MONOLITH

wyst. Jennifer Garner, John Gallagher Jr., John Ortiz

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Góra Światła

O Koh-i-noorze, najsłynniejszym diamentcie świata, dowiedziałem się w dzieciństwie od... Jules'a Verne'a, a to za sprawą jego „Gwiazdy Południa”. Później stwierdziłem, że diament, którego nazwa tłumaczona jest jako Góra Światła, znaleźć można także na kartach innych powieści, również tych adresowanych do nieco starszego czytelnika.

W każdym razie tak utkwiła w mej pamięci historia najsławniejszych diamentów opowiedziana przez francuskiego pisarza, że nie mogłem teraz przejść obojętny obok wydanej właśnie książki Williama Dalrymple'a, szkockiego historyka, reportera i podróżnika, znanego z prac poświęconych dziejom oraz sztuce Indii, Pakistanu i Afganistanu.

Akcja „Koh-i-nooru” rozpoczyna się w 1849 r., kiedy to w Pałacu Luster w Lahore 10-letni maharadża Pendżabu Dalip Singh podpisał akt kapitulacji, przystając na warunki narzucone przez Kompanię Wschodnioindyjską, i przekazał królowej Wiktorii najcenniejszy przedmiot – jak czytamy – „nie tylko w Pendżabie, ale może nawet na całym subkontynencie”. Przedmiotem tym była oczywiście Góra Światła.

Po klejnot przyjechał do Lahore generalny gubernator lord Dalhousie, który poprosił urzędnika magistratu w Delhi, Theo Metcalfe'a, by ten sprawdził fakty dotyczące Koh-i-noora. Urzędnik sporządził nader fantastyczny raport, którego fragmenty stały się podstawą licznych artykułów, a i po dziś dzień bałamuca czytelników Wikipedii. O tym, jak z tym niezwyklej diamentem było naprawdę, dowiedzą się czytelnicy książki Dalrymple'a, nie ma bowiem powodu, by w tym miejscu ją streszczać. W każdym razie w historii Koh-i-noora nie brakuje



FOT. TIM GRAHAM/GETTY IMAGES



FOT. INDUSTRIAL IMAGES/GETTY IMAGES

najbardziej pożądanym przedmiotów, by się nimi chępić, podobnie jak robili to Rzymianie z osobliwościami pochodzącymi z podbojów dwa tysiące lat wcześniej”. Dzisiaj turyści oglądający klejnot w muzeum Tower dziwią się, że jest on taki... mały. Bo też tak wypada w porównaniu ze znajdującymi się w tej samej gablocie znacznie większymi brylantami nazwanymi Cullinan I i Cullinan II. A w ogóle Koh-i-noor w zestawieniu największych brylantów na świecie zajmuje dziś dopiero 90. miejsce. Jednak jest najsłynniejszy, i kwita.

Mimo ponawianych prób o zwrot Koh-i-noora przez kraje, w których kiedyś przebywał, pewne jest, że „nic nie jest w stanie w najbliższej przyszłości usunąć brylantu z jego muzealnej gabloty. Czekają tam na kolejną królową małżonkę i może pewnego dnia zajaśnieć na głowie królowej Kamili, żony przyszłego króla Karola III. Biorąc jednak pod uwagę pełną przemocę i często tragiczną historię brylantu, niewykluczone, że ona, jak i sama monarchia, będą chciały uniknąć ryzyka”.

Wśród pomysłów na to, co począć z brylantem, o którego wartości decyduje jego sława, są i takie, by go umieścić w specjalnie do tego celu utworzonym muzeum na granicy Indii i Pakistanu albo pociąć go na kawałki i przekazać je każdemu krajowi, który uwiarygodni swoje prawa do niego, co dotyczy również Iranu. Powiedzmy od razu, że takie rozwiązanie, niechby i salomonowe, nie wchodzi w grę.

I pomyśleć, że w dziejach Koh-i-noora mieści się też czas, kiedy był on ukryty w ścianie celi więziennej w forcie na pustkowiu w Afganistanu, czy też rok, gdy leżał na biurku pewnego mułły, który używał go jako przycisku do papieru w trakcie pisania swoich pobożnych kazań. ©



★★★★★

WILLIAM DALRYMPLE, ANITA ANAND
„KOH-I-NOOR.
HISTORIA
NAJSŁYNIEJSZEGO
DIAMENTU
ŚWIATA”
NOIR SUR BLANC
2019

łupieży, płaćdrowań i zawłaszczeń, choć wydaje się, że Brytyjczykom najbardziej zależało na tym, by ukryć własną grabież.

Koh-i-noor stał się najsławniejszym brylantem na świecie zaraz po tym, jak królowa Wiktorja udostępniła go organizatorom wystawy światowej w roku 1851. „Stał się też symbolem dominacji wiktoriańskiej Wielkiej Brytanii nad światem i jej zdolności do zabierania z każdego zakątka ziemi



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Miesiąc z book'n'grillem

Nowa powieść Władimira Sorokina jest wielkim żartem. Przy całej językowej maestrii – o tak, autor „Dnia oprycznika” pisać potrafi! – oparta jest jednak na pomysle, którego świeżość wyczerpuje się szybko. Opowiada bowiem o przyszłości, w której książki służą do opalania grzesznej, drogiej przyjemności zwanej book'n'grill. Sposób przygotowania jest następujący: rozmaitym potrawom przyporządkowano rozmaite dzieła literackie, spalane zamiast drewna czy węgla w trakcie grillowania. Słowo „przeczytać” nabrało nowego znaczenia. „Przeczytać” znaczy puścić z dymem.

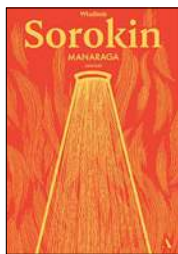
Owa przyszłość jest tyleż ponura, co ciekawa. Świat mocno zrujnowany, po wielu kolejnych konfliktach. Przeszła druga fala rewolucji islamskiej, przy czym inwazję mullahów odparto gdzieś na Bałkanach. Rosja upadła (zasłużona kara za krzywdy, które wyrządziła światu – podsumowuje jeden z bohaterów). Narody wymieszwały się na nowo, czego dowodzą choćby imiona bohaterów: Polak to John, Włoch to Bronisław, a główny bohater i narrator – Geza, choć za rodziców ma Białorusina oraz Tatarke, której rodzina uciekła z Krymu.

Geza jest cennym członkiem światowego podzie-

mia przestępczego zwanego Kuchnią. Nielegalni kucharze kradną cenne książki z muzeów, przemycają je przez pilnie strzeżone granice i palą ku ucieście bogatych klientów. Cały ten rytuał book'n'grillowania opisywany jest przez Sorokina po wielokroć i z wielkim zapałem, aczkolwiek żart przestaje być świeży po kilkunastu stronach. Co wypełnia resztę powieści? Literackie parodie (od Tołstoja do Bułhakowa) oraz odrobina kryminalnej intrygi, która zaprowadzi Gezę do tytułowej Manaragi, góry na północnym Uralu. No i luźne obrazki z życia w przyszłości, która jest taka jak teraźniejszość, tylko bardziej: więcej chaosu, więcej niepewności, więcej eskapistycznych rozrywek w postaci holofilmów, wszystko bardziej cyber („infopchełki” implantowane wprost do mózgu).

Sorokin jest szydercą biegłym i błyskotliwym (a także bufonowatym, bo parokroć wspomina o przetrwaniu dzieła własnego autorstwa). Tym razem jego kpiny zdają

się nie służyć niczemu oprócz pustego śmiechu. Wszystko splugawione, puszczone z dymem, spsiałe. Wiemy, czytaliśmy. Tradycyjna wynalazczość, gdy chodzi o podporządkowanie sobie drugiego człowieka. Znamy, słyszeliśmy. A książka niezbyt gruba, nie wiem, czy dałoby się na niej ugrillować choć płat boczku. ©©



★★★★★
WŁADIMIR
SOROKIN
„MANARAGA”
AGORA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jak uciec z pułapki samorozwoju”, czyli rzecz w kontrze do zalewu publikacji typu „możesz wszystko”, „rozwijaj się nieustannie”. Są wszak rzeczy, z którymi pogodzić się trzeba. Stoicki spokój i umiejętność wyboru mogą nas uratować.



SVEND
BRINKMANN
„POCZUĆ GRUNT
POD NOGAMI”
MANDO

O tym, jak cel uświęca środki, na przykładzie akcji skrytobójczych, metody rozwiniętej do perfekcji przez izraelskie służby specjalne. Od czasów walki o powstanie Izraela do czasów współczesnych.



RONEN
BERGMAN
„POWSTAŃ I ZABIJ
PIERWSZY”
POST FACTUM

Obszerna biografia niezwyklej postaci – ks. Gnatowski był ważną figurą lwowskiego życia kulturalnego, cenionym publicystą, pisarzem (m.in. jako Jan Łada wydał głośną ongiś powieść „Antychryst”) i papieskim dyplomatą.



JAN MARIA
JACKOWSKI
„KS. JAN
GNATOWSKI
(1855-1925)
NA TLE EPOKI”
UKSW

Uczta dla miłośników krótkiej formy. Zbiór literackich drobiazgów twórcy „Nigdziebądź” przynosi też prezent dla fanów – „Amerykańskich bogów” (opowiadanie „Czarny pies”) i tradycyjnie intrygujące komentarze od autorskie.



NEIL GAIMAN
„DRAŻLIWE
TEMATY”
MAG

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Heather Morris** „*Tatuażysta z Auschwitz*” (*Marginesy*) – opowieść o **Lale Sokołowie**, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
2. **Jakub Żulczyk** „*Ślepnąc od świateł*” (*Świat Książki*) – powieść o dilerze narkotyków z Warszawy wraca na listę dzięki serialowi HBO.
3. **Adam Kay** „*Będzie bolało*” (*Insignis*) – sekretny dziennik młodego lekarza, czyli były medyk, dziś komik, szczerze (i zabawnie) o brytyjskiej służbie zdrowia.
4. **Remigiusz Mróz** „*Zaginiecie*” (*Czwarta Strona*) – drugi tom cyklu o **Joannie Chyłce** wraca na listy bestsellerów dzięki serialowej wersji (*Player*, TVN).
5. **Anja Rubik** „*Sexed.pl*” (*W.A.B.*) – modelka **Anja Rubik**, „*łamie tabu*” w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.

(Najchętniej kupowane tytuły w salonach Empik od 7 do 20 stycznia 2019 r.)

– To będzie moja ukochana trasa! Akustyczna, wyjątkowa i magiczna! – zapowiada Anita Lipnicka, która pod koniec stycznia rozpoczęła tournée po Polsce. Trzymamy za słowo, bo to trasa jubileuszowa. Anita jest na scenie od 25 lat.

Jako nastolatka stanęła na rozdrożu – musiała wybrać między karierą modelki a piosenkarki. W wieku 19 lat nagrała z zespołem Varius Manx pierwszą płytę. Jednak w tym wieku nie traktowała jeszcze poważnie tej drogi życiowej. Ostatnio w audycji „Magazynek” w Trójce wyznawała Piotrowi Metzowi: „W jednym z wywiadów z dawnych lat mówię zdecydowanym tonem, że jak najbardziej zdobędę jeszcze drugi zawód, bo śpiewanie i muzykowanie to jest zupełnie niepoważna sprawa i nie wyobrażam sobie po czterdziestce dalej skakać po scenie i uprawiać muzykę, bo to jest niepoważne i trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny.



Anita z bliska

FOT. RUP BLAZEWSKI / FORUM

Mam dzisiaj 43 lata i dalej skaczę po scenie”.

Nowego zawodu sobie Anita nie wymyśliła, kariera potoczyła się szybko, „muzykowanie” wciągnęło. Kolejne albumy ukazywały się rok po roku, trzecia płyta – „Wszystko się może zdarzyć” – była już

albumem solo. Anita rozstała się z Varius Manx, wszystkie stacje grały jej „I wszystko się może zdarzyć”, a w zespole zastąpiła ją Kasia Stankiewicz, która nagrała w tym czasie m.in. przebój „Orla cień”. A w kręconej kilka lat później kultowej komedii „Chłopaki

nie płaczą” gangster grany przez Michała Milowicza, chwalał Mieczysława Fogga, narzekał: „To jest prawdziwa piosenka o niespełnionej miłości. [...] Nie mówi o tym, że widziałam ptaka dzień albo że „wszystko się może zdarzyć”. Wielkie odkrycie. Jasne, k...”, że „wszystko się może zdarzyć”.

Od tego czasu minęło jednak prawie 25 lat. Anita się zmieniła, rozwinęła. Ma za sobą kilka płyt z walijskim muzykiem, a przez kilkanaście lat jej życiowym partnerem, Johnem Porterem. Odeszła daleko od „I wszystko się może...”, co nie zawsze spotykało się z zadowoleniem publiczności oczekującej od wokalistki więcej czystej rozrywki niż artystycznych doznań. Jej ostatni album „Miód i dym” z 2017 r. wydaje się być w tej materii dość rozsądnym kompromisem.

Trasa koncertowa „Anita z bliska” to podróż przez lata twórczej ewolucji Lipnickiej. Kameralna i klimatyczna. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Nie ma jak u taty

Bezpieczna rodzinna płyta dla tych, którzy wychowali się na białobluesowej muzyce lat 70. Tata dawno temu udowodnił, że ma jedno z najlepszych gardel rockowych w kraju.

Sęk w tym, że nigdy nie wyszedł poza opanowane do perfekcji schematy. Liczyłem zatem, że spotkanie w studiu z córką zaowocuje choćby minimalnym skokiem w bok. Nic z tego. Dyrektorem artystycznym „Drogi” jest Dariusz Kozakiewicz, sprawdzony kompan z Perfectu, więc mamy pięknie nagrane gitary, precyzyjne ustawione głosy, kompleksowe aranżacje, a w efekcie przewidywalne piosenki.

W tekstach przewijają się rockowe mity („W kieszeni brzęczy tylko nóż”; „Choć skóra twarda jak orzech, pod spodem – ta sama krew”; „Na oślepie, lecz ważne, żeby biec” itd.). Dlatego na wyróżnienie zasługują: „Kontrablues” z horrorem egzystencjalnym nestora Bogdana Loebela i „Napój złotawy”, w którym Wojciech Waglewski utyskuje na ogarniający nas hejt. Do tego pierwszy z utworów ze względu na oszczędną aranżację na kontrabas, puzon i jazzową perkusję najmocniej przykuwa uwagę.

Mimo zastrzeżeń polecam płytę, gdyż jej najmocniejszą stroną jest wyczuwalna w każdej piosence radość ze wspólnego śpiewania. ©©



★★★★★
PATRYCJA MARKOWSKA,
GRZEGORZ MARKOWSKI
„DROGA”
AGORA



★★★★★
DODA
„DOROTA”
AGORA

Doda wykonuje ulubione piosenki zmarłej babci (m.in. „Niech żyje bal” czy „Krakowski spleen”). Są też trzy zagraniczne przeboje i dwie premierowe piosenki. Dobry głos, niezłe aranżacje, dlatego warto odkryć tę Dorotę.



★★★★★
ENVEE
„TIME & LIGHT”
ASFALT DISTRO

Dziewięciu wokalistów, ponad tuzin współpracowników, 16 utworów – to pierwsza od 10 lat płyta Macieja Golińskiego. Taneczna muzyka od funku przez swing do dub techno. Świeżo, naturalnie, światowo! ©©

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYSK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAŁ | ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
ORAZ ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

*Niezapomniany
koncert*

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

NARODOWE FORUM MUZYKI WE WROCŁAWIU

7 LUTEGO 2019

GODZ. 20.00



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

BILETY DO NABYCIA

w kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu.
Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00–18.00.

REZERWACJA ONLINE

WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL | REZERWACJE@NFM.WROCLAW.PL

Bilety²⁴

WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL |  [/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW](https://www.facebook.com/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW) | [#GINTROWSKI](https://www.instagram.com/GINTROWSKI)

wiecosiedzia

PRACA
WSPÓŁPRACOWNIKÓW
NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości

WSPÓŁORGANIZATORZY:



PATRONI MEDIALNI:



Gazeta
eprasa.pl 660581352e



wprost

Wrocław the meeting place

PARTNERZY:





**Z Witoldem Waszczykowskim,
byłym ministrem spraw zagranicznych,
ambasadorem RP w Teheranie w latach 1999–2002
rozmawia Maciej Pieczyński**

Iran wkurza świat od czterech dekad

MACIEJ PIECZYŃSKI: O tym, że w Warszawie odbędzie się konferencja bliskowschodnia, powiedział światu Mike Pompeo. Wizerunkowo wyszło fatalnie. Wygląda to tak, jakby o wszystkim decydowali Amerykanie.

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Z pewnością szefowie dyplomacji Polski i USA zamierzali wspólnie ogłosić decyzję o tym, że konferencja odbędzie się w Warszawie. To, że Mike Pompeo powiedział o konferencji, zanim ogłosili ją Polacy, wynika z pewnej przypadłości, na którą cierpi administracja Trumpa. Po prostu czasem szybciej coś napiszą lub powiedzą, niż pomyślą. Pompeo nie jest doświadczonym dyplomatą, zdarzają mu się błędy.

Wszyscy mówią o Iranie, bo właśnie Iran, traktowany jako jeden z ważniejszych problemów do rozwiązania podczas konferencji, nie będzie na niej obecny. Załóżmy jednak, że polski rząd, jako gospodarz wydarzenia, zaprasza przedstawicieli Teheranu. Amerykanie by nam na to pozwolili?

Wszyscy mówią o Iranie, ale to naprawdę nie jest jedyny temat planowanej konferencji. Jest wiele ważnych spraw w regionie, które znajdują się w agendzie. Oczywiście, że mamy wpływ na porządek obrad i tematykę. Przecież jesteśmy współorganizatorami. Nie jest tak, że Amerykanie nas postawili przed

faktem dokonanym. Uważam, że problem leży raczej po stronie tych zachodnioeuropejskich polityków, którzy postanowili konferencję zignorować. Wielu się wydaje, że tylko oni mają monopol na międzynarodowe inicjatywy. Poza tym Warszawa w problemy Teheranu zaangażowana jest od ponad dekady. Przypomnijmy, że tarcza antyrakietowa, której powstanie zaczęliśmy negocjować w 2007 r., miała nas i część Europy chronić właśnie przed Iranem! Gdy w 1999 r. śp. minister Geremek wręczał mi nominację na ambasadora w Teheranie, powiedział mi pewną ważną w tym kontekście rzecz. Wspominał rozmowę z Madeleine Albright. Zapytał amerykańską sekretarz stanu, co świeżo wówczas upieczeni członkowie NATO mogą

zrobić dla sojuszu. W odpowiedzi usłyszał o dwóch stolicach – Hawanie i Teheranie właśnie. Polska miała odegrać rolę mediatora między światem Zachodu a Iranem, który wówczas przechodził okres politycznego odprężenia, i pojawiła się nadzieja na porozumienie. Niestety, nie zdążyliśmy nic zdziałać, bo po 11 września 2001 r. Iran został zaliczony przez USA do „osi zła”.

Sam pan przecież apelował, aby zaprosić Iran na tę konferencję. Może więc warto jakoś załagodzić sytuację w relacjach z Teheranem?

Myśmy już pokazali wolę dialogu. Kilka tygodni temu do Teheranu pojechał wiceminister spraw zagranicznych. Być może po konferencji pojawi się możliwość kolejnego spotkania. Nie wykluczyłbym również spotkania na poziomie ministrów. Ja, jeszcze jako szef MSZ, w 2016 r. gościłem w Warszawie swojego irańskiego odpowiednika. Po konferencji bliskowschodniej będzie dobry moment na rewizytę mojego następcy w Teheranie. Polska może jeszcze odegrać rolę pośrednika, kogoś, kto rozpocznie jakikolwiek proces normalizacji stosunków. Jeśli za jakiś czas doprowadzimy do tego, że przedstawiciele Iranu i USA choćby mrugną do siebie, to będzie już wielki sukces. A mamy pole do popisu – pamiętajmy, że jesteśmy członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Już we wrześniu kolejna sesja Zgromadzenia Ogólnego. Z pewnością nie zabraknie delegacji z Iranu. Będzie szansa na kolejne spotkanie.

„Przypomnienie dla gospodarzy/uczestników antyirańskiej konferencji: ci, którzy brali udział w ostatnim antyirańskim show, są albo martwi, albo zhańbieni, albo zmarginalizowani. A Iran jest silny jak nigdy. Polski rząd nigdy nie zmyje tego wstydu: podczas gdy Iran ratował Polaków w czasie II wojny światowej, Polska teraz gości desperacki antyirański cyrk” – obwieścił na swoim Twitterze Dżawad Zarif, minister spraw zagranicznych Iranu. To co? Będziemy martwi, zhańbieni czy zmarginalizowani?



FOT. KRZYSZTOF MAJ/FOTUM

Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. To typowa retoryka rewolucyjna. Takim językiem Iran rozmawia ze światem już od 40 lat. Szkoda, że to słowa Dżawada Zarifa, znam go jeszcze z czasów, gdy byłem ambasadorem w Teheranie. To jest naprawdę jeden z bardziej otwartych na dialog polityków irańskich.

To coż dopiero powiedzieć o innych, tych „mniej otwartych”... Tak wkurzyliśmy Iran, że nawet „gołębie” stały się „jastrzębiami”?

Minister Zarif zapewne dostał polecenie z góry, aby tak ostro zareagować. To nie my wkurzamy Iran. To Iran wkurza świat od czterech dekad. Zachód robi wszystko, by wciągnąć Teheran do współpracy. A co dostaje w zamian? Wsparcie dla ruchów separatystycznych, organizacji terrorystycznych, poparcie dla Hezbollahu, porwania dyplomatów, bomby podkładane pod ambasady...

Ostatnio coś się jednak poprawiło. Na mocy porozumienia z 2015 r. irański program nuklearny znalazł się pod kontrolą inspektorów ONZ. To Amerykanie jednostronnie ten układ zerwali i nałożyli sankcje, podgrzewając konflikt.

To porozumienie i tak było ułomne. Irańczycy pod presją Zachodu zdecydowali się tylko na zamrożenie programu nuklearnego, a nie na rezygnację z niego. Usunęli część wzbogaconego uranu, wpuścili inspektorów ONZ. Rzeczywiście, można im teraz patrzeć na ręce. Technologia wzbogacania uranu i produkcji broni jądrowej nadal jednak dysponują. W każdej chwili mogą ten układ zerwać. Ponadto porozumienie nie obejmuje wszystkich rodzajów broni. Poza kontrolą wciąż są np. systemy rakietowe. Iran wręcz zaczął je rozwijać. Opracowywane są rakiety o coraz dalszym zasięgu. To jest poważne zagrożenie. Gdy jeszcze jako minister byłem w Iranie i pytałem, po co rozbudowują systemy rakietowe, usłyszałem od jednego z urzędników beczelną odpowiedź: „Będziemy ich używać jako satelity meteorologiczne”. Tymczasem w Teheranie ponad 300 dni w roku świeci słońce! Naprawdę, tam nie ma potrzeby aż tak wnikliwie badać pogody... Nic więc dziwnego, że Amerykanie nie zaufali Iranowi. Jednak, jako minister, zajmowałem w tej sprawie umiarkowane stanowisko. Uważałem, że plusem porozumienia z 2015 r. jest wspomniana przez pana możliwość weryfikacji planu nuklearnego. Po raz pierwszy od czasów rewolucji Iran pozwolił światu zajrzeć do swoich instalacji wojskowych.

Dlatego apelowałem, żeby porozumienia nie zrywać, lecz wynegocjować lepsze dla Zachodu warunki.

Sam pan przyznał w jednym z wywiadów, że państwa Europy Zachodniej świetnie zarabiały na interesach z Iranem po zniesieniu sankcji na mocy porozumienia z 2015 r. i że właśnie dlatego bronią dziś Teheranu. „To jest wielki, potencjalny rynek” – to pańskie słowa. Skoro inni chcą tam robić biznes, to dlaczego nie my?

Nasza wymiana gospodarcza jest na symbolicznym poziomie ok. stu-stukilkudziesięciu milionów dolarów rocznie. Gdy byłem ambasadorem, starałem się przedstawiać w Iranie oferty polskich firm. Problem polega na tym, że w Iranie mamy do czynienia z miksem gospodarki państwowej i prywatnej. A na tym styku, jak wiadomo, rodzą się różne patologie. Nawet gdybyśmy spróbowali powalczyć o tamten rynek, to zyskamy najwyżej kolejne 100 mln rocznie wymiany handlowej. Wszystkie większe kontrakty zgarniają państwa, które dysponują wysoką technologią. Iran potrzebuje akurat tego, czego my nie produkujemy – wielkich samolotów pasażerskich, sprzętu potrzebnego do modernizacji przemysłu naftowego. Poza tym Teheran kieruje się głównie celami politycznymi. Nie chce handlować ze średniej wielkości państwami. Woli natomiast robić interesy z wielkimi tego świata, ponieważ w pakiecie, obok nowoczesnych technologii, zyskuje dodatkowo polityczne benefity – uznanie, akceptację i szacunek w oczach wielkich mocarstw, które rozdają geopolityczne karty.

Doktor Wojciech Szewko, ekspert od Bliskiego Wschodu, twierdzi, że jeśli dalej będziemy się konfliktować z państwami tego regionu, to niedługo nikt stamtąd nie będzie chciał z nami rozmawiać.

Ależ po co takie bzdury opowiadać?! Jako minister spraw zagranicznych objechałem pół Bliskiego Wschodu, a drugie pół przyjechałem w Warszawie. Mamy placówki dyplomatyczne praktycznie w każdym państwie tego regionu, poza Jemenem i Omanem. Podjąłem decyzję, by rozpocząć proces odtwarzania placówki w Syrii. W Iraku podwyższyłem status przedstawiciela Warszawy do rangi ambasadora. Na polskich uniwersytetach wykształciło się tysiące obywateli państw arabskich. Wielu z nich zrobiło kariery w swoich krajach. Mamy więc wiele kontaktów zarówno z państwami arabskimi, jak i tradycyjnie przyjazne relacje z Izraelem. Nie rozumiem takiego malkontenctwa. Raz się mówi, że

Polska nic nie znaczy na arenie międzynarodowej, a gdy już stajemy się partnerem w wielkim przedsięwzięciu, pojawiają się pretensje. Ciekawe, jakie byłyby komentarze, gdyby konferencja poświęcona problemom Bliskiego Wschodu została zorganizowana w Bukareszcie. Wtedy dopiero nasi krytycy by zawyli z wściekłości, zadając dramatyczne pytania: „A dlaczego nie u nas?!”

Amerykanom wygodnie jest organizować konferencję w Warszawie. Bliski Wschód odpada: bo jeśli zrobią w Rijadzie, to Izrael zbojkotuje, a jeśli w Tel Awiwie, to Arabia Saudyjska się obrazi. Zachód Europy też nie wchodzi w grę. Co zyskamy od USA w zamian?

Amerykanie wybrali spokojny kraj, przetestowany, w którym Trump spotkał się już z bardzo ciepłym przyjęciem. Poza tym nie tak dawno Polska była gospodarzem szczytu klimatycznego – nikomu włos z głowy nie spadł, udało się też coś wspólnie ustalić. Sukcesem była organizacja szczytu NATO i pielgrzymki Ojca Świętego. Oferujemy dogodne miejsce na spokojną dyskusję o problemach najbardziej zapalnego rejonu na świecie. Sami do tej dyskusji jesteśmy bardzo dobrze przygotowani jako kraj, który od lat brał udział w operacjach pokojowych na Bliskim Wschodzie. W zamian otrzymujemy satysfakcję z tego, że jesteśmy wiarygodnym członkiem wspólnoty międzynarodowej, który nie tylko korzysta z parasola ochronnego USA i NATO, lecz także aktywnie działa na rzecz pokoju na świecie.

To kwestie wizerunkowe.

Jednak to też ważne. Ciągłe nam się wypomina, że nie dbamy o wizerunek.

A może wynegocjujemy „Fort Trump”?

Nie tak bezpośrednio. Konferencja bliskowschodnia to nie jest układ „sojusz za broń”. Chodzi o obronę pewnych wartości. Oczywiście wspólnota międzynarodowa to nie jest klub altruistów. Tutaj trzeba zabiegać o realizację własnych interesów. Jednak nie ma co ukrywać – nie jesteśmy światową potęgą, nasze możliwości są ograniczone. Dlatego udział w inicjowaniu procesów pokojowych czy oferowanie usług dyplomatycznych państwom silniejszym to wymierna karta przetargowa, którą w przyszłości będzie można wymienić na korzyść w postaci wzmocnienia wizerunku Polski, ale i domagać się respektowania naszych interesów.



Witold Repetowicz

Jaki będzie zysk dla Bliskiego Wschodu i naszych z nim relacji dzięki konferencji w Polsce? I czy warto to poświęcić?

W jednym z wywiadów na temat zaplanowanej w Warszawie (13–14 lutego) konferencji bliskowschodniej prezydencki minister Krzysztof Szczerski zasugerował, że krytykowanie uczynienia z Polski twarzą antyirańskiego frontu oznacza chęć uczestnictwa w antyamerykańskim froncie razem z Iranem. To fałszywa alternatywa. Iran nigdy nie uzależniał rozwoju swoich stosunków z Polską od zmiany naszych relacji z USA, bo doskonale wie, że byłoby to wykluczone. Wbrew pozorom i własnej, często pełnej barwnych epitetów retoryce Iran prowadzi bardzo pragmatyczną politykę zagraniczną. Widać to choćby w Iraku czy w przypadku Kurdów, gdzie Iran nie mówi „my albo oni”, ale stara się rywalizować z USA, przedstawiając lepszą ofertę współpracy i w ten sposób zjednując sobie sojuszników. Zarówno iracki rząd, jak i dominująca w irackim Kurdystanie Partia Demokratyczna Kurdystanu Masuda Barzaniego utrzymują bardzo dobre relacje z Iranem, w tym z irańskim człowiekiem od zadań specjalnych w regionie – gen. Kasemem Sulejmanim, którego USA uważają za terrorystę. Ten sam Barzani ma jednocześnie dobre relacje z Izraelem, no i oczywiście z USA, z którymi iraccy Kurdowie ściśle współpracują od początku lat 90. W Iraku znajduje się natomiast 5 tys. żołnierzy amerykańskich, którzy m.in. szkolą doborowe oddziały irackiego wojska, a w czasie wojny z Państwem Islamskim dokonywali nalotów, wspierając w ten sposób ofensywę sił rządowych i kurdyjskich przeciwko Państwu Islamskiemu. USA zapowiadają przy tym, że nie tylko nie chcą się wycofywać z Iraku, lecz także mają zamiar zwiększyć liczbę stacjonujących tam swoich żołnierzy po wycofaniu się z Syrii.

SPOSÓB IRAKU

Jak zatem Irak wychodzi na byciu jednocześnie sojusznikiem USA i przyjacielem Iranu? Ano tak, że USA czasowo zwolniły Irak z konieczności stosowania



Nie psuć relacji

się do sankcji nałożonych przez Stany Zjednoczone na Iran w zakresie możliwości dalszych zakupów irańskiego gazu przez Irak. Ta „czasowość” może być bardzo długa, bo Irak nie zamierza szybko zrezygnować z tego importu. Ponadto obroty we wzajemnym handlu iracko-irańskim rosną, a ruch na granicy Regionu Kurdystanu z Iranem w Hadzi Omaran jest ogromny, bo Kurdowie korzystają z obniżenia wartości irańskiej waluty w wyniku sankcji i kupują tańsze produkty irańskie. USA tolerują to, bo nie mają wyjścia.

A co to ma wspólnego z nami? Dużo. USA czasowo zwolniły bowiem osiem krajów z konieczności stosowania się do sankcji, zezwalając im na import irańskiej ropy. Na liście tej znalazły się m.in. Grecja, Włochy, a także Turcja, która wzięci obywateli USA i otwarcie deklaruje, że żadnych sankcji nie zamierza przestrzegać, a ponadto spotyka się regularnie

z Iranem i Rosją w tzw. formacie astańskim, by pod pozorem rozmów o pokoju na Bliskim Wschodzie knuć, jak pozbyć się wpływów amerykańskich w tym regionie. Na liście są też tacy bliscy sojusznicy USA jak Japonia, Korea Południowa, Tajwan czy Indie, ale również globalny rywal USA, czyli Chiny.

Polska jako najbliższy europejski sojusznik USA w Europie oczywiście nie znalazła się na tej liście, choć się o to starała. Zachowaliśmy się jak lojalny sojusznik USA. PGNiG zwinęło się z Iranu, Orlen i Lotos zapomniały o swoich planach inwestycyjnych, a inne polskie firmy, kuszone przez Iran intratnymi kontraktami, musiały obejść się smakiem.

Prezydent Andrzej Duda stwierdził z kolei w jednym z wywiadów, że Polska jest właściwym miejscem na organizację konferencji bliskowschodniej, ponieważ jesteśmy państwem neutralnym oraz nie mamy w tym regionie wielkich intere-

Polska jako sojusznik USA wcale nie musiała psuć relacji z Iranem. Irak tego nie robi

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES



z Iranem

sów. Faktycznie, jeśli z nich rezygnujemy lub w ogóle się nie staramy, to zapewne ich mieć nie będziemy. Kiedyś jednak polskie firmy były bardzo aktywne na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. I pamięć o tym w takich krajach jak Irak jest ciągle żywa.

Irakijczycy od dawna zabiegają o ożywienie stosunków polsko-irackich, nawet po tym, jak Radosław Sikorski napluł im w twarz, zamykając w 2014 r. polską ambasadę w Bagdadzie. Witold Waszczykowski wznowił pracę naszej placówki, ale działa ona w składzie trzyosobowym: ambasador i dwóch lokalnych pracowników, a zapowiadana rozbudowa wciąż nie została zrealizowana.

Polskim kapitałem na Bliskim Wschodzie jest zresztą nie tylko pamięć o naszych firmach, lecz także lepsze postrzeganie nas przez kraje skonfliktowane z Zachodem, choćby Syrię czy właśnie Iran. Wynika to z tego, że wciąż kojarzeni

jesteśmy z blokiem wschodnim, a więc nie jesteśmy tak do końca tym darzonym niechęcią przez część świata arabskiego i muzułmańskiego Zachodem. Niestety, zupełnie tego nie wykorzystujemy, a gdy w Iraku razem z Amerykanami obaliliśmy Saddama, to zamiast budować własne relacje z Irakijczykami, liczyliśmy, że Wielki Brat zza oceanu da nam coś w nagrodę na srebrnej tacy. Nie dał, więc machnęliśmy ręką.

Prezydent ma absolutną rację, gdy mówi o tym, że jako państwo neutralne wobec sporów bliskowschodnich jesteśmy dobrym miejscem na rozmowę o tym, jak te spory pokojowo rozwiązać. Problem polega na tym, że aby zachować tę neutralność, powinniśmy zaprosić wszystkie strony sporów, o których chcemy rozmawiać. Jeśli bowiem zapraszamy tylko jedną z nich, to oczywiste jest, że rezygnujemy z naszej neutralności. Jakkolwiek by władze Polski nie deklarowały, że szczyt nie ma charakteru antyirańskiego, to niezaproszenie Iranu i jednocześnie wyróżnienie go w zaproszeniu oraz publicznych deklaracjach dotyczących konferencji jako zagrożenia dla stabilności i bezpieczeństwa Bliskiego Wschodu musiało spowodować taką, a nie inną reakcję. Iran uznał nasz ruch za otwarcie wrogi.

Wizyta wiceministra Macieja Langa nieco załagodziła to zupełnie nam niepotrzebne napięcie w relacjach, jednak jeśli konferencja odbyłaby się zgodnie z pierwotnymi założeniami, i w dodatku zakończyłaby się sukcesem, to i tak nasze stosunki z tym krajem zostaną pogrzebane.

Według irańskich mediów Polska zadeklarowała bowiem, że „jako przyjaciel Iranu nie pozwoli na żaden antyirański krok”. Jeśli zatem mimo to staniemy się twarzą nowego, antyirańskiego Układu Warszawskiego, to zapracujemy na wrogość nie tylko Iranu, lecz także wszystkich jego regionalnych sojuszników. A jest ich wielu. Niektórzy porównują to do naszego udziału w interwencji w Iraku w 2003 r., choć nie jest to trafne. Saddam został obalony, a wszyscy na Bliskim Wschodzie prędzej czy później pogodzili się z nową rzeczywistością. Tymczasem liczenie na to, że po naszej konferencji w Iranie wybuchnie rewolucja, jest naiwnością. Znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że sankcje USA nie zadziałają, Iran to przetrwa, zmieni się lokator Białego Domu i nowy prezydent wróci

do polityki zbliżenia z Iranem. Będzie wówczas szukał pośrednika i świetnie się do tej roli nadadzą Czechi. Są bowiem neutralne, nie rezygnują z aktywności na Bliskim Wschodzie ani nie dają się wrobić w organizację takich konferencji.

KONFERENCJA POKAZOWA

W zaproszeniach na konferencję jedynymi konkretnymi tematami, które zostały tam wskazane, były wojna w Syrii, Jemenie i rola Iranu. To pozwala przypuszczać, że idea konferencji narodziła się w trakcie bliskowschodniej podróży Mike'a Pompeo. Gdy Trump zapowiedział wycofanie wojsk USA z Syrii, Izrael i Arabia Saudyjska, czyli główni bliskowschodni sojusznicy Ameryki, ruszyły do Moskwy szukać tam gwarancji, by Iran nie wypełnił próżni. I dlatego trzeba było jakoś pokazać, że USA trzymają rękę na pulsie. Saudowie nie utrzymują stosunków dyplomatycznych z Izraelem, choć współpraca tych krajów jest tajemnicą poliszynela. Konferencja w Warszawie mogła być zatem pomysłem, by sunnickie państwa arabskie, skonfliktowane z Iranem, spotkały się z Izraelem na neutralnym gruncie i próbowały zachęcić do współpracy Unię Europejską i Rosję.

Wszystko wskazuje na to, że ten plan się nie powiódł, bo wiele krajów nie było tym zainteresowanych. Na szczęście, bo nawet totalne fiasko tej konferencji jest lepsze od antyirańskiego Układu Warszawskiego. Konferencyjna kłapa uderzy jednak w wizerunek Polski, a ci, którzy liczyli, że Polska otrzyma nagrodę od USA, srogo się wówczas zawiodą.

Polska powinna radykalnie zmienić formułę tej konferencji, zaprosić zarówno Iran oraz Syrię, jak i Izrael, Arabię Saudyjską i USA. Posadzenie przedstawicieli tych krajów przy jednym stole w Warszawie byłoby ogromnym sukcesem dyplomacji. Być może jest na to za późno, ale warto spróbować. Można zresztą przełożyć termin szczytu.

Środowisko międzynarodowe Polski nie może się kończyć na USA i UE. Wystarczająco udowodniliśmy Amerykanom naszą lojalność. Bardziej niż Saudowie czy Izrael, którzy nigdy by nie zrobili u siebie konferencji na temat bezpieczeństwa i stabilności w Europie Wschodniej ze szczególnym wskazaniem na negatywną rolę Rosji. I właśnie dlatego najwyraźniej Amerykanie szanują ich bardziej niż nas.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Michnik a Michnikowski

Detonacja dziennikarskiej bomby „Gazety Wyborczej” miała dla mnie kilka konsekwencji. Zarówno negatywnych, jak i pozytywnych.

Zacznijmy od tych nie-dobrych. Otóż zaledwie po dwóch tygodniach zламаłem swój socjalmiedowy post. Byłem ciekaw, jak moi rozmaici znajomi przyjęli „taśmy Kaczyńskiego”. Zasadniczo raczej robili sobie bekę i wrzucali zabawne memy, więc trochę sobie pochichotałem. Ale było to jednak niepotrzebne. Odwyk od Facebooka szedł mi doskonale, a tu taka porażka. Nic więc dziwnego, że „Wyborcza” mi podpadła. A już prawie w ogóle zapominałem, że istnieje.

Ale były też i dobre rzeczy. Otóż dowiedziałem się o powiedzonku: „Ja ciebie nie mogę”, które zapewne przebojem wdrze się do językowego mainstreamu, ugruntowując pozycję Jarosława Kaczyńskiego jako trendsettera wszech wag. Drugim pozytywem – mniej istotnym dla polskiej kultury, ale ważniejszym dla mojej rodziny – był ciąg zdarzeń zapoczątkowany przez pewien żartobliwy komentarz. Otóż ktoś na Facebooku, wskazując na zagmatwany sens opublikowanych przez „Wyborczą” nagrań, napisał coś takiego: „Birgellner ma Wechsel Kaczora z żyrem Glapy; rewindikator jest Wildstein. On daje 50% franco, loco towar jest u kuzyna na Srebrnej. Tylko ten towar jest zajęty przez Rydzika z powodu Wechsel Antoine’a...”

I jeszcze kilka zdań w tym stylu, które odczytałem familii na głos. O dziwo, rozbawiło to Tymona, więc opowiedziałem mu, że ktoś zgrabnie skorzystał z fragmentu skeczu pt. „Sęk”. – A można ten skecz zobaczyć? – spytał Tymon. Ponieważ żyjemy we wspólniających czasach, sięgnąłem po smartfona, odpaliłem YouTube i puściłem dzieciakowi dialog Dziewońskiego z Michnikowskim.

I stało się. Młody po wielokroć wysłuchał rozmów o sęku i tartaku, a kiedy Michnikowski przechodził do kwestii kupna psa, dupelka, ale broń Boże jajnika, po prostu pękał ze śmiechu. I puszczał jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Trochę to zaczynało być nużące, więc poszerzyłem repertuar o inne skecze kabaretu Dudek, a młody łykał wszystko, w dużych ilościach i z zachwytem.

Żeby było jasne: nie uważam, że fajne rzeczy powstawały dawno, a dziś robi się sam szajs. Ulubiona bajka mojego dziecka pt. „Niesamowity świat Gumballa” jest naprawdę... niesamowita. I po prostu świetna. Ale ostatnio byłem już zmęczony oglądaniem tego, jak youtuberzy o głupawych ksywkach grają w „Minecraft” i o tym opowiadają (nie bardzo mogę pojąć, jak można oglądać, jak ktoś gra w grę komputerową). I nagle youtuberzy zostali wyparci przez Kobuszewskiego, Gołasa i Dziewońskiego. Co za przemiana!

I pomyśleć, że nie doszłoby do tego, gdyby nie „Wyborcza” i taśmy Kaczyńskiego. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wojna szarpana

Nawet największy zwolennik obecnej władzy po trzech latach musi przyznać, że jej szeroko zakrojona ofensywa utknęła. Fronty zostały wydłużone do maksymalnych rozmiarów, jednak na żadnym odcinku nie udało się odnieść przekonującego zwycięstwa. Mimo mnożenia komisji śledczych, ujawnianych afer i głośnych zatrzymań nic nie kończy się rozstrzygającymi wyrokami lub chociażby zamknięciem jakiejś kwestii.

Taktyka totalnej opozycji polegająca na atakach non stop, chaotyczna, miejscami

delikwentów z własnej niż z cudzej półki. Skądinąd własne rezerwy kadrowe okazały się żałośnie króciutkie.

W wojnie partyzanckiej – jak wiadomo – największym sprzymierzeńcem rebeliantów są warunki: trzęsawiska, puszcze. Jakakolwiek prawdziwa dobra zmiana winna zacząć się od osuszenia kryminalnych bagien i likwidacji gąszczu przepisów. Dotąd wszelkie podejmowane działania kończyły się na półśrodkach, a liczba przepisów rosła. Nie likwidując starych, dodawano nowe. Teoretycznie po wprowadzeniu PESEL-u idiotyzmem jest wypełnianie wszelkich arkuszy z dziesiątkami danych, ale powiedzmy to urzędnikom. A przecież panu Bogu wystarczyło 10 przykazań, a Konstytucja USA mieści się na jednej (co prawda obszernej) karcie. Filozofia dążąca do zawarcia wszystkiego w przepisach i brak wiary w ludzki rozsądek prędzej czy później musi się kończyć paraliżem.

**Lepiej pozwolić
ludziom na
popętnianie
(niekiedy!) błędów
niż zadbać, aby
praktycznie nie
mogli zrobić niczego**

rozpacziwa lub po prostu głupia, realizuje jeden cel – maksymalnie zmęczyć przeciwnika, zmusić go do działań defensywnych, zająć tysiącem spraw drobnych, tak by nie starczyło mu czasu na działania strategiczne, rzeczywiście ważne.

Naiwnym sympatykom dobrej zmiany wydawało się, że już następnego dnia po przejściu władzy w 2015 r. aferzyści znajdą się w aresztach, zdrajcy staną przed Trybunałem Stanu, a tymczasem... Za ogromny sukces uznaje się to, że aresztowano chyba więcej

Sposobem na partyzantkę jest pozyskanie zaufania ludności tubylczej. Jednak nie przez rozdawnictwo dóbr, tylko poprzez rzeczywiste decyzje. We wszystkich kwestiach – od wychowania dzieci do swobodnego kupowania większości leków i prawa do broni itp. Lepiej pozwolić ludziom na popełnianie (niekiedy!) błędów niż zadbać, aby praktycznie nie mogli zrobić niczego.

A na koniec odrobina nadziei. Wierzę, że przez najbliższe wybory dobra zmiana jakoś się przeccoła. Tylko co dalej? ©©

MocARTY

RMF CLASSIC

2018

RMF *Classic*



Wejdź na
www.rmfflassic.pl

Zagłosuj i wygraj
zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele innych
cennych nagród!

Zabójstwo Pawła Adamowicza stało się w polskim życiu publicznym momentem prawdziwego kryzysu. Greckie słowo „krisis” oznacza po prostu „sąd”. Co takiego w dzisiejszej Polsce podlega jednak osądowi? Przede wszystkim zasady, które motywują poszczególnych graczy sceny politycznej.

Kościół katolicki znalazł się w samym sercu owego sądu. I niestety po raz kolejny okazał swoją słabość. Spójrzmy na to z perspektywy. W 2010 r. Kościół dał scenę do wzruszeń po smoleńskiej katastrofie. Pozwolił, by krzyż stał się, zgodnie z deklaracją Jarosława Kaczyńskiego, „substytutem pomnika”. Pozwolił się wciągnąć w smoleńską religię polityczną. Pozwolił, by wzruszenia stały się głównym paliwem polityki tamtego czasu. W znacznej mierze prowadzonej w duchu „jedni przeciwko drugim”. Nie powiedział wyraźnie, jakie powinno być spojrzenie chrześcijańskiego patriotyzmu na taką tragedię, na nieudolność państwa. A przecież – niezależnie od tego, jak bardzo realna była tragedia prezydenckiego samolotu – w praktyce politycznej wykorzystano ją do tego, by wykazać moralną wyższość nad przeciwnikami. To jeden z głównych problemów polskiego życia publicznego od czasów Solidarności.

Solidarność miała przeciwnika politycznego, który był jednocześnie wrogiem Polski. Był przeciwnikiem całkowicie pozbawionym moralnej legitymizacji. Wtedy do pewnego stopnia wydawało się, że była to trafna diagnoza. Jednak Jan Paweł II w 1987 r. zdawał się już dobrze dostrzegać kiełkujący rodzaj nowej formacji politycznej, gdy mówił „nigdy: jeden przeciwko drugiemu”. Chociaż zręcznie starano się te słowa wykorzystać w kontrze do rozliczania czasów komunizmu, to dziś trzeba na nie patrzeć we właściwej perspektywie. Kultura polityczna nie może opierać się na nieustannych próbach moralnej delegalizacji przeciwników. Rozkręcone próby takiej delegalizacji są właśnie paliwem narodowej nienawiści, fałszywego patrzenia oczami gnostyckiej sekty, w której oczach „my” jesteśmy czyści niemal niezależnie od tego, co robimy, a „oni” są nieczyści, ponieważ nie idą z nami. Taka sytuacja jest poważną dysfunkcją niezależnie od okoliczności, które mogą do niej skłaniać. Proste słowa papieża wskazywały na właściwy charakter życia politycznego jednej wspólnoty – dobro wspólne nie będzie chronione bez roztropnego podejścia do rzeczywistości, w którym wszyscy możemy przedstawiać argumenty w poczuciu odpowiedzialno-



Arcybiskup Leszek Sławoj Głódź przemawiający podczas homilii pogrzebowej prezydenta Gdańskiego FOT. PIOTR HUKALO/EAST NEWS

Korumpowanie Kościoła



Tomasz Rowiński

Po zabójstwie prezydenta Gdańska Kościół katolicki w Polsce po raz kolejny okazał słabość

ści za całość. Radykalnie frakcyjna polityka rzeczywiście grozi powstaniem dwóch (lub więcej) narodów politycznych wewnątrz jednego historycznie państwa. W Polsce Kościół zawsze był spoiwem wobec rozmaitych tendencji do „dzielnicowania się” kraju.

Jednak kościelne głosy samodzielności były w roku 2010 słabo słyszalne, ponieważ mówienie spoza emocji wymagało realnego wysiłku, woli przeciwstawiającej się ówczesnej „wojnie na Krakowskim Przedmieściu”. Kiedyś potrafili to robić kard. Wyszyński czy św. Jan Paweł II. Wolę tego ostatniego próbowano złamać w roku 1991, gdy podczas pielgrzymki do ojczyzny mówił o programie dla Polski opartym na Dekalogu. Pomimo doraźnego niepowodzenia tamtego orędzia spróbujmy sobie wyobrazić dzisiejszą Polskę bez niego, bez tych zasad, które nie były w nikogo wymierzone, ale stanowiły kontynuację tradycji Polski katolickiej.

SŁABOŚĆ W SFERZE PUBLICZNEJ

W roku 2019 sytuacja jak gdyby się powtórzyła i potwierdziła słabość Kościoła w sferze publicznej. To bardzo zła wiadomość, ponieważ chrześcijański opis rzeczywistości jest jednocześnie najbardziej własnym sposobem opisu rzeczywistości, który mają Polacy. Co się stanie, jeśli go utracimy? Do czego doprowadzi umacniający się „podział dzielnicowy”, podział, w którym pomiędzy „dzielnicami” nie ma już dyskusji, współpracy na choćby bazowym poziomie państwa, a jest ciągle zmaganie woli?

Kościółowi w 2010 r. łatwiej było surfować na emocjach prawicy, szczególnie że na Krakowskim Przedmieściu ujawnił się prostacki i barbarzyński głos nienawiści wobec Kościoła i chrześcijaństwa. Trzeba było jednak wtedy pokazywać to, co słuszne, a nie to, co się podoba jednym czy drugim. To, co się podoba jednym, jest bowiem we współczesnej Polsce często przeciwko drugiemu, a ma być przecież „nigdy: jeden przeciw drugiemu”.

Tym razem Kościół dał scenę dla antypisowskich emocji na pogrzebie uczestnika parad równości. Przykładem jednoznacznego politycznego oskarżenia były słowa Aleksandra Halla, który atakował rządowe media. Krytyka byłaby pewnie i słuszna. Jednak czy Kościół powinien dawać jej miejsce? Natomiast dominikanin o. Ludwik Wiśniewski podczas swojej przemowy, nie zważając na to, że poglądy i działania zmarłego były nie do

pogodzenia z nauczaniem katolickim, dał niemal wstęp do procesu beatyfikacyjnego. A przecież w tamtym momencie ten zakonnik stał się głosem Kościoła, który poszedł w świat i społeczeństwo, ponieważ kapłan nigdy nie przemawia publicznie jako prywatna osoba, nawet jeśli nie głosi homilii.

Trudno się jednak dziwić szeregowemu zakonnikowi, skoro gloryfikowanie włodarzy innych miast, postępujących w sprawach najważniejszych dla opinii katolickiej podobnie do Adamowicza, słyszeliśmy niedawno z ust najwyższych przedstawicieli hierarchii. Mam tu na myśli dziękczynienie kard. Nycza za prezydenturę Hanny Gronkiewicz-Waltz, w którym znajdujemy takie oto słowa: „Tylko człowiek, który widzi dalej, potrafi ocenić to, co się dokonuje czasem dzięki życiu i pracy jednego człowieka, który potrafi już tu, na ziemi, budować Królestwo Boże, do czego zostaje powołany”.

Mówimy o prezydenturze, na której cieniem położyła się afera reprivatyzyacyjna, przykład skrajnej niegodziwości i niesprawiedliwości, za tej prezydentury usunięto ze stanowiska dyrektora szpitala położniczego Świętej Rodziny prof. Bogdana Chazana tylko dlatego, że bronił prawa do życia. Była to decyzja merytorycznie bezpodstawa i całkowicie instrumentalna wobec liberalnej polityki przeciwko życiu. Za tej prezydentury utrwalono obyczaj współpracy miasta z organizacjami politycznego ruchu homoseksualnego.

PROCES KORUPCJI

W Gdańsku abp Leszek Głódź podczas homilii pogrzebowej prezydenta Pawła Adamowicza mówił tak: „Kościół katolicki w Gdańsku doznał od niego wiele pomocy, włącznie z tą odnawianą bazyliką”. Słowa, które same w sobie mogą brzmieć jak zwykła wdzięczność, w tym kontekście są dobrym przykładem, w jaki sposób korumpuje się Kościół i w jaki sposób Kościół pozwala się korumpować. Słowa arcybiskupa pokazują, że problemem nie jest wcale – głoszony przez wielu – wyjątkowy sojusz Kościoła i PiS, ale znacznie szerszy proces korupcji. W równym stopniu wykorzystują go rządzący w dowolnych miejscach naszego kraju i o dowolnym niemal pochodzeniu politycznym. Bezpośrednim problemem wynikającym z tej sytuacji jest to, że poprzez ową korupcyjną uległość Kościół przemilcza lub słabo komunikuje zasady, co do których jest w konflikcie z większością sił politycznych. W konsekwencji nie

daje wyraźnych sygnałów dezaprobaty wobec nagannych postaw i decyzji ludzi rządzących krajem oraz samorządami.

Jak widać, odnowienie bazyliki okazało się ostatecznie ważniejsze od zaangażowania prezydenta Adamowicza w promocję politycznego ruchu homoseksualnego. Do tego stopnia, że jego pogrzeb stał się niemal wstępem do beatyfikacji. A to przecież tylko wierzchołek – najbardziej iskrzący ideowo – wątpliwości dotyczących zmarłego tragicznie prezydenta. Były też sprawy znacznie bardziej banalne, prokuratorskie. Ostro krytykowano go za to także w mediach, dziś wynoszących jego osobę na świeckie ołtarze, na których małpuje się doświadczenie i politykę tworzone wokół tragedii smoleńskiej.

Wytworzyło się wrażenie, że wystarczy wyłożyć odpowiednią sumę, by można było od Kościoła hierarchicznego w odpowiedniej chwili wymagać religijnej oprawy swojej polityki niezależnie od tego, jaka ona jest. To jest z pewnością gorsze.

Podobne „oprawy” odbiera też PiS, który równie skutecznie korumpuje Kościół, ignorując w swojej polityce większość najważniejszych spraw z katolickiej agendy. Można mówić o swoistej „anglikanizacji Kościoła”, który zachowuje swoją rolę rytualną, ale nie przekazuje już swojej nauki. Są to sprawy regularnie podnoszone przez liberalne media i nie miejsce, żeby je tu opisać.

U początku A.D. 2019 Kościół pokazał, że zamiast być „wyznacznikiem społecznego kursu katolików” (jak trafnie zauważył jeden z komentatorów), stał się realizatorem oczekiwań, kapelanem uczuć.

Zamiast głosić w porę czy nie w porę zasady, Kościół robi wszystko, by w momencie cywilizacyjnych zderzeń, które na pewno przed nami, co pokazały np. ostatnie lata w Irlandii, nikt się z katolikami nie liczył. Kościół pracuje też na to, by ci z wierzących, którzy nie są być może tak w sprawy wiary zaangażowani, zupełnie już stracili orientację, co jest właściwe i co chrześcijańskie. Kiedy sama busola traci orientację, w ostatecznym efekcie jedna frakcja może znienawidzić Kościół za beatyfikację polityka będącego de facto częścią politycznego ruchu homoseksualnego, a druga za Smoleńsk, za nieroztropny nadmiar sympatii wobec cynizmu PiS. I tak Polska się rozpadnie, nie potrzeba będzie rozbioru, sami zbudujemy nowe „dzielnice”, a siły rozkładu sięgną po leżącą na bruku władzę nad naszym krajem.

Agent totalny



Tomasz Lenczewski

Miał uroczysty pogrzeb z kompanią honorową, pośmiertnym awansem na stopień majora i komandorią Orderu Polonia Restituta. Był bohaterem Polski Walczącej i długoletnim tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa

Pochodził z zamożnej rodziny wileńskiej, której dochód zapewniała znana w mieście rodzinna apteka. Przyszły „bohater” i agent zarazem ukończył miejscowe Gimnazjum oo. Jezuitów im. Zygmunta Augusta, a po maturze w 1933 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Odszedł z niej tegoż roku z powodów zdrowotnych. Na tym skończyła się jego przygoda z wojskiem II RP. Po latach – w zależności od rozmówcy – twierdził, że był przedwojennym oficerem zawodowym lub rezerwy, co było trudne do zweryfikowania. Opowiadał również o związkach z II Oddziałem Sztabu Wojska Polskiego.

Tak naprawdę był co najwyżej współpracownikiem defensywy do inwigilacji lewicujących studentów. Nie wiodło mu się również na studiach w latach 1933–1939. Po zmianie wileńskiego Uniwersytetu Stefana Batorego na Katolicki Uniwersytet Lubelski uzyskał zaliczenie trzech lat. Po powrocie na USB w 1939 r. nie uzyskał absolutorium ostatniego (czwartego) roku. Po wojnie na podstawie zeznań świadków udokumentował w PRL swój dyplom i pracował jako radca prawny. W Wilnie prowadził dość swobodne i zawadiackie życie, połączone z aktywną działalnością w korporacji akademickiej „Polonia”. Jako ułan ochotnik miał wziąć udział w kampanii wrześniowej 1939 r. i po pobycie w siedleckim szpitalu powrócić do Wilna.

BOHATER ARMII KRAJOWEJ

Jeszcze przed okupacją sowiecką Litwy w 1940 r. znalazł się w Tallinie, skąd statkiem udał się do Szwecji. Podróż skończyła się zatrzymaniem jednostki przez Niemców i wysłaniem załogi do niemieckiego obozu. Większość uczestników wyprawy została jednak



Zygmunt Augustowski u schyłku swej agenturalnej działalności, Londyn, 1988 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

zwolniona do Warszawy. Augustowski po krótkim pobycie na Pawiaku znalazł się na warszawskim bruku. Do Wilna zdołał powrócić po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Dopiero w 1942 r. znalazł się w szeregach ZWZ/AK, podając samowwano, że jest podporucznikiem. Został przydzielony do V Odcinka „Wachlarza” (Dyneburg) w charakterze kwatrmistrza, a następnie był komendantem Ośrodka Dywersyjnego „Turmonty”. Zasłużył się w akcjach związanych z dywersją w ruchu kolejowym. Korzystał ze wsparcia właścicieli miejscowych majątków ziemskich, m.in. w Pelikanach. Tam też poznał swoją przyszłą żonę Irenę Pelikan, oficera łączności Armii Krajowej. Stamtąd przeszedł w 1944 r. na szefa dywersji miejskiej w Wilnie, lecz w samej operacji „Ostra Brama” nie wziął udziału. Po latach głosił, że nie chciał zdobywać Wilna dla Sowietów.

Pod czerwoną okupacją był dowódcą oddziału specjalnego, który wykonywał wyroki śmierci na agentach i kolaborantach sowieckich, w tym na działaczach Związku Patriotów Polskich. Wśród kilkunastu zlikwidowanych był poeta Teodor Bujnicki. Augustowski za działalność

w szeregach AK został awansowany do stopnia porucznika i odznaczony Orderem Krzyża Virtuti Militari oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych. Odznaczenia i końcowy stopień rotmistrza zweryfikowały mu ostatecznie powojenne władze wojskowe w Londynie. Oddał niemałe usługi ostatniemu komendantowi Okręgu AK Wilno Antoniemu Olechnowiczowi, którego był oficerem do zleceń specjalnych. Przerzucił swego komendanta do Warszawy, a sam kilkakrotnie na fałszywych dokumentach przekraczał granicę, likwidując sprawy AK w Wilnie. W swojej działalności konspiracyjnej w czasie wojny i po wojnie posługiwał się wieloma tożsamościami. Znakomicie podrobione dokumenty dostarczała mu wileńska komórka legalizacyjna ewakuowana później do Polski.

ŻOŁNIERZ WYKŁĘTY I WIĘZIEŃ UB

Sztab organizacji Olechnowicza znalazł się wkrótce na Wybrzeżu. Od jesieni 1945 r. do momentu aresztowania w kwietniu 1946 r. Augustowski rozwinął tam szeroką działalność informacyjno-wywiadowczą. Miał wówczas nawiązać współpracę z wywiadem angielskim. Aresztowany wskutek

zdrady łączniczki znalazł się w PUBP w Sopocie. Dzięki przekupieniu strażnika aresztu przy pomocy rodziny zdołał uciec stamtąd po trzech miesiącach. Podobno bezpośrednią przyczyną ucieczki miała być groźba wydania go NKWD za sprawy wileńskie. Koledzy z organizacji wydali na niego wyrok za ich wyspanie w śledztwie. Miał go wykonać Zygmunt Łoziński, który jednak darzył go sympatią i podczas spotkania dał mu szansę ucieczki.

Augustowski ukrył się skutecznie, choć bezpieka deptała mu nieustannie po piętach, zastawiając pułapki i śledząc jego rodzinę. Wpadł z żoną w sierpniu 1948 r., kiedy cała organizacja wileńska była już rozbita. Jeszcze podczas śledztwa podpisał deklarację współpracy. Przyczynił się do rozpracowania swojej organizacji i wydania kilkunastu osób. Otrzymał 10-letni wyrok więzienia, zamieniony rzekomo na karę śmierci (wyroku dotąd nikt nie odnalazł), a później na dożywocie. Pod kryptonimem Wiktor, a później Jan był klasycznym „agentem celnym”. Siedział w jednej celi z abp. Antonim Baraniakiem i bp. Czesławem Kaczmakiem, pomagając władzom śledczym w pracy nad nimi. Wychodząc na wolność wiosną 1956 r.,

REKLAMA

KONTYNUACJA BESTSELLERA

MITY MEDYCZNE KTÓRE MOGĄ ZABIĆ

ODKRYJ NOWE MITY MEDYCZNE!

- **WITAMINA C** ZWYKŁYM PLACEBO?
- **SÓL**. WRÓG CZY PRZYJACIEL?
- **WODA**. CZY ZAWSZE ZDROWA?

Wynik najnowszych badań

Do kupienia w księgarni internetowej **XLM**, www.xlm.pl, +48 22 836 54 45

poprosił o dalszy kontakt. Jego prośba została spełniona.

AGENT SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA

Po wyjściu z więzienia został pozyskany pod pseudonimem Mociński, zmienionym wkrótce na Bros(s). Działał w środowisku kombatanckim i kościelnym. Akta „Brosa” zachowały się częściowo do wczesnych lat 60. Pozostałe informacje o jego działalności w postaci licznych raportów można odnaleźć w materiałach osób inwigilowanych przez SB. Jego zakres działalności był szeroki. Penetrował szczególnie środowisko AK Okręgu Wilno, kontrolując i „pomagając” zbierać materiał historyczny od osób zajmujących się tą tematyką, m.in. od Stanisława Kiałki i Bronisława Krzyżanowskiego. Dzięki niemu SB otrzymywała kopie opracowań i prowadziła w środowisku kombinacje operacyjne. Sam też zachęcał do podjęcia poszukiwań archiwów AK na Wileńszczyźnie w porozumieniu z KGB. Rozpracował intensywnie niegdyś poszukiwanego przez NKWD Romualda Warakomskiego, szefa wileńskiej legalizacji, który od 1945 r. znajdował się w klasztorze pod zmienionym nazwiskiem.

„Bros” inicjował wiele akcji i wskazywał SB kierunki działań noszących znamiona prowokacji. Obok mjr. Adama Malewskiego z KG AK (TW „Chłopicki”) brał czynny udział w operacji „Wiano”. W jej ramach przez kilkanaście lat inwigilowano byłego prezesa ZG WiN płk. Franciszka Niepokólczyckiego. Augustowski, jako pełnomocnik i adiutant pułkownika, do spółki z MSW sterował jego korespondencją z Londynem oraz podsycał antagonizmy w krajowych środowiskach kombatanckich, wykorzystując ich słabości. Był przebiegłym graczem, który w dodatku umiał zadbać o własne korzyści.

Zasadniczym źródłem utrzymania Augustowskiego była stała comiesięczna pensja SB, wynosząca w pierwszych latach współpracy 3 tys. zł, przysługiwał mu też zwrot kosztów przy wykonywanych zadaniach. Nawet prezenty i książki dla dawnych dowódców AK w Londynie, które przywoził agent, pochodziły z funduszy MSW. Sam Augustowski pracował dorywczo w charakterze radcy prawnego diecezji poznańskiej i różnych zakonów. W pewnym momencie SB uznała, że tego rodzaju lenistwo „Brosa” jest niewskazane, i próbowała zmusić go do stałej pracy. Większość czasu spędzał w kawiarniach warszawskich, gdzie spotykał się z figurantami.

Jego pierwszy wyjazd do Londynu w 1958 r. był sensacją na tamtejszym gruncie. Zaopatrzony w listy polecające od płk. Niepokólczyckiego i „towarzysza więziennej celi” abp. Baraniaka odbył wiele spotkań ze środowiskami politycznymi wychodźstwa w Londynie, Paryżu, Brukseli i Rzymie. Zrobił dobre wrażenie na gen. Tadeuszu Pełczyńskim, którego próżność umiał znakomicie wykorzystać. Z powodzeniem załatwił otrzymanie funduszy i lekarstw dla kombatanatów z AK w Polsce. Później sporządzona lista kilkuset nazwisk została przekazana SB. W środowiskach AK-owskich Augustowski uchodził za zadeklarowanego antykomunistę i niezłomnego konspiratora oraz dawnego „dwojkarza” (nabrał się na to sam Pełczyński).

Ważne miejsce w legitymizacji Augustowskiego odgrywały zawsze kobiety. Była wśród nich m.in. Zofia Dąb-Biernacka, córka generała, kurierka wileńskiej AK, która dbała o jego sprawy w polskim Londynie. Agentowi pomagały dobre manieri,

Po wyjściu z więzienia został pozyskany pod pseudonimem Mociński, zmienionym wkrótce na Bros(s). Działał w środowisku kombatanckim i kościelnym

nienaganny ubiór, szarmanckość wobec kobiet, spryt oraz inteligencja. Do tego dochodziła swada w rozmowie, wylewność i umiejętność zainteresowania niemalże każdego rozmówcy. Dzięki wielokrotnym wyjazdom zagranicznym zgromadził w domu zasobną bibliotekę wydawnictw emigracyjnych.

Od stanu wojennego sędziwy agent „Civis” (zmiana kryptonimu w 1976 r.) był nadal wykorzystywany, szczególnie w sprawach kościelnych, z uwagi na dobre kontakty w większych parafiach, w tym zakonnych (był codziennym gościem oo. jezuitów przy ul. Rakowieckiej). W zakres jego zainteresowań wchodziła organizacja pielgrzymek, czuwań i innych uroczystości patriotyczno-religijnych. Niejednokrotnie sam rotmistrz na nich przemawiał, a później zdawał z ich przebiegu relacje. Był mocno związany z Duszpasterstwem Weteranów Kawalerii i Artylerii Konnej i miał zasługi w upamiętnieniu miejsc pamięci 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich – swego rzekomego przedwojennego pułku.

Dyżurował w wieży warszawskiego kościoła św. Anny, gdzie była wystawa o kawalerii II RP. Bywało tam młodsze pokolenie, zainteresowane tematyką i chętnie słuchające jego wspomnień. Znalazł się wśród nich wyżej podpisany, jak i inni zafascynowani rotmistrzem, m.in. Jan Rościszewski oraz Rafał Stolarski. Ten ostatni jako jeden z pierwszych systematycznie demaskował jego życiorys. Augustowski sam zresztą uczył nas, jak rozpoznawać mitomatów.

Docieklivi zauważali, że można go spotkać w Hotelu Europejskim w towarzystwie oficerów MSW. Nie stronił również od kontaktów z opozycją, szczególnie spod znaku ROPCiO i KPN, dla których był żywą legendą. Tradycyjnie piśsudczyk, zdecydowanie antyendecki i jednocześnie antykorowski. Leszek Moczulski wspomina go jako „byłego szefa komórki kontrwywiadu w Grodnie”, który w latach 1976–1977 „pojedyncze osoby z Gdańska, Krakowa i Lublina przeszkolił na dwutygodniowych kursach w zakresie konspiracji”. W dużym mieszkaniu Augustowskich przy ul. Fałata, uzyskany niegdyś dzięki pomocy MSW, przed aresztowaniem w styczniu 1981 r. ukrywał się Romuald Szeremietiew z KPN.

Ostatnie wypłaty z funduszu MSW dla „Civisa” zbiegły się z jego wyrejestrowaniem z sieci agentury, co nastąpiło formalnie w 1990 r. Przez kolejne kilkanaście lat III Rzeczypospolitej Augustowski żył spokojnie w aureoli bohatera. W 1993 r. Jerzy Giedroyc poprosił mnie listownie, abym namówił go na pisanie wspomnień, proponując różne warianty. Rotmistrz zasłaniał się obowiązującą go, jako oficera wywiadu, tajemnicą.

W różnoraki sposób podtrzymywał swój mit. Pod koniec życia twierdził, że wszystkich agentów należy ujawnić. O sobie był spokojny. Wprawdzie fragmentarycznie podawano informacje o nim w publikacjach naukowych, jednak nie miało to większego oddźwięku. Dla wielu Wilniuków czy korporantów był nadal bohaterem i takim dotąd jeszcze pozostaje.

Augustowski pozostawił po sobie wiele archiwalnych relacji, które częściowo zaważyły na kształcie rozdziałów kilku współczesnych książek o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Teraz nadszedł czas na ich weryfikację oraz na ustalenie prawdy o życiu ich autora. Wszystkiego z pewnością nie uda się wyjaśnić, jak choćby tego, czy jego żona Irena Augustowska, dama Virtuti Militari, wiedziała o podwójnej grze swego małżonka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Tragedia Korfantego

Cóż to za smutna historia! Kim był Wojciech Korfanty, nie muszę chyba czytelnikom „Do Rzeczy” przypominać. W telegraficznym skrócie – był to niekwestionowany przywódca polskiego Górnego Śląska. Wielki patriota, którego zasługi dla Rzeczypospolitej są gigantyczne. To m.in. dzięki jego pełnej poświęceń pracy ziemia śląska znalazła się w granicach II RP.

Niestety, Korfanty skonfliktował się z Piłsudskim. I miało to dla niego straszliwe konsekwencje. Po zamachu majowym padł ofiarą małostkowych czystek. Pozbawiono go stanowisk, więziono w twierdzy brzeskiej, w mediach rządowych prowadzono przeciwko niemu kampanię nienawiści. W latach 30. grożono mu nawet zamknięciem w Berezie Kartuskiej! W sztykach tych brylował wojewoda śląski – aparatczyk o mentalności stupajki – Michał Grażyński.

W efekcie w 1935 r. Korfanty musiał uciekać z własnego kraju przez zienoną granicę. Jeden z największych polskich patriotów nie mógł żyć w Polsce. Wylądował na emigracji w Czechosłowacji, a władze sanacyjne nie wpuściły go do kraju nawet na pogrzeb syna... W rozmowie telefonicznej z Wincentym Witosem rozgoryczony Korfanty skarżył się wówczas na „zwierzęcość tych ludzi”.

Korfanty wrócił do Polski w 1939 r. Chciał bić się z Niemcami. Został jednak z miejsca aresztowany przez sanacyjne władze i zamknięty w więzieniu na Pawiaku. Tam poważnie zapadł na zdrowiu. Gdy wreszcie rząd zdecydował się go wypuścić, było za późno. Korfanty zmarł na raka wątroby 17 sierpnia 1939 r.

Tragiczna historia Korfantego to główny temat nowego numeru „Czasy Pisma”. Znakomitego, wydawanego przez IPN, magazynu o historii Śląska. Zamieszczony w nim artykuł Sebastiana Rosenbauma i Mirosława Węckiego „Widział pan, jak mi Polska zapłaciła. Śmierć i pogrzeb Wojciecha Korfantego” czytałem ze ściśniętym sercem.

Dzisiaj mamy tendencję do całkowicie bezkrytycznego idealizowania II RP. Los Korfantego pokazuje jednak, że tamta Polska była niestety bardzo daleka od naszych wyobrażeń. ©



★★★★★
„CZASY PISMO”
1 (13)/2018
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć w Popielec

Mało osób zdaje sobie sprawę z tego, że arcyzdrajca i targowicznin Szczęśny Potocki miał w swoim życiu tragiczno-romantyczny epizod związany z pierwszą żoną, Gertrudą Komorowską. Dzieje tego tragicznego megalomanu przedstawił Antoni Malski w pierwszej polskiej powieści poetyckiej

**13 lutego 1771 r.
ciężarna dziewczyna
została porwana
i uduszona**

„Maria” (wyd. 1825 r.). To pesymistyczna przypowieść o bezsilności człowieka wobec tajemnicy świata, w którym dopiero śmierć odświeża prawdziwą jakość bytu. Jednak rzeczywistość była bardziej prozaiczna, a Szczęśny nie dorównywał swojemu literackiemu odpowiednikowi. Okazał się nędzną kreaturą, niegodną miłości kobiety.

Potocki miał 18 lat, gdy zakochał się w Komorowskiej bez pamięci, a uczucie zostało odwzajemnione. A kiedy dziewczyna zaszła w ciążę, w grudniu 1770 r. poślubił ją potajemnie w cerkwi w Niestwicach. Tego nie mógł zaakceptować jego ojciec, Franciszek Salezy Potocki. Dziedzic największej fortuny Rzeczypospolitej poślubił zwykłą szlachciankę! Syn najbogatszego obywatela w kraju, właściciela 1,5 mln ha ziemi, dla którego pracowało 130 tys. chłopów, i panna Ko-

morowska! W Środę Popielcową 13 lutego 1771 r. ciężarna dziewczyna została porwana i uduszona, a jej ciało wrzucano do przerębli. Szczęśny z pokorą przyjął postępek ojca. Wprawdzie nieudolnie próbował poderżnąć sobie gardło szczyrzykiem (!!!), ale okazał skruchę i histerycznie przepraszał rodziców. Dla podratowania nerwów wyjechał za granicę, sprawiedliwości natomiast nie uszli jego rodzice. Oboje Potoccy zmarli niebawem w dość tajemniczych okolicznościach.

Sprawa miała swój epilog sądowy. Szczęśny zapłacił rodzinie Komorowskiej odszkodowanie – 700 tys. zł. Zachował jednak sentymentalną pamięć o pierwszej żonie i nie miał urazy do jej bliskich za proces sądowy.

„W lat kilkanaście po tej katastrofie – wspominał pamiętnikarz i klient Szczęśnego, Antoni Chrzęszczewski – gdy już Potocki z drugą żoną mieszkał w Tulczynie, odwiedził go pierwszy raz brat pierwszej małżonki. Powitanie się ich zadziwiło wielce przytomne starsze dzieci Potockiego z powtórnego małżeństwa, gdy patrzyły, jak ojciec ich rzewnymi zalany łzami, z żywym uczuciem najserdeczniejszej miłości braterskiej, długo przyciskał do piersi swojej osobę im nieznaną i od niej długo oderwać się nie mógł. Wtenczas dopiero pierwszy raz dowiedziały się od matki swojej, że ona była powtórną ojca ich małżonką, a gość przybyły był bratem pierwszej”.

Cóż, nawet najgorsze kanale mają czasami ludzkie odruchy. ©



Uczestnicy wyprawy na Nanda Devi z 1939 r.
Od lewej: Stefan Bernadzikiewicz, Jakub Bujak, Adam Karpiński, dr Foyle (brytyjski oficer łącznikowy) oraz Janusz Klarner
FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/PAP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Polski himalaizm miała zainaugurować próba zdobycia najwyższego wierzchołka globu?

DARIUSZ JARON: Taki był plan, a właściwie dziecięce marzenie Adama Karpińskiego, nazywanego nieprzypadkowo ojcem polskiego himalaizmu. Bardzo chciał zdobyć Mount Everest, nawet za cenę życia. Całą swoją aktywność górską traktował jako wielkie przygotowania do wdrapania się na najwyższy ze szczytów świata. Nie bał się o swoich ambicjach głośno mówić, chociaż z początku mało kto reagował na jego deklaracje poważnie. W 1924 r., najpewniej zainspirowany głośną do dziś eskapadą George'a Mallory'ego, miał nawet znaleźć sponsora wyjazdu, ale ten wpadł wkrótce w problemy finansowe i nic z ich współpracy nie wyszło. Inna sprawa, że przez długie lata ze względów geograficznych, politycznych i ambicjonalnych Everest był zarezerwowany dla Brytyjczyków.

W II RP przymierzano się też do pokonania najtrudniejszego szczytu kuli ziemskiej.

I tu znów w roli głównej pojawia się Karpiński, nawiasem mówiąc – ojciec



Z Dariuszem Jaronem, dziennikarzem, autorem książki „Polscy himalaiści” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Klątwa bogini Kali

Jacka, pioniera informatyki – i to w skali globalnej. Mam nieodparte wrażenie, że „Akar” – jak określali go bliscy – i dziś świetnie sprawdząby się w roli sprawnego organizatora. Wiedział, że nie przekona kolegów ze środowiska wspinaczy, a także prasy, potencjalnych sponsorów i opinii publicznej do swoich kosztownych zamysłów, jeśli nie będzie mierzył wysoko. Najwidoczniej skutecznie przemówił do wyobraźni i ego taterników, coraz śmielej wbijających czekany nie tylko w rodzime góry, bo w 1935 r. uznano go za młodszego szaleńca niż dekadę wcześniej i rozpoczęto oficjalne starania – drogą dyplomatyczną – o uzyskanie zgody na oblężenie K2.

O wyborze Nanda Devi East przesądziła ekonomia?

Przede wszystkim na początku był to wariant rezerwowy. Polacy rozumieli, że zdobycie zezwolenia na drugi najwyższy szczyt świata również nie będzie sprawą łatwą. To były inne realia. Dzisiaj bazy w Himalajach i Karakorum przypominają tętniące życiem wioski, w międzywojniu było tam zdecydowanie mniej tłoczno – ekspedycje liczone na palcach jednej ręki. Wskazanie alternatywy dla K2 okazało się decyzją mądrą, bo ostatecznie – po latach starań – z końcem lutego 1939 r. przyszła zgoda właśnie na opcję rezerwową. Dodajmy, że o wiele tańszą. Nie da się ukryć, że budżet wyprawy na Nanda Devi East

(7434 m), zlokalizowanej w owych latach bliżej cywilizacji, był znacznie skromniejszy niż na K2, a i tak przysporzył organizatorom poważnego bólu głowy. Nie oznacza to jednak, że Polacy wybrali sobie cel łatwy. Wręcz przeciwnie.

Jak selekcjonowano uczestników wyprawy?

Kandydatura Karpińskiego była niepodważalna. Za jego osobą przemawiała również doświadczenie zdobyte w Andach i Alpach. Równie mocno zaangażowani od lat w sprawę himalajską byli Jakub Bujak i Stefan Bernadzikiewicz, także wspinacze z niemałym dorobkiem, chociaż drugi z nich był raczej znany ze swoich dokonań polarnych. niespodzianką dla środowiska taternickiego był jedynie wybór ostatniego z uczestników wyjazdu. Tym bardziej że jego nazwiska zabrakło na wstępnej liście 10 potencjalnych himalaistów. Wątpiono w umiejętności Janusza Klarnera, zastanawiano się, czy założył sobie na miejsce w składzie tak prestiżowej wyprawy. Natomiast Karpiński z Bujakiem go poparli. Mieli nosa. Tuż przed wyjazdem posypał się budżet. Brakujące pieniądze pożyczył im Czesław Klarner, prominentny polityk II RP. Pierwotnie miejsce jego syna miał zająć doświadczony wspinacz i lekarz Witold Paryski.

Zdobyców gór wyznaczył los?

Problemy zdrowotne. I tu ciekawostka – zaraz po dotarciu do bazy Bujak poważnie się rozchorował. Lekarz praktycznie przekreślił jego szanse na udział w operacji górskiej. Przypomnijmy, że (nie licząc tragarzy wysokogórskich) była ich zaledwie czwórka, a to uniemożliwiało działanie w planowanych wcześniej dwuosobowych zespołach. Na szczęście w pewnym momencie Bujak odzyskał siły i wsparł kolegów. Jednak wówczas zaniemógł Karpiński. Nękały go silne bóle głowy, dolegliwości żołądkowe, choroba wysokościowa i przemęczenie. Musiał wrócić do czekającego w bazie brytyjskiego lekarza. Do ataku szczytowego ruszyli we trzech, ale Bernadzikiewicz, opadając z sił, zawrócił. W rezultacie na Nanda Devi East stanęli rekonwalescent Bujak i Klarner; jeszcze niedawno uważany za żółtodzioba, który może nie poradzić sobie w Himalajach.

Śmierć Bernadzikiewicza i Karpińskiego wynikała z kłótni lokalnego bóstwa?

Lokalne społeczności bardzo różnie definiowały sobie potęgę Nanda Devi. Jed-

no z wierzeń mówi o tym, że kto zmaci spokój bogini śmierci Kali, próbując wdrzeć się na jeden z wierzchołków góry, zostanie ukarany, a jego ciało nigdy nie zostanie odnalezione. I chociaż historia pokazuje, że coś może być na rzeczy, przyczyna śmierci Karpińskiego i Bernadzikiewicza była bardziej prozaiczna. Po zdobyciu Nanda Devi East panowie wciąż byli głodni Himalajów, dlatego przenieśli się na pobliski masyw Tirsuli, chcąc zdobyć jeden z jego trzech wierzchołków. Nocą z 18 na 19 lipca 1939 r. namiot zajmowany przez Polaków został porwany przez olbrzymią lawinę śnieżno-lodową. Wszystko wskazuje na to, że zginęli we śnie. Ich śmierć pokazała, jak kruchy jest ludzki los. O tym, kto będzie nocował w tym namiocie, decydowało losowanie, uśmiech fortuny sprawił, że w niższym obozie pozostali zdobywcy Nanda Devi East.

Którzy wrócili do ojczyzny już po 1 września 1939 r.

Katastrofa pod Tirsuli oznaczała oczywiście koniec wyprawy. Bujak i Klarner bez powodzenia szukali w lawinie ciała współtowarzyszy, w końcu dali za wygraną i zeszli do bazy. Kiedy nadeszli kulisi, ruszyli pieszo w drogę powrotną do Almory. Potem autobusem i koleją dotarli do Bombaju. 23 sierpnia weszli na pokład płynącej do Europy „Victorii”. Tym samym statkiem przypłynęli z Włoch do Indii cztery miesiące wcześniej. Wiadomość o napaści Niemiec na Polskę zastała ich w trakcie rejsu. Dalsza droga – do Genui – była niemożliwa. Włochy były sojusznikiem III Rzeszy. Himalaiści wysiedli więc w Port Saidzie, a następnie – przez Aleksandrię i Bukareszt – dotarli do Lwowa 12 września 1939 r.

Obydwa zginęli w zagadkowych okolicznościach...

Po tym, jak rozdzielili się we Lwowie, Klarner pojechał na front. Wywiązał się tym samym z obietnicy złożonej ojcu przed wyjazdem w Himalaje. Zanim wsiadł do pociągu, obiecał, że wróci z gór na czas i będzie bronił ojczyzny w razie niemieckiej agresji. Jesienią trafił do Warszawy, ale nie zrezygnował z walki. Wstąpił do konspiracji, działał w Armii Krajowej, walczył w powstaniu warszawskim, gdzie został ciężko ranny



DARIUSZ JARON
„POLSCY HIMALAIŚCI”
WYDAWNICTWO
MARGINESY 2019

w głowę. Po wojnie przez kilka lat prowadził w Sopocie zakład naprawy samochodów. Potem wrócił do stolicy. W 1948 r. przejął fabrykę Wyrobów Metalowych K. Kubacki. Próbował wieść normalne życie. 17 września 1949 r. wyszedł ze swojego mieszkania przy ul. Lipskiej 21 i przepadł bez śladu. Rodzina przypuszcza, że został zamęczony w katowni UB na Pradze.

Bujak miesiąc czekał we lwowskim mieszkaniu rodziców na żonę i dzieci. Minęli się o dwa dni. Obawiając się

sowieckich okupantów, zdecydował się na ucieczkę. Razem ze szwagrem Zbigniewem Łomnickim i paroma kompanami dotarł przez zieloną granicę w Karpatach na Węgry. Stamtąd ruszył do Francji, gdzie zasilił szeregi polskiego wojska. U schyłku 1939 r. przeniósł się do Wielkiej Brytanii. Pracował w branży lotniczej, de facto dla zbrojeniówki. W fabryce Rolls-Royce’a w Derby udoskonalił nowy typ napędu samolotów odrzutowych. Z racji rangi projektów, którymi się zajmował, był obiektem stałego zainteresowania służb wywiadowczych. Po zakończeniu wojny zamierzał wrócić do Polski, tęsknił za rodziną. 30 czerwca 1945 r. wyjechał na tygodniowy urlop do Kornwalii. Towarzyszyła mu Lorna Wilkinson, koleżanka z klubu alpinistycznego. 5 lipca oboje rozplynęli się we mgle. Z lakonicznej notatki policyjnej wynika, że najpewniej utonęli, ale ani ciała, ani innych dowodów potwierdzających tę hipotezę nigdy nie znaleziono.

Zbierając materiały do książki, próbowałem dotrzeć do dokumentów IPN dotyczących pierwszych polskich himalaistów. Nie natrafiłem na nic, co mogłoby wyjaśnić zagadkę ich zniknięcia. Nie wiem, czy po upływie niemal ośmiu dekad uda się jeszcze ustalić, jak zginęli. Na pewno jednak możemy zadbać o należne im miejsce w historii polskiego himalaizmu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dariusz Jaroń
– dziennikarz, tłumacz,
absolwent ekonomii
na Uniwersytecie Jagiellońskim.



Jerome Rodrigues, jeden z liderów ruchu „żółtych kamizelek” ewakuowany przez strażaków po postrzeleniu przez policję w oko

FOT. LAFARGUE RAPHAEL/ABACA/EAST NEWS



Olivier Bault

Francuska władza próbuje uciszyć protestujących. Brutalność służb mundurowych przeraża

Francuska policja jak ZOMO

W jednym z wielu filmików krążących we francuskim Internecie pani sekretarz stanu ds. równości mężczyzn i kobiet, wojująca feministka Marlène Schiappa, mówi o Międzynarodowym Dniu Eliminacji Przemocy wobec Kobiet, który obchodziliśmy 25 listopada, czyli dzień po drugiej sobocie protestów tzw. żółtych kamizelek w całej Francji. Dalej pani minister opowiada o wysiłkach rządu francuskiego w walce z przemocą wobec kobiet. Tyle tylko, że autorzy filmiku wtrącili między wypowiedzi feministki sekwencje, na

których widać, jak francuscy policjanci brutalnie rozprawiają się z młodszy i ze starszymi paniami podczas protestów „żółtych kamizelek”. Obrazy są szokujące, a na niektórych widać wyraźnie, że przemoc ze strony policjantów jest nieuzasadniona. Kobiety leżące na ziemi są bite z całej siły pałkami policyjnymi, ciągnięte po jezdni za włosy, inne są przewracane, kopane, deptane, duszone, gazowane czy filmowane z zakrwawioną twarzą. Filmik został wyświetlony prawie milion razy. Nie ma na nim sekwencji z 20-lletnią Fioriną L., która 8 grudnia straciła oko, gdy została trafiona

granatem z gazem łzawiącym wystrzelonym przez policję. Stała spokojnie z grupą ok. 100 „żółtych kamizelek”. Jej zdaniem strzał w ich kierunku, zamiast wymierzenie go w stronę wandalów działających w oddaleniu, był przygotowany i umyślny.

CELUJĄ W GŁOWY

W niedzielę 20 stycznia w telewizji C8 Jean-Marc, z zawodu ogrodnik, pokazał swoją twarz bez jednego oka. Dostał w nie pociskiem gumowym. Policjanta, który w niego strzelił, nazwał na wizji „sukinsynem” i opowiadał o tym, jak francuskie siły porządkowe celują protestującym w głowę zamiast w klatkę piersiową, jak nakazują przepisy. Zdarza się też, że strzelają w plecy, gdy protestujący wycofują się, jak to było w przypadku 48-letniego Oliviera w Bordeaux w sobotę 12 stycznia. Ten 48-letni strażak, ojciec trojga dzieci, dostał podczas sobotniego protestu „żółtych kamizelek” pociskiem gumowym wystrzelonym z „miotacza” Flash-Ball w szyję. Zapadł w śpiączkę i walczy o życie.

To niedosobnione przypadki. Do 21 stycznia wieczorem, licząc od 17 listopada, a więc po 10. sobocie protestów „żółtych kamizelek”, aż 109 protestujących

i dziennikarzy, w tym 12 kobiet, odniosło poważne obrażenia. Wśród osób ciężko rannych 79 zostało trafionych pociskami gumowymi, w większości w głowę, i co najmniej 15 straciło jedno oko. Co najmniej trzy osoby straciły dłoń. Jest też jedna ofiara śmiertelna przemocy policyjnej: 80-latką, która została trafiona w twarz granatem z gazem łzawiącym, gdy zamykała okiennicę swojego domu 1 grudnia zeszłego roku w Marsylii. Nie są to oficjalne liczby, gdyż francuskie MSW nie publikuje takich danych. Statystykę tę kompiluje portal CheckNews.fr należący do lewicowego dziennika „Libération”, zaznaczając, że lista może być niekompletna. Wszystkie przypadki są udokumentowane imieniem i nazwiskiem ofiary, datą i miejscem zdarzenia oraz zdjęciami, ewentualnie filmem.

Rzecznik rządu Benjamin Griveaux podał 20 stycznia, że zgłoszono 81 przypadków bezprawnej, nieuzasadnionej przemocy ze strony stróżów prawa, po których wszczęto śledztwa.

Ze względu na zagrożenie dla życia i zdrowia manifestantów francuski rzecznik praw obywatelskich domaga się od 17 stycznia wycofania z użycia miotaczy pocisków gumowych Flash-Ball typu LBD 40, będących źródłem większości najpoważniejszych obrażeń.

Pomimo tego minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner jeszcze 18 stycznia odrzucił wszelkie oskarżenia o przemoc policyjną. Wręcz przeciwnie – zarzucał tym, którzy mówią o niespotykanej i nieuprawnionej brutalności ze strony sił porządkowych, że stoją po stronie chuliganów.

ZASTRASZANIE?

Wiele wskazuje na to, że korzystanie z tego typu środków przez służby to świadoma strategia odstraszenia Francuzów od protestów „żółtych kamizelek”. Często bowiem policjanci czy żandarmi celują nie w złodziei lub chuliganów przyłączających się do pokojowych manifestacji, ale właśnie w tych, którzy prowadzą pokojowy protest, gdyż to właśnie należy ich zniechęcać. To typowa metoda kija i marchewki. Z jednej strony brutalnie rozprawiamy się z protestami, a z drugiej organizujemy wielką narodową „debatę”, tworząc wrażenie, że swoje postulaty można zgłaszać bez potrzeby dalszych manifestacji.

Na razie metoda ta przynosi umiarkowane skutki. Co prawda prezydent Macron zyskał w drugiej połowie stycznia parę punktów w sondażach, a większość

popierająca protesty „żółtych kamizelek” spadła z ok. trzech czwartych (pytanych w grudniu 2018 r.) do nieco ponad połowy (w styczniu 2019 r.). Liczba Francuzów, uczestniczących w protestach w kolejne soboty, nie maleje, a akceptacja przemocy ze strony „żółtych kamizelek” rośnie. I tak w 10. sobotę protestów, 19 stycznia, manifestantów było 84 tys. – według mało wiarygodnych danych francuskiego MSW, a co najmniej dwa razy tyle – według stron internetowych zajmujących się zbieraniem danych z manifestacji na terenie całego kraju. Innym wskaźnikiem rozmiaru mobilizacji jest liczba policjantów i żandarmów mających przeciwstawić się protestującym, która sięgała 80 tys. funkcjonariuszy.

Brutalność służb nie jest jedynym niepokojącym sygnałem płynącym z Francji. Od początku protestów zastrzeżenia budzi liczba zatrzymań policyjnych oraz praktyka zatrzymań „prewencyjnych”. Zatrzymane osoby zostają najczęściej oczyszczone z wszelkich zarzutów przez sądy. W opublikowanym 14 grudnia raporcie Amnesty International krytykowano już nadmierne użycie siły wobec pokojowych manifestantów oraz bezprawne aresztowania. Razem w pierwszym miesiącu protestów – od 17 listopada do 17 grudnia ubiegłego roku – zatrzymano 4570 osób. 12 grudnia 2018 r. paryska rada adwokacka wydała jednoomyślnie oświadczenie potępiające sposób traktowania zatrzymanych w ramach procedury ich osądzania w trybie przyspieszonym. Paryscy adwokaci skrytykowali to, że oskarżeni w trakcie posiedzenia sądu byli zamykani w szklanych klatkach jak niebezpieczni przestępcy.

Zastanawiające w tym wszystkim jest zachowanie francuskich mediów mainstreamowych. Z nielicznymi wyjątkami o brutalnym rozprawianiu się z protestującymi zaczęły na dobrą sprawę szeroko mówić i pisać dopiero po tym, jak 12 stycznia wspomniany już 48-letni strażak dostał pociskiem gumowym w tył szyi i zapadł w śpiączkę. Za to nader chętnie rozprawiały o przemocy ze strony „żółtych kamizelek” wobec stróżów prawa.

OBRAZ W MEDIACH

Pierwszy materiał poświęcony przemocy policyjnej w głównym dzienniku największych telewizji TF1 i France 2 dotyczył szefa policji w Toulonie na południu Francji, którego sfilmowano w trakcie wymierzania bokserskich uderzeń w głowę kilku manifestantów, w tym jednego, którego na

stojąco przytrzymują inni policjanci, a jego głowa po każdym ciosie pięścią obija się o mur, o który jest oparty. Materiał został wyemitowany 6 i 7 stycznia. Jednak w tych samych dziennikach dwa razy więcej czasu poświęcono byłemu bokserowi, którego sfilmowano, jak boksuje policjantów w tarczę i kask, zmuszając ich do cofania się. O ile w przypadku komendanta z Toulonu dziennikarze starali się znajdować okoliczności łagodzące, o tyle wobec boksera Christophe’a Dettingera tego nie robili. Aby przeczytać świadectwo kobiety, twierdzącej, że Dettinger ratował ją przed bijącymi ją na ziemi policjantami, trzeba było zajrzeć do internetowych mediów alternatywnych.

Rozdźwięk między tym, co jest pokazywane w głównych stacjach telewizyjnych, a tym, co można zobaczyć w mediach społecznościowych, zaczął być zauważany przez największe francuskie gazety – zwłaszcza lewicowe „Libération” i „Le Monde” – właśnie w połowie stycznia. Dlatego też dziennikarze telewizyjni często padają ofiarą agresywnych zachowań ze strony rozgniewanych „żółtych kamizelek”. Jeszcze 10 stycznia w głównym dzienniku TF1 można było usłyszeć z ust jednego z dziennikarzy, że do tej pory ani jeden protestujący nie odniósł poważnych obrażeń i że należy z tego tytułu chwalić zimną krew oraz profesjonalizm francuskiej policji. W tym samym czasie na Facebooku publikowano zdjęcia i filmy z zakrwawionymi twarzami manifestantów ze złamaną szczęką, brakującym kawałkiem wargi czy wybitymi zębami. Dlatego doszło kilkakrotnie do protestów przed redakcjami różnych mediów. Najczęstszym celem ataków są dziennikarze prywatnej stacji informacyjnej BFM TV.

22 stycznia przed komisją senacką minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner przyznał się tylko do czterech osób zranionych w oko z powodu korzystania przez siły policyjne z pocisków gumowych. Tym razem główne gazety i portale informacyjne zwróciły od razu uwagę, że liczba ta jest zaniżona. To ten sam minister 24 listopada, podczas drugiej soboty protestów „żółtych kamizelek”, winą za zamieszki obarczył jakąś mglistą „ultraprawicę” oraz Marine Le Pen. Obserwatorzy byli jednak zdania, że to taktyka przyjęta w tamtym dniu w Paryżu przez francuskie MSW doprowadziła do scen przemocy, co mogło być celowym działaniem rządu Philippe’a, aby zdyskredytować protest. To się jednak nie udało. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na łamach „NRC Handelsblad”, największej gazety codziennej w kraju tulipanów, ukazał się bardzo obszerny artykuł dziennikarza Joepa Dohmena pt. „Także w Holandii biskupi i kardynałowie dopuszczali się nadużyć”. Tekst zawiera analizę dramatu pedofilii w holenderskim Kościele katolickim w latach 1945–2010. Autor artykułu twierdzi, że w tym okresie w Holandii ponad połowa kardynałów, arcybiskupów i biskupów ukrywała różne przypadki molestowania seksualnego dzieci przez księży i zakonników, a czterech biskupów zostało oskarżonych o czyny pedofilskie.

Wśród biskupów tuszujących pedofilię klerykalną był m.in. prymas Holandii kard. Bernardus Alfrink (1900–1987), który jest powszechnie uznawany za jedną z najbardziej wpływowych postaci w Kościele katolickim na świecie w XX stuleciu. Alfrink odegrał niezwykle ważną rolę w trakcie obrad Soboru Watykańskiego II i był zdecydowanym zwolennikiem liberalnej rewolucji doktrynalnej w Kościele holenderskim w latach 60. i 70. ubiegłego wieku. Po publikacji tego tekstu ukazało się specjalne oświadczenie Konferencji Episkopatu Holandii, w którym potwierdzono informacje zaprezentowane przez dziennik.

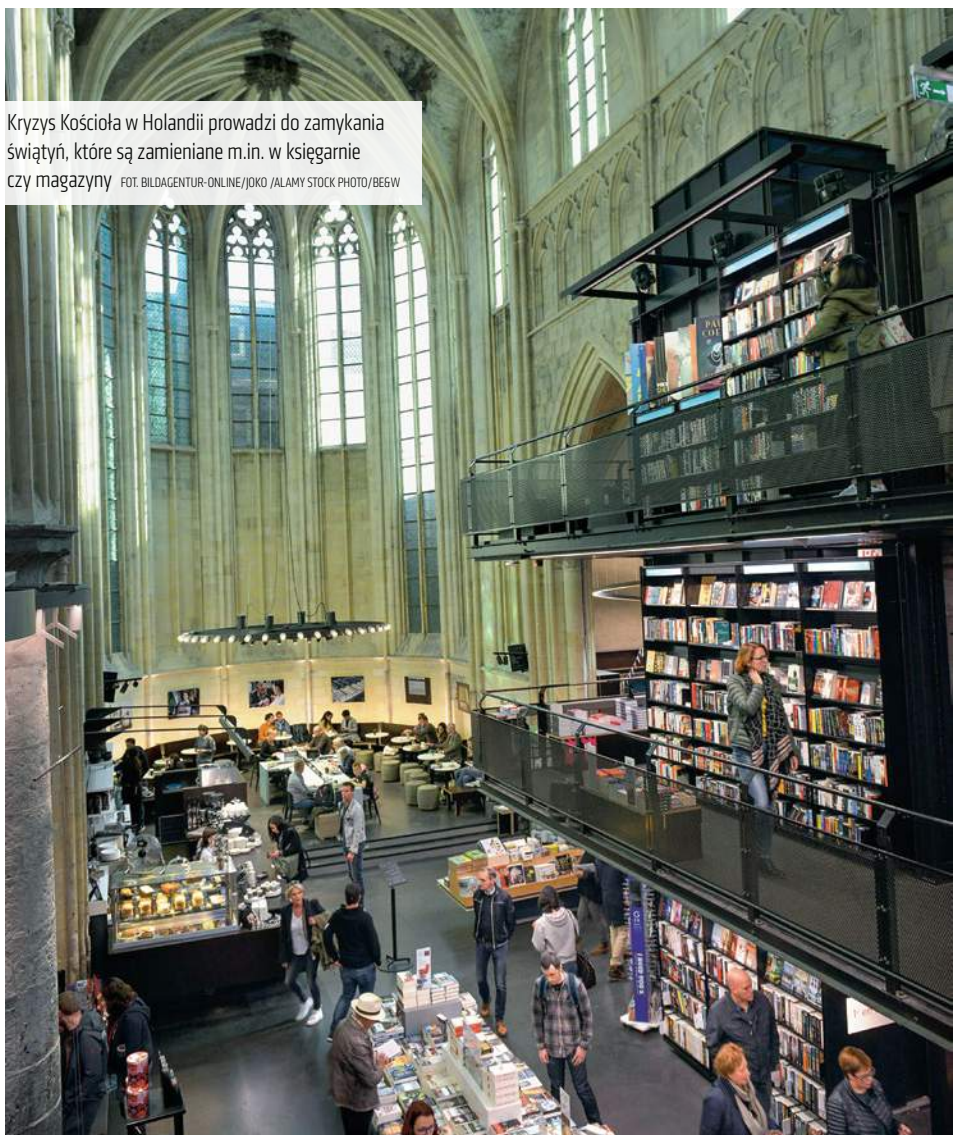
TRZĘSIENIE ZIEMI 2010

Wykorzystywanie seksualne dzieci przez niektórych duchownych katolickich w Holandii stanowi część wielkiego problemu społecznego pedofilii, który dotyczy w tym kraju wielu grup zawodowych. Problem molestowania seksualnego osób nieletnich w społeczeństwie holenderskim został dostrzeżony po raz pierwszy w połowie lat 80. ubiegłego wieku. Rząd zastosował wówczas wiele środków zaradczych, gdy przeprowadzone badania socjologiczne wykazały, że znacząca liczba osób dorosłych była w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie. Rosnące zainteresowanie tym problemem skłoniło w 1992 r. władze w Amsterdamie do reformy ustawodawstwa dotyczącego przestępstw seksualnych. Zmiany w prawie karnym zapewniły lepszą ochronę dzieci i młodzieży przed niechcianym kontaktem seksualnym.

W Kościele katolickim w Holandii pierwsze analizy tego rodzaju nadużyć koncentrowały się na przypadkach molestowania seksualnego, które były związane z różnymi formami zależności służbowej czy rodzinnej. Na początku lat 90. ubiegłego wieku zostały wypracowane pierwsze instrukcje dotyczące opieki duszpaster-

Kryzys Kościoła w Holandii prowadzi do zamykania świątyń, które są zamieniane m.in. w księgarnie czy magazyny

FOT. BILDAGENTUR-ONLINE/OKO /ALAMY STOCK PHOTO/BEGW



Dramat w kraju tulipanów



ks. Andrzej Kobyliński

Wykorzystywanie seksualne dzieci przez niektórych duchownych katolickich w Holandii stanowi część wielkiego problemu społecznego pedofilii. Dotyczy on w tym kraju wielu grup zawodowych

skiej w takich sytuacjach. W 1995 r. władze kościelne powołały do życia organizację Pomoc i Sprawiedliwość, której celem było rozpatrywanie skarg dotyczących molestowania seksualnego osób nieletnich – przez duchownych i świeckich – w instytucjach należących do Kościoła katolickiego. W 1998 r. przyjęto zasady regulujące kwestię zgłaszania przez władze kościelne przypadków pedofilii klerykalnej odpowiednim organom śledczym państwa holenderskiego. W 2007 r. procedura rozpatrywania skarg dotyczących wykorzystywania seksualnego została rozszerzona na wszystkie kategorie osób, które wykonywały jakąkolwiek pracę, odpłatną czy nieodpłatną, w różnego rodzaju instytucjach należących do Kościoła katolickiego.

W 2010 r. o pedofilii w Kościele katolickim, podobnie jak w 2018 r., mówiły media na całym świecie. To było globalne trzęsienie ziemi – także w Holandii. Z tego powodu Kościół holenderski został poddany ogromnej presji medialnej. W 2010 r. Konferencja Biskupów Holenderskich i Holenderska Konferencja Przełożonych Zakonnych zostały zmuszone do powołania specjalnej komisji śledczej, niezależnej od władz kościelnych, do zbadania przypadków pedofilii w instytucjach Kościoła. Na czele komisji stanął znany i doświadczony polityk chadecki Wim Deetman.

Sześciuosobowa Komisja Deetmana funkcjonowała od lata 2010 do wiosny 2011 r. Członkowie komisji przestudiowali 1,8 tys. skarg, które zostały skierowane bezpośrednio do nich. Poddali analizie także streszczenia zeznań wielu innych osób, które skierowały swoje skargi do organizacji Pomoc i Sprawiedliwość w latach 1995–2010. Jedną z form pracy komisji było także badanie ankietowe przeprowadzone na reprezentatywnej grupie obywateli holenderskich, którzy w 2010 r. ukończyli 40 lat. Komisja otrzymała 34 234 wypełnione kwestionariusze. Według tego badania, co 10. osoba mieszkająca w Holandii, przed ukończeniem 18. roku życia, została poddana wbrew swej woli różnym czynnościom seksualnym z osobą dorosłą w wielu różnych instytucjach państwowych, samorządowych, społecznych i kościelnych oraz w rodzinach.

W 2011 r. Komisja Deetmana opublikowała specjalny raport liczący 864 strony. Dokument został powszechnie uznany za bardzo przejrzysty i niezwykle rzetelny. W raporcie stwierdzono, że w Holandii w latach 1945–2010 było molestowanych seksualnie kilkadziesiąt tysięcy dzieci

w różnego rodzaju instytucjach katolickich: szkołach, internatach, zakonach, seminariach duchownych, nowicjatch, stowarzyszeniach i organizacjach kościelnych. Komisja Deetmana zidentyfikowała ok. 800 pracowników Kościoła katolickiego (biskupów, księży, zakonników, ludzi świeckich) odpowiedzialnych za wykorzystywanie seksualne dzieci. Z tej grupy oskarżonych żyło w 2011 r. już tylko 105 osób. Po publikacji raportu Komisji Deetmana biskupi holenderscy i przełożeni zakonnicy wyrazili publicznie swoje przerażenie, wstyd i smutek z powodu dramatu pedofilii oraz krzywdy ofiar. W listopadzie 2011 r. Kościół katolicki w Holandii powołał specjalny fundusz liczący 5 mln euro, aby ofiary mogły otrzymać odpowiednie odszkodowania stosowne do doznanych cierpień: od 5 tys. do 100 tys. euro.

POSTULATY „PEDOPARTII”

Jak wytłumaczyć tuszowanie pedofilii w Holandii? W drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku spotkały się ze sobą w społeczeństwie holenderskim, ale także w wielu innych państwach zachodnich, dwa silne prądy światopoglądowe: z jednej strony rewolucja seksualna 1968 r., z drugiej – głębokie reformy w Kościele katolickim po Soborze Watykańskim II. Połączenie tych dwóch nurtów doprowadziło w Holandii do powstania nowej formy katolicyzmu w wersji skrajnie liberalnej, która stanowiła radykalne odejście od tradycyjnego rozumienia religii i moralności. Dużą rolę w procesie modernizacji świadomości moralnej mieszkańców kraju tulipanów odegrał tzw. katechizm holenderski, wydany w Utrechcie w 1966 r., zredagowany i zaaprobowany przez władze Kościoła katolickiego w Holandii. Autorzy nowego podręcznika doktrynalnego zaproponowali uwspółcześnienie tradycyjnego nauczania katolickiego, kładąc szczególny nacisk na rewizję wielu podstawowych prawd moralnych dotyczących m.in. ludzkiej seksualności, małżeństwa i rodziny. Katolicyzm w wersji ultrapostępowej przestał pełnić funkcję krytyczną w stosunku do radykalnych zmian obyczajowych zachodzących w kraju tulipanów.

Specyfiką Holandii jest nie tyle skala ofiar czynów pedofilskich, ile funkcjonowanie bardzo wpływowych środowisk politycznych i społecznych, które dążą do legalizacji pedofilii. W latach 2006–2010 istniało w tym kraju legalnie działające ugrupowanie polityczne o nazwie Partia na rzecz Miłości Bliźniego, Wolności i Różno-

rodności, które chciało wejść do parlamentu, aby walczyć o prawa pedofilów. To ugrupowanie było powszechnie określane w holenderskiej domenie publicznej jako „pedopartia”. Działacze tej organizacji politycznej nie weszli do Holenderskich Stanów Generalnych w Hadze, ponieważ w wyborach parlamentarnych ich ugrupowanie nie przekroczyło wymaganego progu wyborczego.

Jakie były najważniejsze postulaty polityczne tej organizacji? „Pedopartia” domagała się legalizacji pornografii dziecięcej i obniżenia dolnej granicy wieku legalnego współżycia seksualnego z 16 do 12 lat. Co więcej, działacze tej partii uważali, że w dalszej perspektywie jakakolwiek granica wieku powinna być całkowicie zniesiona. Występowali także przeciw projektom delegalizacji zoofilii, która w opinii członków i sympatyków tej partii powinna być w pełni legalna, o ile „takie zachowania” nie wiążą się z nadmiernym wykorzystaniem czy maltretowaniem zwierząt.

ROZPAD KOŚCIOŁA

Do połowy ubiegłego stulecia Holandia należała do grupy niezwykle religijnych i konserwatywnych społeczeństw Europy. Prawie wszyscy mieszkańcy tego kraju byli wówczas albo praktykującymi katolikami, albo praktykującymi protestantami. Pod koniec lat 50. XX w. ok. 90 proc. obywateli Holandii bardzo poważnie traktowało wyznawaną religię i było przywiązanych do tradycyjnej moralności chrześcijańskiej. Niestety, obecnie Holandia jest jednym z najbardziej zlaicyzowanych społeczeństw na świecie. Do 2020 r. przewiduje się zamknięcie w tym kraju jednej trzeciej katolickich świątyń, które są sukcesywnie zamieniane na magazyny, restauracje, hotele, domy seniorów czy hale sportowe do uprawiania skateboardingu.

Wydaje się, że w Holandii nastąpiło w ostatnich 60 latach swego rodzaju sprzężenie zwrotne: z jednej strony rewolucja seksualna 1968 r. i gwałtowny proces głębokiej sekularyzacji stworzyły podatny grunt dla rozwoju zjawiska pedofilii, z drugiej dramat seksualnego wykorzystywania osób nieletnich przyczynił się do jeszcze głębszego rozpadu tradycyjnej religijności społeczeństwa holenderskiego i stopniowego rozbitcia Kościoła katolickiego.

Szkoda, że w Polsce brak szerszego zainteresowania dramatycznym losem katolików holenderskich. Może warto także w naszym kraju wyciągnąć wnioski z tej wielkiej tragedii?



PŁASKOZIEMCY RUSZĄ „DOKOŁA ŚWIATA”

Jest grupa ludzi, która uważa, że celowo wprowadzono nas w błąd i Ziemia wcale nie przypomina kuli. Ich zdaniem jest płaska i ma krawędzie. „Płaskoziemcy” prężnie działają nie tylko w Internecie, lecz także mają nawet swoje realne organizacje. Międzynarodowa Konferencja Płaskiej Ziemi zapowiedziała rejs statkiem, dzięki któremu jej członkowie zamierzają dotrzeć do krawędzi globu.

FOT. ADOBE STOCK

OBRAŻENI PRZEZ BUTY

W Internecie trwa zbieranie podpisów (a jest już ich blisko 10 tys.) pod petycją w sprawie wycofania ze sklepów najnowszych modeli butów NIKE. Dlaczego? Ktoś stwierdził, że w logo modelu Air Max na podeszwie można dopatrzeć się pisanego po arabsku słowa „Allah”. Muzułmanie uważają, że to skandal. Firma odpowiedziała oficjalnie w mediach, że to znak towarowy i inne jego znaczenie lub przestawienie jest „nieintencjonalne”.

TRZYNASTOLATKA O DOPINGU

Młodziutka rosyjska łyżwiarka zorganizowała sobie na Instagramie wirtualne spotkanie z fanami i odpowiadała na ich pytania. Ktoś zapytał, czy na moskiewskim lodowisku olimpijskim łyżwiarze przyjmują doping, a ona beztrudno stwierdziła: „Wszyscy zażywają”. Wywołało to medialny skandal. Rosyjska Federacja łyżwiarstwa Figurowego oficjalnie zaprzeczyła i zasugerowała, że nastolatka opowiada „bzdury”. Trenerka 13-latkę tłumaczyła, że dziewczynka po prostu żartowała.

SEKSIZM NA PARKINGU

25-latek z Nadrenii Północnej pozwał urząd miasta w Eichstätt. Nie spodobał mu się napis: „Nur für Frauen” na niektórych parkingach w tym bawarskim mieście. Jego zdaniem seksistowskie parkingi dla kobiet dyskryminują mężczyzn, ale też pokazują, że kobiety są słabsze i gorsze. I teraz najlepsze: miasto wytłumaczyło, że parkingi „tylko dla kobiet” powstały po gwałcie w 2016 r. Zrobiono taki m.in. przy domu seniora, bo pracownice tam przyjeżdżające były wielokrotnie molestowane. Sąd przyznał rację 25-latkowi i nakazał dodanie tabliczek wyjaśniających, że parkingi są dla wszystkich.

UPIJ SIĘ DLA POLICJI

Departament policji w Pensylwanii (USA) zamierza przeszkolić funkcjonariuszy z tego, jak badać trzeźwość. W związku z tym ogłosił w sieci, że potrzebuje ochotników, którzy upiją się, aby umożliwić przeszkolenie mundurowych. Reakcja była więcej niż entuzjastyczna. Na Facebooku tysiące osób zadeklarowały, że są w stanie poświęcić zdrowie, aby funkcjonariusze w przyszłości mogli lepiej pilnować porządku i przestrzegania prawa. © © **Łukasz Zboralski**

NOTATNIK MALKONTENTA



ŁUKASZ WARZECHA

Duch prawa i litera prawa

Kaczyński miał być niezgłą bez własnego konta, a tu okazuje się wybitnym macherem od nieruchomości – powiadają stronnicy PiS w reakcji na materiał „Gazety Wyborczej”. Można sprawę widzieć i tak, ale to tylko przykrywanie problemu plemiennym pokrzykiwaniem, które rozlega się również z drugiej strony.

Wbrew chciejstwu redaktorów „GW” litera ustawy o partiach politycznych wydaje się nienaruszona, ale zamysł tejże ustawy i samego polskiego systemu partyjnego przez nią kształtowanego – już tak. Jakkolwiek by próbować

odwracać kota ogonem, inwestycja, o której mowa na nagraniu, miała w pewien sposób wspierać działalność polityczną. Owszem, przez pośrednie ogniwa, ale jednak. Czy tak ma wyglądać polski system partyjny i czy taka była idea ustawy o partiach politycznych? Bynajmniej. Partie nie miały być firmami deweloperskimi, usługowymi, przedsiębiorstwami. Miały funkcjonować dzięki ograniczonemu wpłatom obywateli i subwencjom.

Szkoda, że ta kwestia umyka w ferworze walki, tymczasem to ona powinna być w centrum. Albo umówmy się, że ugrupowania

polityczne mają mieć prawo zarabiać w biznesie – ale wtedy niech robią to otwarcie i niech będzie to kosztem subwencji. Przypominałoby to trochę mechanizm amerykański, w którym można zrezygnować z publicznego finansowania na rzecz nieograniczonych datków od sympatyków. Albo konsekwentnie wprowadzmy zasady, wyraźnie odcinające działalność partyjną od jakiegokolwiek działalności biznesowej. Który wariant jest lepszy – to temat na odrębną dyskusję. Bez wątplenia najgorszy jest wariant mętnej wody, pozwalający zgodnie z prawem prowadzić działalność niezgodną z jego duchem. © ©

W 2018 r. zlikwidowano w Polsce 11 tys. sklepów – wynika z najnowszych danych wywiadowni gospodarczej Bisnode. Ogółem kurczy się liczba detalicznych punktów sprzedaży we wszystkich istotnych kategoriach branżowych.

– Ruch klientów nadal przenosi się z ulic miast do galerii handlowych. Dodatkowo dynamicznie rośnie sprzedaż w kanale internetowym. Można szacować, że już nawet ponad 20 proc. sprzętu elektronicznego, w tym AGD i RTV, jest sprzedawanych przez Internet, a wskaźnik ten rośnie – zauważa Zbigniew Mądry z zarządu Grupy AB, największego w Polsce i regionie Europy Środkowo-Wschodniej dystrybutora IT i elektroniki użytkowej.

Co więcej, polscy przedsiębiorcy – właściciele sklepów detalicznych – mocno odczuwają ekspansję zagranicznych sieci handlowych. W naturalny sposób dysponują one wielokrotnie większą siłą biznesową dzięki dużej skali działalności, ogromnymi zasobami finansowymi i organizacyjnymi, wyspecjalizowanymi systemami IT, budowanym przez lata know-how. Na szczęście polscy drobni przedsiębiorcy mogą nawet w tak ekstremalnie trudnych warunkach rynkowych osiągnąć sukces. Kluczem do tego jest połączenie sił.

– Wypracowaliśmy model współpracy, w którym wszyscy zyskują. Dla nas sieci franczyzowe są lojalnym kanałem sprzedaży, dla franczyzobiorców bycie w naszej sieci oznacza wejście na nieosiągalne wcześniej poziomy efektywności biznesowej oraz otwarcie nowych możliwości rozwoju działalności handlowej, a finalni konsumenci otrzymują atrakcyjną ofertę wraz z właściwym doradztwem – podkreśla Andrzej Przybyło, prezes zarządu Grupy AB.

Grupa AB zarządza największą branżową siecią niezależnych sklepów detalicznych. Sieć Alsen to 336 salonów komputerowych, których właściciele i pracownicy z pasją oraz dużą wiedzą ekspercką doradzają swoim klientom, najczęściej budując wieloletnie relacje. Tu bowiem klient jest w centrum zainteresowania. Tak samo jest w sieci Kaktus z asortymentem RTV-AGD (blisko 240 sklepów) czy w sieci Wyspa Szkrabów z zabawkami (150 lokalizacji).

– Alsen to dojrzała sieć franczyzowa, działająca już od 16 lat, zrzeszająca nieduże sklepy, będące blisko klientów, często w mniejszych miejscowościach.



Polski handel: siła tkwi w grupie

Polskie sklepy mogą konkurować z zagranicznymi marketami. Wspólny szyld franczyzowy i liczne benefity z tego tytułu zdecydowanie pomagają podjąć krajowym przedsiębiorcom równorzędną walkę konkurencyjną

Sukces Alsen jest wynikiem determinacji i ciężkiej pracy osób zaangażowanych w funkcjonowanie poszczególnych sklepów oraz wsparcia Grupy AB. Na bazie tego sukcesu rozwijamy długoterminowo kolejne sieci, wspierając tym samym polską przedsiębiorczość. Sama sieć Alsen jest źródłem utrzymania dla ok. 1,5 tys. polskich rodzin – mówi Andrzej Przybyło.

Grupa AB, będąca największą polską firmą rodzinną według zestawienia portalu Money.pl, dostarcza sklepom współpracującym w ramach sieci franczyzowych wsparcie promocyjno-reklamowe, dające możliwości maksymalizacji

rentowności sklepów. Otrzymują one również atrakcyjne warunki handlowe oraz dostęp do profesjonalnych systemów IT, a także korzystają na rozwoju kanału e-commerce. Istotnym kierunkiem działania Grupy AB jest również działalność szkoleniowa, mająca na celu podniesienie kompetencji sklepów partnerskich i zniwelowanie różnic w tym zakresie w stosunku do znacznie silniejszej konkurencji wielkopowierzchniowej. Warto przy tym podkreślić, że kompleksowe wsparcie otrzymują członkowie sieci, z których wszyscy są niezależnymi sklepami, niepowiązanymi w żaden sposób kapitałowo z Grupą AB.



Jacek Przybylski

Stany Zjednoczone są już w czołówce światowych eksporterów skroplonego gazu. Ameryka coraz mocniej uderza w rosyjską dominację na europejskim rynku surowców. Ile może na tym zyskać Polska?

To historia o surowcowej wojnie światowych imperiów, kilkusetmetrowych statkach i gigantycznych pieniądzach. Olbrzymie metanowce od października ubiegłego roku do stycznia roku obecnego przewiozły do Europy już 3,23 mln ton amerykańskiego LNG. Innymi słowy, do gazoportów na Starym Kontynencie zawinęło w tym czasie aż 48 ogromnych metanowców. To gigantyczny wzrost. Rok wcześniej wielkość dostaw z USA od października do stycznia wyniosła zaledwie 0,7 mln ton, czyli dziewięć metanowców – wynika z danych firmy analitycznej Refinitiv Eikon, cytowanych przez Agencję Reutersa.

Stany Zjednoczone – które realizację dostaw gazu skroplonego zaczęły dopiero w 2016 r. – wyprzedziły już Australię oraz Malezję i stały się drugim po Katarze największym eksporterem LNG na świecie. Europa z kolei wyprzedziła Meksyk oraz Koreę Południową i obecnie jest najważniejszym globalnym odbiorcą błękitnego paliwa w formie ciekłej z USA.

Komisja Europejska szacuje, że wielkość dostaw LNG z Ameryki na Stary Kontynent do 2022 r. się podwoi. Powodem jest nie tyle polityka – prezydent Donald Trump wielokrotnie przekonywał sojuszników, że skoro oczekują, iż

Ameryka zapewni im bezpieczeństwo, to powinni zmniejszyć swoją zależność od rosyjskich dostaw gazu – ile zwykły rachunek zysków i strat.

Po spadku cen surowca na azjatyckich rynkach i nałożeniu ceł przez władze w Pekinie Amerykanom najbardziej opłaca się sprzedawać gaz właśnie Europejczykom. Piotr Woźniak, prezes PGNiG, podkreślał jesienią zeszłego roku, że ceny LNG z Ameryki są o ponad 20 proc. korzystniejsze od cen gazu importowanego z Rosji. W niektórych innych krajach Europy ceny gazu LNG dostarczanego statkami są droższe od tego samego surowca przesyłanego gazociągami z Rosji, ale są to wyjątkowo niewielkie różnice. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę wiele rządów doszło więc do wniosku, że

gazową) daje ok. 75 mln m sześć. gazu ziemnego – tyle, ile średnio cała Polska zużywa przez cztery dni latem lub przez jeden dzień zimą.

Gazoport w Świnoujściu – jedna z największych inwestycji energetycznych naszego kraju i jedyna tej wielkości instalacja w Europie Środkowo-Wschodniej, która umożliwia odbiór gazu ziemnego praktycznie z dowolnego kierunku na świecie i której celem było choć częściowe uniezależnienie Polski od dostaw gazu z Rosji – z roku na rok bije kolejne rekordy. Do naszego kraju gaz przy płynął już też z Kataru czy z Norwegii. I chociaż polski gazoport działa krótko – pierwszy metanowiec z dostawą skroplonego gazu wpłynął do Świnoujścia dopiero pod koniec 2015 r.

Ameryka dodaje

nawet gdyby trzeba było płacić minimalnie więcej, to i tak warto zapewnić sobie dostawy z różnych źródeł.

REKORDY ŚWINOUJŚCIA

Ostatnio gaz z amerykańskiego terminalu Sabine Pass w Luizjanie trafił do polskiego gazoportu 27 stycznia 2019 r. Metanowiec o nazwie Iberica Knutsen – mierzący aż 277 m długości i 44 m szerokości – był już 50. statkiem obsługowanym przez położony na wyspie Wolin terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Na pokładzie przywiózł 57 tys. ton błękitnego paliwa w formie ciekłej, co po regazyfikacji (ogrzaniu i zamianie z postaci skroplonej na postać

– to pod względem liczby autocystern z gazem, na które przeładowano LNG, polski gazoport może się pochwalić lepszymi wynikami niż wszystkie terminale importowe w Europie, w tym tacy giganci jak holenderski Rotterdam czy też Fluxys LNG Terminal w belgijskiej Zeebrugge, który niedawno świętował 30-lecie swojej działalności. Cysterny rozwożą zaś LNG do tych zakątków Polski, w których nie ma dostępu do tradycyjnej sieci gazowej.

Spośród wszystkich 22 lądowych terminali w Europie polski gazoport może się również pochwalić najwyższym poziomem wykorzystania mocy regazyfikacyjnych, który wynosi ok. 60 proc.



W sumie od początku działania polskiego gazoportu ilość sprowadzonego drogą morską błękitnego paliwa wyniosła już ponad 4,2 mln ton LNG, co po ogrzaniu daje ok. 5,7 mld m sześć. Obecnie maksymalna zdolność regazyfikacyjna terminalu w Świnoujściu wynosi rocznie 5 mld m sześć. – odpowiada mniej więcej jednej trzeciej polskiego zapotrzebowania na gaz ziemny – i jest w całości zarezerwowana przez PGNiG. Skroplony gaz ziemny z roku na rok zajmuje zaś coraz ważniejsze miejsce w strukturze importu spółki – w 2018 r. jego udział przekroczył 20 proc., a w 2019 r. ma być jeszcze wyższy.

Świetne wyniki działalności terminalu sprawiły, że na przełomie zeszłego

A do końca pierwszego kwartału firmy wybrane przez spółkę Polskie LNG będą mogły złożyć oferty i rozpocząć negocjacje. Wybór wykonawcy planowany jest na jesień obecnego roku. To nie koniec wielkich inwestycji. W Świnoujściu powstanie również drugie nabrzeże, dzięki któremu terminal będzie mógł obsługiwać nie tylko gigantyczne metanowce, lecz także średnie i mniejsze jednostki.

MERKEL NADRABIA STRATY

Sprzedaż LNG na świecie systematycznie wzrasta już od czterech lat. W krajach UE działa już kilkadziesiąt różnej wielkości terminali. Niedawno w Europie do budowy nowych gazoportów przekonali się m.in. Chorwaci oraz Niemcy. Ci pierwsi przyspieszyli prace przy budowie pływającego terminalu na wyspie Krk. Z kolei kanclerz Angela Merkel – według dziennika „Wall Street Journal” – w październiku zeszłego roku poinformowała niewielką grupę parlamentarzystów, że jej rząd będzie współfinansował budowę terminalu LNG w Wilhelmshaven w północnych Niemczech. Obiekt ma być gotowy w 2022 r., a jego planowana roczna przepustowość ma sięgać 10 mld m sześć. gazu po regazyfikacji.

Mimo amerykańskiej ofensywy Rosjanie wciąż mają nieporównywalnie lepszą pozycję na europejskim rynku gazu. Gazprom dostarcza na Stary Kontynent cztery razy więcej tego surowca, niż wynosi całkowita zdolność eksportowa wszystkich czterech amerykańskich terminali LNG (w 2019 r. w USA ma zostać uruchomionych kilka kolejnych terminali).

Promowane przez Waszyngton skroplone błękitne paliwo daje jednak krajom uzależnionym dotąd od Moskwy ciekawą alternatywę i wymusza na

Kremlu stosowanie bardziej konkurencyjnych cen.

POCZĄTEK ZŁOTEJ ERY?

Rosnące zyski amerykańskich przedsiębiorców na europejskim rynku dodatkowo motywują również Białe Dobre do nawoływania do zablokowania takich inwestycji jak budowa drugiej nitki Gazociągu Północnego, które – jak wielokrotnie podkreślały władze w Warszawie – zagraża bezpieczeństwu energetycznemu nie tylko Polski, lecz także całej Unii Europejskiej.

Stany Zjednoczone, które dopiero w 2017 r. stały się eksporterem gazu netto, zamierzają jednak zostać dominującym na świecie gazowym imperium i planują zarówno ogromne inwestycje w infrastrukturę LNG, jak i szybkie zwiększanie produkcji gazu również po roku 2020. Plany przedsiębiorców mocno wspiera zaś obecny prezydent USA. – Jesteśmy tu dziś po to, aby rozpocząć nową politykę energetyczną Ameryki. Będziemy eksportować amerykańską energię na cały świat. Będziemy dominować. Uwierzcie mi: złota era Ameryki właśnie się rozpoczyna – zapowiadał Donald Trump pod koniec czerwca 2017 r. tuż przed wizytą w Warszawie.

Jednocześnie wzrost liczby statków do transportu LNG wymusi spadek cen frachtu LNG. A to zaś może sprawić, że sprawdzą się prognozy Międzynarodowej Agencji Energetycznej, która szacuje, iż udział LNG w światowym obrocie gazem ziemnym wzrośnie z 30 proc. w 2000 r. do ponad 50 proc. już w roku 2025. Polska ma wyjątkową szansę wykorzystać istniejący gazoport oraz korzystną sytuację na rynku, by się stać istotnym lokalnym centrum dystrybucyjnym gazu w całej Europie Środkowej. I warto to zrobić, zanim wyprzedzą nas Niemcy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

gazu

i obecnego roku spółka Polskie LNG, która zarządza polskim gazoportem, ogłosiła przetarg na rozbudowę gazoportu. Do końca 2021 r. polski terminal będzie w stanie regazyfikować aż 7,5 mld m sześć. gazu rocznie, czyli o połowę więcej niż obecnie. Do połowy 2023 r. gazoport otrzyma także nowy zbiornik na gaz ziemny, który pomieści aż 180 tys. m sześć. błękitnego paliwa. W tym czasie ma być również gotowa bocznica kolejowa z 12 stanowiskami załadunkowymi, co umożliwi przeładunek skroplonego gazu na cysterny kolejowe i tzw. kontenery ISO. Wnioski o udział w przetargu oferty mogli składać do zeszłego czwartku.

Do gazoportu w Świnoujściu przyplęło już 50 olbrzymich metanowców FOT. REPORTER/EAST NEWS





Tomasz Cukiernik

Fala renacjonalizacji może mieć fatalne skutki

Jak wylicza EY, udział sektora prywatnego w tworzeniu wartości dodanej brutto w polskiej gospodarce wzrósł z 60,3 proc. w 1995 r. do 80,2 proc. w 2015 r. Za rządów PiS ten trend się odwraca. W grudniu 2016 r. za 1,26 mld zł Enea odkupiła od francuskiego właściciela sprywatyzowaną kilkanaście lat wcześniej elektrownię Połaniec. W maju 2017 r. kontrolowana przez Skarb Państwa spółka PGE za ponad 4,5 mld zł kupiła aktywa francuskiego koncernu EDF w Polsce. W czerwcu 2017 r. za 10,6 mld zł PZU (w którym Skarb Państwa ma ok. 34 proc. akcji) oraz państwowy Polski Fundusz Rozwoju kupiły od włoskiego banku UniCredit 32,8 proc. akcji banku Pekao. Upaństwowiono system ratownictwa medycznego, w efekcie czego z rynku zniknie 20 prywatnych podmiotów posiadających 138 zespołów ratownictwa medycznego. A od firmy Gdańsk Shipyard Group, kontrolowanej przez ukraińskiego inwestora, Agencja Rozwoju Przemysłu odkupiła 81,05 proc. akcji Stoczni Gdańskiej oraz 50 proc. udziałów GSG Towers, producenta wież do elektrowni wiatrowych. Polski Fundusz Rozwoju przejął prawie 100 proc. akcji PES-y.

REPOLONIZACJA LIDLA?

W październiku ubiegłego roku PFR kupił od międzynarodowego inwestora finansowego Mid Europa Partners 99,77 proc. akcji Polskich Kolei Linowych. – Słyszałem nawet zabawną historię na temat tego, że PKL zostały odkupione drożej, niż wcześniej rząd je sprzedał, i z tego powodu uznali, że tamci [rząd PO-PSL – przyp. red.] niegospodarnie ją sprzedali – mówi europoseł Dobromir Sośnierz. – Czyli sam fakt, że kupili drożej, świadczy – ich zdaniem – o tym, że tamci źle sprzedali. No a przecież po to prywatne firmy wykupują różne spółki, żeby rozwinąć takie przedsiębiorstwo, a po kilku latach sprzedać je z zyskiem. A ponadto sam fakt, że się kupiło drogo, może wynikać z różnych przyczyn, niekoniecznie takich, że to było za tanio sprzedane. Może pokazaliśmy kontrahentowi, że jesteśmy zdecydowani na kupno po każdej cenie, i wtedy on śpiewa wysoką

Państwo górami?



W ubiegłym roku rząd odkupił PLK, operatora kolejek w górach, m.in. na Kasprowym Wierchu (na fotografii) FOT. ADOBE STOCK

cenę, żeby jeszcze więcej zarobić, a nie taką, żeby sprzedać po kosztach – dodaje.

Jakby tego było mało, po prywatyzacji w latach 90. Autosanu, którą to spółkę w 2016 r. przejęła Polska Grupa Zbrojeniowa, teraz ma ją przejąć PGE i – zdaniem prezesa Jarosława Kaczyńskiego – mają tam być produkowane supernowoczesne autobusy na prąd. Z kolei PGZ ma kupić od Amerykanów część sprywatyzowanego w 2002 r. rzeszowskiego przedsiębiorstwa lotniczego. Wicepremier Piotr Gliński roi sobie nawet wykupienie... niemieckiego Lidla.

Władze poprzez Fundusz Inwestycji Kapitałowych chcą systemowo nacjonalizować prywatne podmioty, a rząd przyjął projekt ustawy o Fundacji Platforma Przemysłu Przyszłości, by urzędnicy doradzali

firmom – bo władzy znowu wydaje się, że wie lepiej od prywatnych właścicieli, jak prowadzić ich biznes.

Tymczasem to, że państwo czy samorząd nie jest dobrym właścicielem, wiemy nie od dziś. „Przedsiębiorstwa prowadzone przez organizacje przymusowe (państwo, gminy) nie pod kątem widzenia materialnego zysku są, z punktu widzenia bogactwa społecznego, trwonieniem bezpowrotnym jego zasobów; są przeto gospodarczo szkodliwe. Przedsiębiorstwa państwowe czy gminne prowadzone celem osiągnięcia zysków (komercjalizowane) są zbędne, skoro do tego samego celu dążą egoistycznie zorientowane jednostki” – pisał już w 1929 r. prof. Adam Heydel, przedstawiciel szkoły krakowskiej w ekonomii.

Nie inaczej jest obecnie. Prywatne górnictwo w Polsce przynosi zyski, a państwowe – straty. To samo było z hutami. Także spółki giełdowe kontrolowane przez państwo radzą sobie gorzej niż te należące wyłącznie do inwestorów prywatnych. Samorządowe lotnisko w Radomiu złożyło wniosek o upadłość i zdecydowano, że „uratuje” je Przedsiębiorstwo Państwowe Porty Lotnicze. Jednak pod państwowym zarządem nie potrafi dobrze działać nawet hit turystyczny Polski – kopalnia soli w Wieliczce, która popadła w kłopoty, a premier Mateusz Morawiecki obiecał wsparcie dla niej z kieszeni podatnika w wysokości blisko 1 mld zł.

Dlatego trudno wróżyć sukces spółce Polskie Domy Drewniane, która ma zostać utworzona przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej wspólnie z państwowym Bankiem Ochrony Środowiska. Problem w tym, że gdyby taka firma była potrzebna, to utworziliby ją prywatni inwestorzy. I zrobiliby to znacznie lepiej. – Nie widzę żadnego powodu, żeby państwo było właścicielem jakiegokolwiek firmy transportowej – mówił w TVP Info poseł Jacek Wilk przy okazji rozmowy o trudnej sytuacji w PLL LOT.

SOŁTYS PREZESEM

Zdaniem Emanuela Savasa, członka administracji Ronalda Reagana, który przez 10 lat badał dane z USA, Kanady, ze Szwajcarii, z Wielkiej Brytanii i Niemiec dotyczące gospodarki komunalnej, przy wykonywaniu tych samych działań sektor prywatny jest dwa razy tańszy.

Z analiz Macieja Bałtowskiego, które opublikował w książce „Przedsiębiorstwa sprywatyzowane w gospodarce polskiej”, wynika, że w roku 2000 wydajność pracy w polskich firmach prywatnych była trzy razy wyższa niż w państwowych, a co więcej – te pierwsze miały zyski, a te drugie przynosiły straty. Podobne wnioski prezentuje ekspert CASE Małgorzata Antczak. „W latach 2000–2005 przedsiębiorstwa sektora publicznego, zatrudniające powyżej 50 osób, osiągały znacznie słabsze wyniki finansowe niż firmy prywatne. [...] przy zbliżonym zatrudnieniu wykazywały znacznie niższą efektywność ekonomiczną i wydajność pracy, niższe inwestycje o mniej korzystnej strukturze oraz mniej efektywne metody finansowania działalności niż firmy

prywatne. [...] Najważniejszym jednak skutkiem niższej efektywności firm sektora publicznego jest ich silny wpływ na osłabianie wzrostu gospodarczego poprzez brak mobilizowania środków na inwestycje i rozwój” – napisała Antczak w raporcie CASE z 2007 r. pt. „Zmiany w polskich przedsiębiorstwach: własność, restrukturyzacja, efektywność”.

Z analiz Antczak wynika także, że w badanych latach poziom kosztów sektora publicznego był znacznie wyższy niż w sektorze prywatnym, a „każda złotówka zaangażowanego kapitału własnego w sektorze publicznym przynosiła średnio o 3,5–4 grosze mniej zysku niż w sektorze prywatnym”.

Również w sektorze publicznym większy był udział firm deficytowych niż w sektorze prywatnym. W raporcie CASE Małgorzata Antczak zaznacza, że wydajność pracy w ankietowanych przedsiębiorstwach państwowych i jednoosobowych spółkach Skarbu Państwa „kształtowała się na poziomie około 40 proc. w odniesieniu do sektora prywatnego”. – Wszelkie badania naukowe pokazują, że przedsiębiorstwa prywatne działają efektywniej od państwowych. Tymczasem, niestety, nasz rząd stawia na własność państwową, nazywając ten proces szumnie repolonizacją – mówi dr Tomasz Kasprówicz, przedsiębiorca oraz wykładowca na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie, w Wyższej Szkole Biznesu w Dąbrowie Górniczej oraz w Wyższej Szkole Ekonomii i Innowacji w Lublinie. – Mają one służyć realizowaniu bliżej nieokreślonej polityki rządu, służą jednak temu, co zwykle – obsadzeniu stołków swoimi.

– Taka polityka nacjonalizacji to zwrot w kierunku głębokiego socjalizmu, przekonanie o tym, że jeśli państwo będzie się zajmowało sektorami uznanymi przez nich za strategiczne, to sektory te coś na tym zyskają. W praktyce im coś jest bardziej strategiczne, tym mniej dobrym pomysłem jest powierzenie tego urzędnikom, bo urzędnicy zarządzają tym zazwyczaj gorzej niż podmioty prywatne – mówi Sośnierz. – Na szczęście kolejki górskie nie są sektorem strategicznym i nawet gdy się je powierzy państwu, to nic się strasznego nie stanie. Gorzej, jeśli się wezmą za sektor spożywczy i zaczną wykupywać Lidle, Biedronki. Wtedy w perspektywie kilku, kilkunastu lat będziemy mieli z powrotem kartki na żywność. Już widzę tego ministra od spraw zaopatrzenia w żywność, jak debatuje na

temat wprowadzenia nowych produktów do Lidla – śmieje się europoseł.

ZAPŁACĄ PODATNICY

Efekty takich działań już widać. – Fatalne wyniki polskiej giełdy zdominowanej przez państwowe spółki – przy hossaie na całym świecie. Są też prestiżowe wpadki, takie jak kompletne fiasko projektu polskiego samochodu elektrycznego, który już miał jeździć, a nie ma nawet projektu, czy stawianie stępki pod statek, którego budowa prawdopodobnie nigdy nie wystartuje – mówi dr Kasprówicz. – Najgorsze jednak przed nami – czyli osłabienie potencjału naszej gospodarki, w której dominuje nieefektywna strefa państwowa kosztem kapitału prywatnego gnębiętego takimi rozwiązaniami jak podzielona płatność, która uderza w płynność małych i średnich firm. Odbije się to zatem na wzroście naszej zamożności.

Poza renacjonalizacją mamy do czynienia z jeszcze jednym szkodliwym procesem – nadmiernymi regulacjami gospodarki: sztywnym prawem pracy, szkodliwymi przepisami środowiskowymi, utrudnianiem prowadzenia aptek czy sklepów. A to właśnie deregulacja i obniżenie podatków umożliwiłyby bogacenie się Polaków, w tym także polskich przedsiębiorców, którzy mogliby akumulować kapitał, by go następnie reinwestować na rynku krajowym. Dopóki tak się nie stanie, dopóty kolejne polskie firmy będą wykupywane przez zachodni kapitał, tak jak to się stało ze spółką Solaris, którą w tym roku nabyli Hiszpanie.

A państwowe przedsiębiorstwa są jedynie jak nieuczciwą konkurencją wobec firm prywatnych. Nieuczciwą – bo na więcej mogą sobie pozwolić, kiedy stoi za nimi państwo. – W ostatecznym rozrachunku obywatele płacą za takie pomysły. Zawsze – podkreśla dr Kasprówicz. Margaret Thatcher powiedziała kiedyś, że „przedsiębiorstwa państwowe nigdy nie będą funkcjonować tak jak przedsiębiorstwa z prawdziwego zdarzenia. Sam fakt, że ostatecznie państwo jest za nie odpowiedzialne przed akcjonariuszami, znaczy, że nie mogą tak funkcjonować. W takim układzie po prostu brakuje silnego bodźca do działania”. Dlatego nie tylko prywatnych przedsiębiorstw nie należy (re)nacjonalizować, lecz także należałoby sprywatyzować jeszcze te podmioty, które nadal pozostają w rękach państwa.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Amok, duma i biznes

Nie słabnie (i nie widać, by miał osłabnąć) spór o to, czy to od ograniczenia ilości posyłanego przez ludzi w powietrze CO₂ zależy „być albo nie być” naszej planety, czy jest wręcz odwrotnie, bo wpływ człowieka na zmiany klimatyczne jest więcej niż ograniczony.

Nie kwestionując, że warto – na miarę naszych możliwości – walczyć np. ze smogiem, spróbujmy na chwilę ów spór zostawić na boku. I równocześnie zauważyć, że niezależnie od tego, kto ma w nim rację, na razie bezapelacyjnymi zwycięzcami starcia, przynajmniej w Unii Europejskiej, są zwolennicy tezy, iż to ludzie ponoszą winę za wszelkie zmiany klimatyczne. I to właśnie ci zwycięzcy – zachowujący się nierzadko, jakby byli w amoku – bez skrupułów narzucają swoje coraz bardziej wygórowane warunki.

Niezależnie więc od tego, kto ma rację w sporze o rzeczywistą skalę, a tym bardziej przyczynę zmian klimatycznych, wszyscy, którzy – jak Polska – opornie poddają się dyktatowi „obrońców klimatu” i wolno zmieniają swój miks energetyczny, którzy uporczywie trwają przy własnym – jak Polska – składającym się w niemal 80 proc. z energii wytwarzanej z węgla, są z każdym rokiem coraz dotkliwiej karani. I to nie tylko rachunkami za drastycznie drożącą energię – za wiszącą nad naszymi głowami gigantyczne podwyżki cen prądu w głównej mierze odpowiadają właśnie kary za emitowanie CO₂.

Oto bowiem niezwykle szybko rośnie liczba koncernów, które – często pod naciskiem klientów – deklarują, że wkrótce będą wytwarzać produkty „w warunkach neutralnych dla klimatu”, a to oznacza przeważnie: wykorzystując energię wyłącznie ze źródeł odnawialnych (lub co najmniej niskoemisyjnych). Czyli także: inwestując w krajach, które są w stanie zapewnić im do tego warunki. Tylko podczas grudniowego szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach obwieściły to aż 43 giganty z rynku mody, m.in. Levi's, Puma i Hugo Boss, wskazując rok 2050 jako graniczny. Jeszcze szybciej chce tego dokonać większość spośród 160 firm skupionych w inicjatywie RE100, do której należą m.in. Coca-Cola, Facebook i Estée Lauder.

Co w tej sytuacji uczyni Polska? Polska ze swym „odwiecznym”, tak chętnie deklarowanym przez niemal wszystkich polityków, bez względu na barwy polityczne, przywiązaniem do górników i węgla. Tym bardziej że już dziś nie brakuje firm, które nie kryją, iż mają problem z naszym miksem energetycznym, i próbują go obchodzić na własną rękę – budując swoje elektrownie wiatrowe. A ile z nich rezygnuje z tego powodu z rozbudowy? Ile w ogóle nie decyduje się na zainwestowanie w Polsce?

Co więc uczynimy? Dumni i do tego przekonani, że racja jest po naszej stronie, nie poddamy się szantażowi „obrońców klimatu”? Jednocześnie bez szemrania ustępując przed szantażem górników? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Styl przywództwa

Adam Grant w niedawno opublikowanej książce „Power Moves” przedstawia wywiady, które przeprowadził z liderami światowego biznesu podczas konferencji w Davos. Opisuje w nich dwa różne style przywództwa: „takers” i „givers”, czyli „dawców” i „biorców”. Te style przywództwa dotyczą zarówno biznesu, jak i polityki.

Biorcy to ludzie o bardzo silnej osobowości, motywowani przede wszystkim osobistym sukcesem. W działaniach dążą do maksymalizacji swojego wpływu i zakresu kontroli. Dobierają sobie współ-

o problemach. Cechują ich wysoka empatia i skłonność do tworzenia sieciowych mechanizmów decyzyjnych, jak np. komitety lub zespoły. Oceniając współpracowników, biorą pod uwagę przede wszystkim ich wkład w sukces danego projektu. Bardzo często mówią „my”, rzadko „ja”. Nie mają problemu z przyznaniem się do błędnej decyzji lub powiedzeniem „przepraszam”, gdy podjęli złą decyzję.

Biorcy w mediach promują siebie, dawcy mówią głównie o celach i sukcesach swojej organizacji. Okazuje się, że wśród kobiet jest więcej dawców, a w przypadku mężczyzn – biorców. Badania pokazują, że istnieje związek między obecnością kobiet na szczytach władzy w biznesie i polityce a sukcesem organizacji. Firmy, w których jest więcej kobiet na kluczowych stanowiskach, osiągają lepsze wyniki i mają zdrowszą kulturę organizacyjną. W przypadku negocjacji międzynarodowych okazuje się, że jeżeli uczestniczą w nich kobiety, to wynegocjowane porozumienia (np. pokojowe) są bardziej trwałe i lepiej odzwierciedlają interesy stron.

Badania opisane w książce „Superminds” Thomasa Malone'a pokazują też, że obecność kobiet w ciałach kolegialnych prowadzi do osiągnięcia wyższej inteligencji zbiorowej.

Co z tego wynika? Potrzebujemy więcej dawców na kluczowych stanowiskach w polityce i biznesie oraz więcej kobiet na szczytach władzy. ©©

Dawcy motywowani są przede wszystkim dobrem ogółu

pracowników, kierując się przede wszystkim zaufaniem i lojalnością. Mają skłonność do przypisywania sobie zasług w projektach zakończonych sukcesem i do obarczania winą innych, gdy projekt nie osiągnął zakładanych celów. W narracji używają bardzo często słowa „ja”. Biorcy tworzą struktury zarządzania oparte na silnej hierarchii, nie lubią słuchać krytycznych opinii i słabo tolerują silne osobowości, szczególnie jeżeli mają inne zdanie. Bardzo rzadko lub nigdy nie mówią „przepraszam”.

Dawcy motywowani są przede wszystkim dobrem ogółu. Otaczają się ludźmi, którzy mają głęboką wiedzę i potrafią otwarcie mówić

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: GŁOŚNIK BOSE SOUNDLINK MICRO

Odporność na wodę, dobra jakość dźwięku i kieszonkowy rozmiar – to największe zalety najmniejszego głośnika Bluetooth amerykańskiej marki Bose.

Zbudowany głównie z tworzywa sztucznego przenośny głośniczek ma niewielkie wymiary 98,3 x 98,3 x 34,8 mm i waży zaledwie 290 g. A ponieważ jest wodoodporny, można zabrać go ze sobą na górskie wędrowniki, nad hotelowy basen lub do... kuchni bądź łazienki. Nawet jeśli kompletnie się zanurzy, to i tak nic mu się nie stanie (spełnia normę IPX7). Głośnik ma też solidny silikonowy klips, który wiosną czy latem umożliwi np. szybkie zamontowanie go do kierownicy roweru czy klamry od plecaka.

Bose SoundLink Micro jak na niewielkie rozmiary potrafi zagrać naprawdę bardzo głośno. Emituje też dobrej jakości, czysty dźwięk:

basy są wystarczająco głębokie, głośniczek stosunkowo nieźle radzi sobie też z szerokim pasmem, choć do muzyki klasycznej nadaje się średnio (zwłaszcza gdy słuchamy np. utworów na skrzypce).

9 m, choć podczas testów stabilne połączenie było utrzymywane w odległości ok. 7 m.

Plusem jest również to, że dzięki wbudowanemu mikrofonowi gadżet może pełnić funkcję zestawu głośnomówiącego, a także ułatwić zdalne porozumiewanie z głosowym asystentem Google czy Siri.

Wady? Pojedynczy głośnik działa w trybie monofonicznym.

Jeśli więc chcemy dźwięku stereo, to trzeba kupić drugą sztukę i połączyć je ze sobą za pomocą aplikacji. Wbudowany akumulator na jednym ładowaniu pozwala na odtwarzanie muzyki przez mniej więcej sześć godzin. Ładowanie

trwa zaś ok. dwóch godzin. Sporym minusem jest też cena. Jeden taki głośniczek kosztuje aż 449 zł. ©©

Jacek Przybylski

NIGDY MNIE NIE ZAPOMNISZ

Kiedy czytam w prospekcie reklamowym, że „pomocze to stać ci się lepszym człowiekiem”, „poznać samego siebie” albo „otworzyć na ludzkość”, zapala mi się czerwone światełko ostrzegawcze, a wewnętrzny alarm wyje: „Uwaga, popkulturowy marksizm!”. W przypadku gadżetu o nazwie OrCam MyMe, choć jego producenci nadużywają podobnych sloganów, alarm jest nieco przedwczesny, a urządzenie może się okazać całkiem przydatne. Przynajmniej dla zmęczonych, zestresowanych, wiecznie niewypanszonych (czytaj: zapracowanych mężczyzn), mających problem z zapamiętywaniem i rozpoznawaniem twarzy znajomych.

Do rzeczy: gadżet to „minikamera” w kształcie niewielkiego klipsa synchronizowana ze smartfonem lub smartwatchem, która rozpoznaje twarze i informuje o tym, kto stoi przed nami. Wszystko to w czasie rzeczywistym, a odpowiednią informację urządzenie wysyła do telefonu lub smartwatcha.

Przy okazji OrCam MyMe automatycznie skanuje i synchronizuje „wizytówki”, przypisując twarze nazwiskom znajomych i adresom kontaktowym, co pozwala zapamiętać ludzi, z którymi widzieliśmy się na imprezie, i odnowić kontakt. Przydatne zwłaszcza dla tych, którzy telefony do poznanych kobiet zapisywali szminką na koszuli.

Ze względu na prywatność „minikamera” nie robi zdjęć, nie nagrywa rozmów, nie wysyła niczego do chmury. Nie jest też aż tak niewielka, by mogła zostać niezauważona. Nie waży za to dużo – ok. 17 g. Kosztuje sporo, bo ponad 700 zł. Zamawiać można na Kickstarterze. Dostawa w marcu.

SPÓJRZ W GWIAZDY

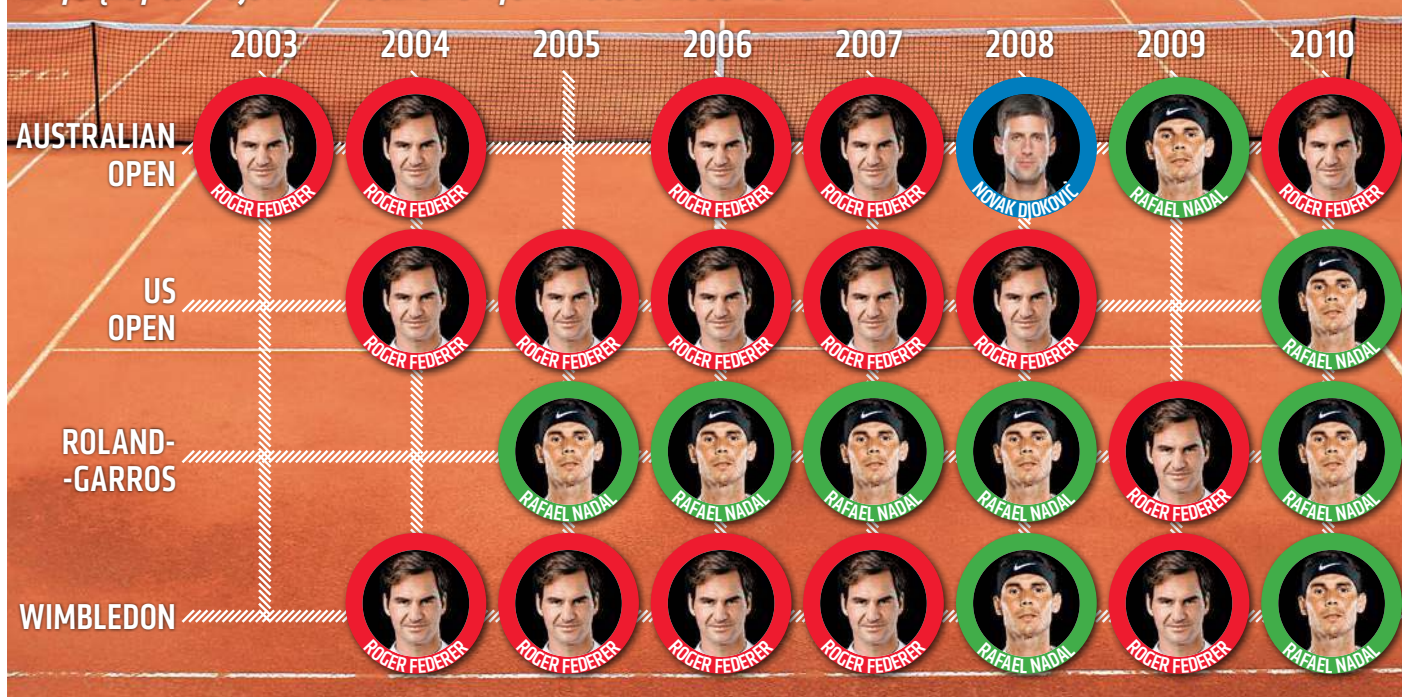
Zaćmienia Księżyca, asteroidy, spadające gwiazdy... W czasach, kiedy już nie tylko poeci i astrologi patrzą w gwiazdy, warto zaopatrzyć się w dobry sprzęt pozwalający na utrwalanie fantastycznych zjawisk na nieboskłonie. Temu ma służyć NAN01 – najmniejsza z dostępnych na rynku kamera astronomiczna z obiektywami M12 o ogniskowej od 15,4 do 275 mm, umożliwiającą filmowanie w rozdzielczości 4K. Konstruktorzy NAN01 zwracają uwagę, że zanieczyszczenie światłem jest kluczowym czynnikiem ograniczającym fotografowanie zjawisk astronomicznych, w tym nocnego nieba.

Tymczasem zastosowany w tej kamerze mikroczujnik daje 5,5-krotny współczynnik przycięcia pozwalający na ogniskowanie i fotografowanie jasnych obiektów astronomicznych nawet bez wyjeżdżania poza miasto. Cena: 1,4 tys. zł. ©©

Wojciech Wybranowski



Zwycięzcy turniejów wielkoszlemowych w latach 2003–2019



Generacja gigantów



Łukasz Zboralski

Federer, Nadal, Djoković – w historii tenisa takiego zestawu wirtuozów jeszcze nie było. Od 16 lat dzielą między siebie najważniejsze trofea

Zakończony niedawno turniej Australian Open dostarczał wielu emocji, zaskoczeń, ale w finale przy siatce spotkali się dwaj najwyższej notowani w rankingu ATP – lider Novak Djoković i numer dwa, czyli Rafael Nadal. Zaskakiwać mogło to, jak łatwo Serb rozgromił idącego jak burza przez turniej Hiszpana. Tylko to jednak mogło zaskakiwać...

Przeglądając się dokładnie statystyce największych turniejów tenisowych – czyli Wielkiego Szlema (do którego oprócz wspomnianego Australian należą Wimbledon, Roland-Garros i US Open),

można dostrzec utrzymującą się prawie od dwóch dekad prawidłowość. Gra wielu zawodników i sport niby jest nieobliczalny, z olbrzymią dokładnością można jednak typować zwycięzcę. Wystarczy wybrać go z wielkiej trójki: Rogera Federera, Rafaela Nadala i Novaka Djokovicia. Przez ostatnich 16 lat Szwajcar, Hiszpan i Serb w sumie 52 razy upuszczali raketę w wielkim finale, podnosili ręce w triumfie i odbierali trofea oraz miliony dolarów.

WIELKIE WIDOWISKA I WIELKIE PIENIĄDZE

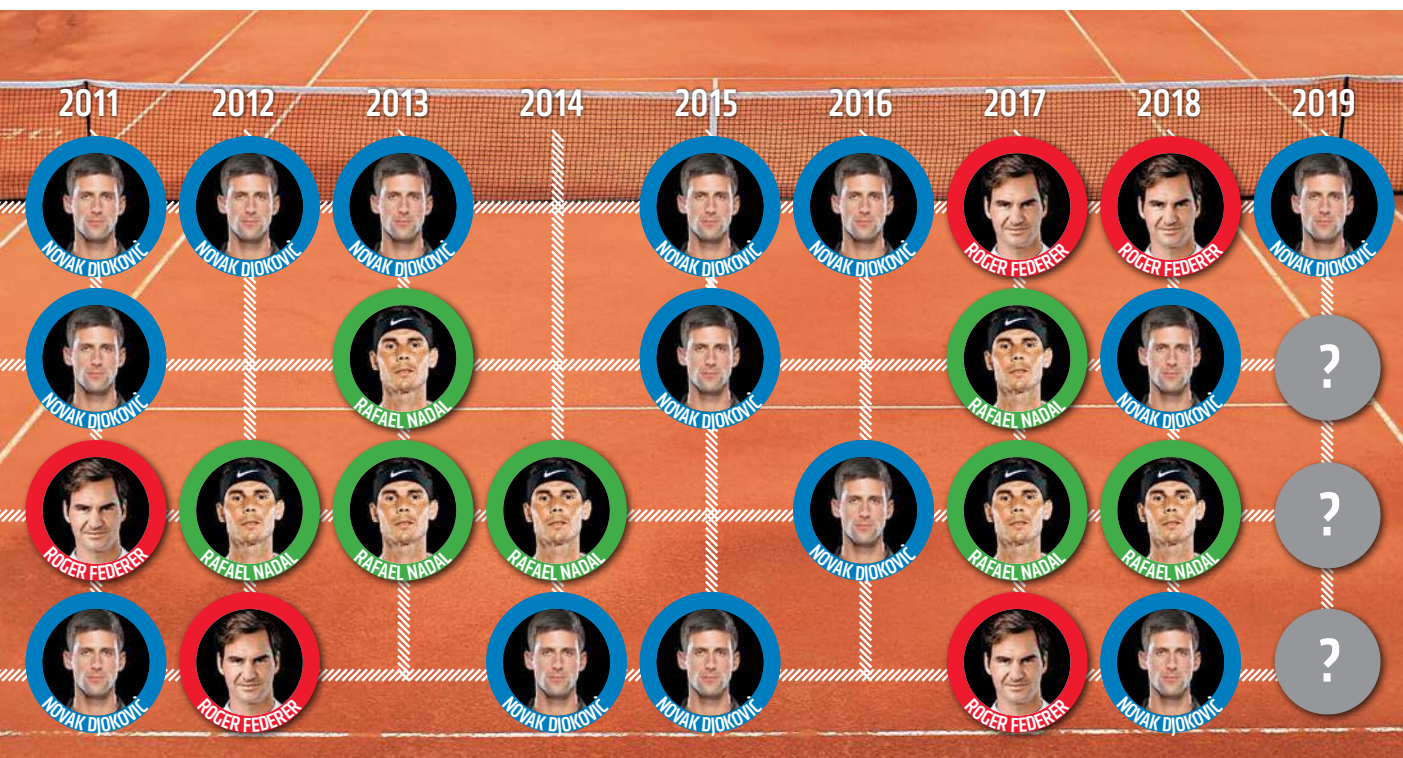
Ci, którzy kochają tenisa, lepszych czasów na urodzenie się nie mogli sobie wymarzyć. Dominatorzy trafiali się zawsze. Ale trzech naraz? I to takich, których zagrania można nagrać i odtwarzać jako wzorce do nauki? Taki piękny zbieg okoliczności może się już długo nie zdarzyć.

Obecna złota era tenisa rozpoczęła się od Federera. I trwa. Już przed laty został przez ekspertów uznany za tenisistę wszech czasów. I mimo że skończy 37

lat, wciąż pokazuje, że jeszcze nieprędko wybierze się na emeryturę. W ubiegłym roku zgarnął swój 20. tytuł Wielkiego Szlema, wygrywając Australian Open po raz szósty (i po tegorocznym turnieju znów Djoković wyprzedza go o jedno zwycięstwo w Melbourne). Mało tego – do finału AO dotarł, nie tracąc ani jednego seta. A to nie wszystko. Bo przecież w lutym minionego roku, zgarniając swój trzeci w karierze tytuł Rotterdam Open, wrócił na miejsce 1. w rankingu ATP i stał się najstarszym liderem okupującym szczyt przez ponad trzy lata (miał dokładnie 36 lat i 195 dni).

A przecież zdawało się, że najlepsze ma już za sobą i od 2013 r. powoli oddawał pole pod siatką i w czołówce rankingu. Zaczęły go nękać kontuzje, a w 2016 r. na jakiś czas wykluczyła go z gry operacja kolana.

Nadal od dawna deptał mu po piętach. Ich pojedynki zawsze wzbudzały emocje. A w ostatnich kilku latach do tej elektryzującej kibiców dwójki dołączył jeszcze Serb. Chociaż słowo „dołączył” nie jest



FOT. ADOBE STOCK; RYS. PEGAZ

tu na miejscu. Novak jest dziś numerem jeden. Pod każdym względem. Nie tylko wygrywa najwięcej, lecz także już dziś zarobił najwięcej, biegając z rakiętą.

Razem zebrali z kortów blisko 350 mln dol. Serb do dziś zainkasował 125,85 mln dol. I to jest najlepszy wynik w historii tenisa w erze open. Wyprzedził Federera o ponad 5 mln dol. Magiczną setkę w milionach przekroczył też Nadal (103,25 mln dol. do tej pory).

Poziom finansowy, na jaki się wspięli, widać wyraźniej, gdy spojrzysz się w dół listy. Następny za nimi jest Andy Murray z „zaledwie” nieco ponad 61 mln dol. zarobku. I może już więcej nie uzbierać, bo przed kilkoma dniami zamieścił zdjęcie na Instagramie, informując, że przeszedł już drugą operację biodra i ma w nim metalowy implant. To może oznaczać już koniec jego kariery.

A za Murrayem na liście najwięcej zarabiających w historii jest już Pete Sampras (43,28 mln dol.), który karierę zakończył w 2002 r.

WIELKI PROBLEM?

Wielka trójka nie tylko zarabia wielkie pieniądze, czyli po kilka milionów rocznie. Giganci tenisa nakręcają też cały biznes wokół kortów. Są gwiazdami takiego formatu, że nawet słabo śledzący dyscyplinę raczej wiedzą, kim są Nadal albo Federer.

Złote nazwiska przyciągają tłumy nie tylko na trybuny, lecz także przed telewizorami. A tłumy to reklama. I pieniądze. Wciąż zwiększały się pule turniejowych wygranych – bo i tak można było na tym zarobić. Tegoroczny Australian Open chwalił się rekordową kwotą nagród dla grających, która sięgnęła 62,5 mln dol.

Ludzie zarządzający tenisowym biznesem zdają sobie już sprawę, że – choć jeszcze nie dziś – to się przecież musi

350

mln dol.

KWOTA, KTÓRĄ ŁĄCZNIE ZAROBILI DO DZIŚ
FEDERER, NADAL I DJOKOVIC

skończyć. Nie tylko Federer osiąga słuszny wiek. Nadal też nie jest już młody, dwa lata temu przekroczył trzydziestkę. A Djoković jest tylko o rok młodszy.

Dlatego organizatorzy turniejów mówią już otwarcie mediom, że potrzeba nowych gwiazd, że muszą zacząć się pojawiać. Z tym jednak jest kłopot. Gdyby na kortach był jeden dominujący, to w wielkim turnieju jedni mieliby pecha (stając na jego drodze w drabince przed finałem), a inni szansę na zabyśnięcie. Jednak drabina

turniejowa usiana jest trójką nie do pokonania. Trudniej błysnąć.

Na razie jest chyba tylko jeden z młodego pokolenia, który może zająć miejsce na podium. To 20-latek Grek Stefanos Tsitsipas. Dwa lata temu okupował miejsce pod koniec drugiej setki rankingu ATP. A już rok temu wynik ten mocno poprawił – został jednym z najmłodszych tenisistów, którzy pokonywali zawodników z topowej dziesiątki. Pokonał wtedy m.in. Novaka Djokovicia. W tym roku w niezwykle stylu awansował do półfinału Australian Open, pokonując samego króla Rogera. Potem jednak stanął przed Nadalem. I z nim nic już nie wskórał (wspominałem o trudnej drabince z gwiazdami?).

Tsitsipas jest dziś już 12. zawodnikiem w rankingu. I jest już rozpoznawalny. Jego droga do wielkiego mistrzostwa stoi przed nim otworem. 18 lat temu w ćwierćfinale innego turnieju, Wimbledonu, naprzeciw siedmiokrotnego mistrza trawy Pete’a Samprasa stanął też młodzieniec – 19-latek Federer. I to on wszedł do półfinału. Trzy lata później zaczął dyktować warunki wszystkim.

Czy wielką trójkę rozbije ktoś z „Next Generation” sprawdzimy niebawem. W maju rozpocznie się rozgrywany na ceglanej mączce Roland-Garros.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADOBE STOCK

Będziemy skuteczniej leczyć?



Katarzyna Pinkosz

Rok 2018 był pierwszym, w którym nakłady na ochronę zdrowia miały zacząć się zbliżać do 6 proc. PKB. Co zyskali pacjenci i jakie są największe oczekiwania na rok 2019?

Niestety, nie udało się widocznie zmniejszyć tego, co najbardziej doskwiera pacjentom, czyli kolejek do specjalistów, na badania i na zabiegi. Co prawda w pewnym stopniu skrócił się czas oczekiwania na operacje zaćmy i endoprotezowania, jednak nie jest to taka zmiana, jakiej byśmy oczekiwali.

PACJENT „ZAOPIEKOWANY”

W 2018 r. dużo mówiło się o koordynacji leczenia, czyli stworzeniu systemu, dzięki któremu pacjent będzie prowadzony w czasie choroby przez lekarza pierwszego kontaktu lub koordynatora leczenia. Najlepiej udaje się to w kardiologii (pisaaliśmy na ten temat w „Do Rzeczy” 4/2019). Koordynowana opieka ma się rozwijać

także w onkologii. W dwóch województwach (dolnośląskim i świętokrzyskim) właśnie rusza pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej, której celem jest to, żeby pacjent, niezależnie od tego, czy mieszka w dużym mieście czy mniejszej miejscowości, był równie skutecznie leczony. Po diagnozie nowotworu nie będzie już musiał sam szukać ośrodka onkologicznego i terapii, tylko ma być „prowadzony” przez koordynatora, który podpowie mu kolejne ścieżki leczenia. Jeszcze w 2019 r. do pilotażu mają zostać dołączone co najmniej dwa kolejne województwa.

Na wprowadzenie opieki koordynowanej, kompleksowej czekają też w 2019 r. inni pacjenci, zwłaszcza z chorobami przewlekłymi, takimi jak cukrzyca i choroby zapalne jelit.

Każdego roku pojawiają się setki nowych terapii, zmieniających życie chorych. Są drogie, a pieniądze przeznaczane w Polsce na ochronę zdrowia wciąż znacznie mniejsze niż w innych krajach Europy, dlatego pacjenci często długo czekają na możliwość stosowania innowacyjnych sposobów leczenia.

NOWE LEKI

Rok 2018 okazał się pod tym względem dobry szczególnie dla chorych na raka płuca. Kolejne listy refundacyjne przynosiły nowe terapie w programie leczenia rozlanego niedrobnokomórkowego raka płuca. – Gdy dziś patrzę na możliwości terapii, muszę powiedzieć, że mamy już prawie wszystko, co powinniśmy w Polsce mieć. To oczywiście nie znaczy, że za kilka miesięcy nie staniemy w obliczu konieczności rozszerzenia listy leków, gdyż wiedza się zmienia – mówił pod koniec grudnia prof. Maciej Krzakowski, krajowy konsultant w dziedzinie onkologii klinicznej. Nowe terapie zyskali też m.in. chorzy na raka nerki, chłoniaka Hodgkina, oporną na leczenie przewlekłą białaczkę limfocytową, stwardnienie rozsiane, idiopatyczne włóknienie płuc. Rok 2018

był też dobry dla wcześniaków: obecnie już wszystkie dzieci urodzone przed 37. tygodniem ciąży, a także z wrodzonymi wadami serca, otrzymują profilaktycznie przeciwciała chroniące je przed groźnym dla nich wirusem RS.

Ogromnym sukcesem było też wprowadzenie od stycznia tego roku na listy refundacyjne pierwszego i jedyne leku dla chorych na SMA: rdzeniowy zanik mięśni.

– To przełomowa decyzja – tak skomentowała prof. Anna Kostera-Pruszyk informację o tym, że w Polsce będą mogli być leczeni wszyscy (czyli ok. 700–800 osób), niezależnie od wieku i stopnia rozwoju choroby.

SMA powoduje zanik po kolei wszystkich mięśni, a zachorowanie w pierwszych miesiącach życia sprawia, że dziecko nigdy nie zacznie chodzić i siedzieć, bardzo szybko zacznie być żywione dojelitowo i zależne od respiratora.

– Rodzice zdrowego niemowlęcia każdego dnia wypatrują postępów, jakie robi ich dziecko, my każdego dnia wstajemy, lękając się, jakie umiejętności nasze dziecko dziś straci – mówili miesiąc wcześniej rodzice chorych dzieci. Wtedy jeszcze nikt takiej decyzji Ministerstwa Zdrowia się nie spodziewał, bo lek na tę chorobę jest jednym z najdroższych na świecie. Polscy rodzice szukali po całej Europie możliwości leczenia, wielu z nich decydowało się na emigra-

cję. Kacper Ruciński, prezes Fundacji SMA, po usłyszeniu decyzji o refundacji nie krył radości. – Co roku umierało w Polsce 30–40 osób. To przechodzi do historii – mówił.

ŁYŻKA DZIECCIU

Cieszy, że nowe leki wchodzą na listy refundacyjne, niestety, większość w tzw. programach lekowych, w ramach których z terapii mogą korzystać tylko chorzy spełniający określone kryteria. Przykład: lek w opornej przewlekłej białaczce limfoblastycznej dostaną tylko chorzy, którzy mają określone zmiany genetyczne. – Pozostaje grupa chorych bez tych zmian, którzy również mogliby skorzystać na leczeniu – mówi prof. Ewa Lech-Marańda, konsultant krajowa w dziedzinie hematologii.

Wiele nowych terapii wciąż czeka na refundację, np. w cukrzycy typu 2 – ich zastosowanie mogłoby spowodować opóźnienie konieczności sięgnięcia po insulinę. Ogromny postęp dokonuje się w onkologii, jednak w Polsce nie ma np. możliwości leczenia zaawansowanego raka jelita grubego w trzeciej i czwartej linii.

W listopadzie na listach refundacyjnych pojawił się jeden z nowoczesnych leków w szpiczaku plazmocytowym, jednak w kolejce czekają dwa następne, o innych mechanizmach działania. Brakuje nowoczesnych terapii opornej na leczenie przewlekłej białaczki szpi-

kowej, terapii ratującej życie w ostrej białaczce limfoblastycznej. Choroba przebiega błyskawicznie, czekanie na lek oznacza zgon. Często chorują 20-latkowie, u progu życia.

Szansą na 2019 r. jest to, że według zapowiedzi ministra Łukasza Szumowskiego pieniędzy na ochronę zdrowia będzie więcej. Drugą szansą jest zapis w „Polityce lekowej państwa” – pierwszym strategicznym dokumencie na ten temat przyjętym przez rząd – że na refundację leków musi zostać przeznaczona co najmniej 16,5 proc. budżetu NFZ. – Do tej pory był zapis „do 17 proc.”, czyli mogło to być tylko 13 proc., jeśli NFZ miałby inne potrzeby. Szacujemy, że dzięki temu zapisowi już w 2019 r. będziemy mieć o kilkaset milionów złotych więcej na refundację – mówił twórca dokumentu, odpowiedzialny wówczas za politykę lekową wiceminister Marcin Czech.

Ministerstwo zapowiada też, że coraz częściej będzie chciało wykorzystywać formę „płacenia za efekty leczenia”, czyli wtedy, gdy terapia okaże się rzeczywiście skuteczna. Mają być tworzone nowoczesne rejestry medyczne, dzięki którym będzie można się przekonać, które terapie działają i warto je stosować, a które nie. Dzięki temu jest szansa, że będziemy mieć nie tylko więcej refundowanych leków, lecz także będziemy nimi skuteczniej leczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

SŁAWOMIR GADOMSKI wiceminister zdrowia

Oprócz pilotażu sieci onkologicznej chcemy, by w 2019 r. zaczęły funkcjonować Breast Cancer Units, czyli ośrodki kompleksowego leczenia raka piersi, w których pacjentki będą otoczone kompleksową opieką: od diagnostyki do leczenia i rehabilitacji. Kolejno mają powstać kompleksowe ośrodki zajmujące się leczeniem raka płuca, raka jelita grubego, raka prostaty. Chcemy też poprawić diagnostykę nowotworów poprzez akredytację ośrodków wykonujących badania patomorfologiczne, które są podstawą skutecznego

leczenia. Stawiamy również na profilaktykę.

JAN SALAMONIK
wiceprezes Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych
Oczekiwanie środowiska nie spełnił ratunkowy dostęp do technologii lekowych. Procedura ma wiele słabości, czas oczekiwania na decyzję „ratunkową” jest zbyt długi, szpitale nie występują z wnioskiem do Ministerstwa Zdrowia z obawy przed problemami z rozliczeniami z NFZ. Bardzo doskwiera brak polskiej listy badań klinicznych dających pacjentom szansę na nowoczesne terapie. Mniej nadzieję,

że 2019 r. przyniesie wiele pozytywnych zmian.

prof. WIESŁAW JĘDRZEJCZAK
wieloletni konsultant krajowy w dziedzinie hematologii
Priorytetem na rok 2019: aby wreszcie dostrzeżono chorych, u których nowotwór współistnieje z innymi chorobami, ludzi, których trzeba leczyć kompleksowo, a nie tylko onkologicznie. Poza tym, aby jak największa część postępu dokonującego się na świecie była również dostępna dla polskich chorych.

prof. ADAM MACIEJCZYK
prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego

Do Sejmu trafił prezydencki projekt ustawy, który nakłada na polski rząd obowiązek opracowania Narodowej Strategii Onkologicznej. To duży i ważny krok dla polskiej onkologii. Strategia ma obejmować znacznie szersze obszary walki z rakiem, nie tylko dotyczące leczenia, lecz także związane z rozwojem kadr medycznych, kształceniem, badaniami, nauką, edukacją społeczną. Niezależnie od wszystkich wdrożonych i planowanych zmian mam nadzieję, że zostaną na nie zabezpieczone odpowiednie środki finansowe. Nie uda się osiągnąć postępu w polskiej onkologii bez poprawy wyce-ny świadczeń onkologicznych.

To się opłaca



Katarzyna Pinkosz

W leczeniu nowotworów hematologicznych dokonał się ogromny postęp. Dzięki temu coraz częściej stają się chorobami przewlekłymi

Nowotworom krwi nie można zapobiec, pojawiają się niezależnie od tego, co jemy, czy jesteśmy aktywni fizycznie, czy palimy papierosy. Choroba od początku jest uogólniona, komórki nowotworowe krążą we krwi, są w całym organizmie. A jednak to właśnie w le-

zaprześcić leczenia. To jednak wyjątkowy nowotwór, gdyż wywołuje go jedna główna zmiana genetyczna. Inne choroby onkohematologiczne, takie jak ostra białaczka szpikowa czy szpiczak plazmocytowy, są spowodowane co najmniej przez kilka nakładających się zmian genetycznych. – W szpiczaku zmienność genetyczna jest najczęstsza spośród wszystkich nowotworów, dlatego stale pojawia się oporność na wcześniejsze linie leczenia. Chorym potrzebny jest więc dostęp do wielu terapii, które mają różne mechanizmy działania – przekonuje prof. Giannopoulos.

Dziesięć lat temu, kiedy nowoczesne leki w tej chorobie dopiero zaczynały się pojawiać, średnia długość życia pacjenta po diagnozie wynosiła 3,5 roku. Dzisiaj jest to już 7–10 lat, a w Stanach i krajach zachodniej

terapia to karfilzomib – nowoczesny lek polecany szczególnie pacjentom kwalifikującym się do przeszczepienia szpiku. – Te terapie mogą uratować życie kilkuset chorym rocznie, dla których nie ma obecnie dostępnych innych opcji terapeutycznych – ocenia dr n. med. Jakub Gierczyński, MBA, ekspert systemu ochrony zdrowia.

Ich zastosowanie może wydłużyć życie o miesiące, a nawet lata. Te efekty są dużo większe niż w przypadku wielu terapii w onkologii.

CENA ŻYCIA

– Kiedyś mieliśmy tańsze leki, ale o ograniczonej skuteczności. Teraz wiele nowych terapii kontroluje chorobę, nie wraca ona przez miesiące, a nawet lata, trzeba jednak stosować nowoczesne leki przewlekłe i są one droższe. To wyzwanie dla systemu ochrony zdrowia – przyznaje prof. Giannopoulos.

czeniu nowotworów krwi widać w ostatnich latach ogromny postęp.

LEKI UKIERUNKOWANE

Pojawiają się coraz lepsze terapie – już nie klasyczna chemioterapia, tylko coraz częściej leki celowane, nakierowane na komórki nowotworowe albo tak zmieniające układ immunologiczny, by skutecznie podjął walkę z nowotworem. – hematooonkologia bardzo się zmienia, leczenie jest dużo bardziej efektywne, powoduje przedłużenie życia często o wiele lat. Choroby stają się przewlekłe, można z nimi żyć wiele lat – potwierdza prof. Krzysztof Giannopoulos, kierujący Oddziałem Hematologicznym Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej.

Bywa, że zastosowanie nowoczesnych leków wręcz powoduje, że choroba nie powraca. Tak jest u części pacjentów z przewlekłą białaczką szpikową, u których efekty są tak spektakularne, że można

Europej nawet 10–15 lat. – Sześć nowych leków zostało zarejestrowanych w latach 2014–2016, każdy z nich daje dodatkową wartość w postaci wielu miesięcy życia, co przekłada się na kolejne lata. Tylko jeden jest dostępny w Polsce, pozostałe nie, liczę, że to się zmieni. Dwa są już zaawansowane w procesie refundacyjnym – dodaje prof. Giannopoulos.

Jednym z nich jest daratumumab, który działa na dwa sposoby: łączy się z cząsteczką CD 38 występującą na powierzchni komórek szpiczaka, co prowadzi do ich zniszczenia, oraz zmienia układ odpornościowy, by skuteczniej walczył z nowotworem. Najprawdopodobniej właśnie to podwójne działanie jest kluczem do sukcesu. Schematy z tym lekiem zostały zarejestrowane jako przełomowe w leczeniu nawrotowego i opornego szpiczaka; lek refundują już 22 kraje UE i EFTA, w tym Rumunia, Węgry, Czechy, Słowacja. Druga

Na drugiej szali wagi jest to, że chorzy żyją, pracują, są aktywni, płacą podatki. Farmakoekonomiści zwracają uwagę na to, że choroba też kosztuje. – Szpiczak dotyka coraz więcej chorych w wieku produkcyjnym, trzeba patrzeć na jego leczenie jako inwestycję w przedłużanie życia chorego, również w aspekcie utrzymania jego produktywności. Według obliczeń Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego nowotwory krwi generowały w 2016 r. ok. 600 mln zł kosztów pośrednich. Części z nich można uniknąć dzięki poprawie dostępu do terapii o udowodnionej skuteczności – dodaje dr Gierczyński. – Pamiętajmy, że płacimy za bezcenną rzecz, czyli życie – przypomina prof. Giannopoulos.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FUNDACJA ONKOLOGICZNA ALIVA

Spójrzcie nam w oczy



Katarzyna Pinkosz

Przez kilka dni w hali głównej Dworca Centralnego w Warszawie można było zobaczyć niezwykłą wystawę zdjęć. 30-, 40-, 50-latkowie prosili, by popatrzeć im w oczy. Chcą żyć

Podróżni zatrzymywali się, wielu nie kryło wzruszenia. Trudno je ukryć, gdy spojrzeć na zdjęcia i przeczytać zwierzenia osób, które miały pecha: zachorowały na raka jelita grubego, a choroba została u nich wykryta w stadium zaawansowanym albo szybko taka się stała.

Agnieszka Lasota, 47 lat, choruje od dwóch lat. Zawodowo projektuje wystawy i to jest jej pasja. Najważniejsze są jednak dla niej córki: 18 i 11 lat. Chemioterapia, którą do tej pory stosowała, powoli przestaje pomagać. – Muszę koniecznie się leczyć – mówi o sobie.

Piotr Kowaliczek ma 36 lat. Diagnozę usłyszał kilka miesięcy temu. – W lipcu zeszłego roku miałem operację usunięcia zmian nowotworowych w jelicie grubym. Pojawiły się przerzuty na wątrobę. Choroba postępuje, a ja mam przecież jeszcze życie przed sobą. Pracuję, jestem szefem działu badań i rozwoju w firmie projektującej nowoczesne budynki – opowiada.

WCZEŚNIE BADAĆ...

Co roku 19 tys. osób w Polsce słyszy diagnozę: rak jelita grubego. Jesteśmy

krajem o jednym z najwyższych wskaźników zachorowań w Europie. Niestety, wskaźnik pięcioletnich przeżyć jest u nas o ponad 10 proc. niższy od średniej europejskiej. Codziennie 33 osoby w Polsce u mierają z powodu tego nowotworu.

Nie musi tak być: przekonuje prof. Marek Wojtukiewicz, kierownik Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i ordynator Oddziału Onkologii Klinicznej z Pododdziałem Chemioterapii Dzieennej Białostockiego Centrum Onkologii. Zaleca, żeby każda osoba po 50. roku życia wykonała kolonoskopię. Każda, czyli niemająca żadnych niepokojących objawów. Badanie jest niezbędne, jeśli na raka jelita grubego chorował ktoś w rodzinie, a także wtedy, gdy pojawiają się: krew w stolcu, zmiana rytmu wypróżnień, biegunki lub zaparcia, bóle brzucha, brak łaknienia, wzdęcia, spadek masy ciała, niedokrwistość.

LECZYĆ SKUTECZNIE

Gdy choroba zostanie wykryta, ważne jest skuteczne leczenie. Zwykle na początku jest to operacja chirurgiczna – powinna

być wykonana przez lekarza, który ma duże doświadczenie w wykonywaniu operacji na jelicie grubym. Gdy nowotwór jest zaawansowany, z przerzutami, niezbędna jest także chemioterapia. Choroby w stadium rozsiania nie da się całkowicie wyleczyć, jednak można nawet przez wiele lat powstrzymać jej rozwój dzięki stosowaniu kolejnych linii terapii.

Niestety, w Polsce chorzy mają możliwość efektywnego leczenia z wykorzystaniem szerokiego wachlarza leków, w tym tzw. terapiami spersonalizowanymi, tylko w pierwszej i drugiej linii (czyli maksymalnie po pierwszym nawrocie). Gdy rak wraca po raz drugi, lekarze nie mogą zaproponować nowych leków, mogą jedynie zastosować preparaty już wcześniej stosowane, co nie powstrzyma rozwoju choroby. Tymczasem są to często osoby 30-, 40-, 50-latkowie, czasem starsze, ale w dobrym stanie ogólnym. – Powinniśmy móc zaproponować im leki o innym mechanizmie działania. Wytyczne europejskich i światowych towarzystw naukowych, w tym Europejskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej (ESMO), zalecają stosowanie w trzeciej i czwartej linii leczenia preparatu zawierającego dwie substancje: triflurydynę i tipiracyl. Lek wbudowuje się do DNA nowotworu, nie rośnie on wówczas tak dynamicznie, jakby to wynikało z jego biologii. Lek ten hamuje wzrost guza i opóźnia progresję choroby – tłumaczy prof. Wojtukiewicz.

Chorzy w Polsce z tych leków mogą korzystać tylko wtedy, gdy kupią je sami. – Państwo polskie odrzuca chorych potrzebujących leczenia w trzeciej i czwartej linii. To tak, jakby osoby decydujące o tym, jakie leki będą dostępne, uważały, że mnie już prawie nie ma, leżę i czekam na śmierć. A przecież jestem i żyję prawie normalnie: pracuję, odrabiam z córką lekcje, planuję jutrzejszy obiad. Bolesne i upokarzające jest to, że gdybym żyła niemal w każdym innym kraju Europy, to od kilku miesięcy byłabym właściwie leczona – mówi Agnieszka Lasota.

Profesor Wojtukiewicz przekonuje, że leki przeznaczone do stosowania w trzeciej i czwartej linii leczenia są dobrze tolerowane przez chorych, wydłużają czas przeżycia całkowitego i przeżycia bez progresji choroby. Nie mają też silnych działań ubocznych.

Agnieszka Lasota: – Chciałbym patrzeć, jak dorastają moje dzieci, chcę być z nimi jak najdłużej. Spójrzcie nam w oczy...



Z dr. n. med. Pawłem Balsamem,
kardiologiem

rozmawia Katarzyna Pinkosz

FOT. ANDRZEJ STUCK

Serce potrzebuje aktywności

KATARZYNA PINKOSZ: Sprawdzamy się w ekstremalnych sytuacjach: polski system leczenia ostrych zawałów serca jest ceniony na całym świecie. A co z mniej medialną chorobą, jaką jest niewydolność serca?

DR N. MED. PAWEŁ BALSAM: Jeśli chodzi o leczenie zawałów serca, to rzeczywiście radzimy sobie z tym bardzo dobrze. Śmiertelność w pierwszych 30 dniach po zawale wynosi nie więcej niż 5 proc. – nie odbiegamy od norm europejskich. Za to później mamy problem z opieką nad pacjentami. Serce po zawale często jest uszkodzone, rozwija się jego niewydolność. Pacjent wymaga leczenia, farmakoterapii, a niekiedy wszczepienia urządzeń

poprawiających pracę serca. Od ubiegłego roku funkcjonuje w Polsce program KOS-Zawał, koordynowanej opieki nad pacjentami po zawale serca. Objęta jest nim jednak tylko część pacjentów, większość nadal ma niedoskonałą opiekę. Wizyty u kardiologa odbywają się rzadziej niż raz w roku, dawki leków nie są dostosowane do chorych, często też nie otrzymują oni nowoczesnej i skutecznej terapii, która zmniejsza ryzyko hospitalizacji, wydłuża życie, poprawia jego jakość.

Skąd bierze się ta choroba?

Najczęściej przyczyną jest choroba niedokrwienna serca, zawał lub tzw. ci-

chy zabójca, czyli nadciśnienie tętnicze. Innymi przyczynami są wady zastawkowe serca, arytmie. O niewydolności serca rzadko się mówi, a zbiera ona większe żniwo niż wiele chorób onkologicznych. Śmiertelność jest większa niż w raku piersi, jelita grubego czy raku płuca.

Jak rozpoznać niewydolność serca?

Głównie po objawach. Najważniejsze to zwiększona męczliwość, spadek tolerancji wysiłku, duszność. Do tej pory np. wchodziliśmy na czwarte piętro bez zatrzymywania się, a teraz musimy zatrzymywać się na półpiętrach, bo jest

nam duszno. Kiedyś spacerowaliśmy kilometr bez zatrzymywania, a teraz musimy usiąść po 100 metrach, bo nie możemy złapać oddechu. Innym objawem są obrzęki kostek, zwłaszcza pod koniec dnia – pacjent nie może założyć butów, kostki są tak obrzęknięte.

Postawienie diagnozy bywa trudne, gdy chory ma podejrzenie astmy, obturacyjnej choroby płuc. Wtedy często zastanawiamy się, czy przyczyną duszności jest choroba płuc czy serca. Często obydwie się nakładają.

Można ją leczyć tak, by nie skracala życia?

Są cztery grupy leków, które poprawiają jakość życia i je wydłużają. Pierwsza grupa to tzw. inhibitory enzymu konwertującego angiotensynę, czyli leki, które wpływają na układ hormonalny. Druga to beta-adrenolityki, które nieco zwalniają czynność serca. Trzecia to antagoniści aldosteronu. Od 2016 r. mamy też lek, który można stosować zamiast tej pierwszej grupy, składający się z dwóch substancji: sakubitrylu i walsartanu. Z badań klinicznych wynika, że o 16 proc. zmniejsza on ryzyko zgonu z jakiegokolwiek przyczyny, a o 20 proc. – ryzyko zgonu z przyczyn sercowo-naczyniowych. To dziś powinien być „złoty standard” terapii pacjenta z niewydolnością serca po zawale, z uszkodzonym sercem. Proszę zwrócić uwagę, że mówimy o chorym, który często ma 40, 50, 60 lat, był sprawny, nagle dostał zawału, wrócił ze szpitala i czuje, że robi mu się duszno, gdy wchodzi na półpiętro. Dla takiego pacjenta nie jest nawet najważniejsze to, że wdrożenie tej terapii wydłuży mu życie o dwa czy cztery lata...

... tylko to, że będzie mógł normalnie funkcjonować?

Tak. Oczywiście chodzi też o to, by żył dłużej, jednak dla niego liczy się teraz przede wszystkim to, żeby wrócić do normalnego funkcjonowania dzięki nowoczesnej terapii niewydolności serca.

Na dziś jesteśmy jednym z trzech krajów w Europie, w którym ta najnowsza terapia nie jest refundowana. Dwukrotnie pisałem w tej sprawie listy do ministerstwa, gdy były ogłaszane listy refundacyjne, z informacją, że sam prowadzę ponad 20 pacjentów na tym nowym leku. Bardzo dobrze tolerują leczenie, widać u nich znaczącą poprawę,

niestety wydają ok. 600 zł miesięcznie na terapię. Często składają się na to całe rodziny.

Którym pacjentom ta terapia szczególnie by pomogła?

To przede wszystkim lek dla pacjentów, którzy mają niewydolność serca ze zmniejszoną frakcją wyrzutową, to znaczy: serce jest niewydolne i kurczy się gorzej. To zwykle chorzy po zawale albo z kardiomiopatią, czyli nieprawidłową pracą serca. Gdyby wziąć pod uwagę wytyczne Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego, to w Polsce byłoby ok. 25 tys. pacjentów, którzy powinni otrzymać ten lek. Zdecydowanie wydłużyłoby to ich życie. Co więcej, mamy ekspertyzy z wielu krajów europejskich, że włączenie tej terapii i jej finansowanie spowodowałoby, iż koszty opieki nad pacjentami spadną. Pacjenci byłiby rzadziej w szpitalu, a każdy pobyt w nim z powodu zaostrzenia niewydolności serca to koszt kilkunastu tysięcy złotych. Można temu zapobiec. Stosowanie nowoczesnej terapii w dłuższej perspektywie powoduje obniżenie kosztów.

Pacjent, który ma problemy z wydolnością serca, często ogranicza aktywność fizyczną, by nie mieć duszności. Dobrze robi?

Nie, ale oczywiście jego choroba musi być ustalizowana. Aktywność fizyczna jest ważna. „Hartuje” serce, ono zaczyna się do tego przyzwyczajać, wzrasta jego wydolność.

Tylko 50 proc. chorych na niewydolność serca przeżywa pięć lat. 92 proc. wydatków NFZ na leczenie niewydolności serca stanowią koszty hospitalizacji (Raport: „Ocena kosztów niewydolności serca w Polsce z perspektywy gospodarki państwa”).

Patrząc na niewydolność serca, ale też na całą kardiologię w Polsce – jak widziałby pan największe sukcesy w 2018 r. i wyzwania w 2019 r.?

Za sukces 2018 r. uznałbym przeszczepy doc. Michała Zembali w Śląskim Centrum Chorób Serca – w ciągu roku wykonał ponad 100 przeszczepów płuc i serca. To ogromny sukces polskiej medycyny. Wyzwaniem na 2019 r. jest stworzenie kompleksowej opieki nad chorymi po zawale serca i z niewydolnością serca. Ważne jest to, żeby pacjenci z przewlekłą chorobą kardiologiczną mieli stały kontakt ze specjalistą. Wtedy będą rzadziej w szpitalu. Mam też nadzieję, że pojawi się możliwość stosowania nowoczesnej farmakoterapii w niewydolności serca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr n. med. Paweł Balsam

– kardiolog, I Katedra i Klinika Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.



Beata Ambroziewicz, Koalicja „Serce dla Kardiologii”

Niewydolność serca to jedna z najcięższych chorób sercowo-naczyniowych. Co roku jest 60 tys. nowych zachorowań, a niedługo ta liczba może wzrosnąć nawet do 100 tys., dlatego choroba jest nazywana „epidemią XXI w.”. Najciężej sytuację odczuwają pacjenci i ich rodziny. Pacjent po incydencie sercowo-naczyniowym, po wyjściu ze szpitala, często jest pozbawiony dalszej opieki, a powinien w ciągu miesiąca mieć ustalone docelowe leczenie. Wkrótce rusza pilotaż opieki koordynowanej nad pacjentami, na pewno to dobre rozwiązanie, jednak potrzeba co najmniej dwóch lat, kiedy zostanie ono przetestowane i wdrożone w całym kraju.

W Polsce brakuje współpracy lekarzy różnych specjalności, a ta choroba wymaga multidyscyplinarnego podejścia. Kolejna rzecz: bardzo mała dostępność do rehabilitacji po zawale oraz brak nowoczesnego, skutecznego leczenia, które pozwala zatrzymać lub spowolnić postęp choroby i uniknąć niekończących się hospitalizacji i znacznego pogorszenia wydolności serca. Brak kompleksowej opieki sprawia, że większość chorych musi zrezygnować z pracy zawodowej i innych aktywności, jakość życia staje się bardzo niska. W ramach działań podejmowanych w Koalicji „Serce dla Kardiologii” edukujemy pacjentów i ich rodziny, uczymy, jak utrzymać aktywność pomimo choroby, jak monitorować jej przebieg i gdzie uzyskać fachową pomoc.

KATARZYNA PINKOSZ: Często o chorych na szpiczaka myślimy, że to osoby starsze. Tymczasem wiele osób zachorowało, mając 40 lat, a nawet mniej.

DOMINIK DYTFFELD: To prawda, że średni wiek zachorowania na szpiczaka to blisko 70 lat. Natomiast nie należy patrzeć na tę chorobę jako chorobę ludzi starszych i niedołężnych. Po pierwsze, w obecnych czasach 70-latek to często wcale nie jest „stary człowiek” – wiele osób w tym wieku jest aktywnych i czuje się dobrze. Po drugie, choroba dotyka też młodych ludzi, aktywnych, w kwiecie wieku. Jeden z moich pacjentów w momencie rozpoznania szpiczaka miał 31 lat. Podczas swojego wesela podnosił żonę, doszło do złamania kręgosłupa i powikłań neurologicznych. W szpitalu usłyszał diagnozę: szpiczak plazmocytowy. Dzisiaj ma 33 lata, choroba została u niego opanowana, wrócił do pracy, ma ujemną minimalną chorobę resztkową, wszystko jest super. To przede wszystkim zasługa nowych leków. Inny mój pacjent ma 36 lat, normalnie pracuje, jest aktywny, założył rodzinę, urodziło mu się dziecko. Jak widać, ta choroba w dużym odsetku dotyka osób młodych, którym nowoczesne leczenie zwyczajnie się należy, umożliwia normalne funkcjonowanie społeczne, zawodowe, rodzinne.

Pierwszy z tych pacjentów ma ujemną minimalną chorobę resztkową. Czy to znaczy, że szpiczak został u niego wyleczony?

Ten pacjent był leczony bardzo nowocześnie. W pierwszej linii otrzymał standardową terapię, którą są leczeni pacjenci w Polsce, potem bardzo szybko miał przeszczep szpiku. Następnie udało mu się dostać do badania klinicznego, które prowadzi Polskie Konsorcjum Szpiczakowe, w którym po przeszczepieniu szpiku stosujemy leki przeciwszpiczakowe (to nie jest normalna procedura). Ten pacjent był leczony karflizomibem, który w Polsce jeszcze nie jest refundowany, i lenalidomidem. Po kilku miesiącach terapii oceniliśmy minimalną chorobę resztkową – to bardzo dokładne badanie, nie jest jeszcze standardem w Polsce – i okazała się ujemna. Faktycznie on ma w tej chwili chorobę niewykrywalną: to znaczy nie ma w jego szpiku nawet jednej komórki szpiczakowej na milion. Przeszedł na leczenie podtrzymujące, mniej intensywne. Niestety, nie możemy jeszcze mówić o całkowitym wyleczeniu. Szpiczak jest chorobą, która powraca.



Z dr. hab. Dominikiem Dytfeldem, hematologiem

rozmawia Katarzyna Pinkosz



Układanka z leków

Wielu nowotworom można zapobiec, prowadząc zdrowy tryb życia; szpiczakowi – nie. Co takiego dzieje się w organizmie, że rozwija się ta choroba?

Na skutek czynnika, którego nie znamy, dochodzi do pobudzenia jednego klonu plazmocyto- [komórki powstałe w wyniku pobudzenia limfocytów B, zdolne do produkcji przeciwciał – przyp. red.], które zaczynają się w niekontrolowany sposób namnażać. Wypierają one ze szpiku prawidłowe komórki, powodując niedokrwistość i stopniowe niszczenie kości. Produkowane w nadmiarze białko

monoklonalne zaczyna odkładać się w organizmie, prowadząc do uszkodzenia nerek, serca. Objawy są nietypowe: niedokrwistość, uszkodzenia kości, złamania, uszkodzenie nerek, serca.

Nowoczesne leki bardzo zmieniły sytuację chorych. Rok 2018 był dobry dla chorych na szpiczaka w Polsce?

Na refundację w szpiczaku czekało sześć nowoczesnych leków biologicznych. Pacjenci uzyskali dostęp do jednego z nich – pomalidomidu. To dobra informacja dla części chorych. Szpiczak



FOT. ADAM STUCK

żyli się do standardu zalecanego przez międzynarodowe towarzystwa naukowe. Dwa nowoczesne leki są bardzo zaawansowane w procesie refundacyjnym w Polsce i na nie niecierpliwie czekamy.

Czym te nowe leki różnią się od tych, do których polscy pacjenci mają już dostęp?

Pierwszy z tych leków to karfilzomib – nowy inhibitor proteasomu. U pacjentów, u których pierwsza linia leczenia z użyciem inhibitora proteasomu pierwszej generacji, czyli bortezomibu, nie zadziałała, można zaproponować karfilzomib z lenalidomidem, czyli lekiem modulującym. To bardzo nowoczesna terapia, zależy nam na tym, by pacjenta doprowadzić do takiego stanu, żeby był możliwy przeszczep autologiczny szpiku. Bardzo ważne jest

7

tys. osób

W POLSCE CHOROJE NA SZPICZAKA. CO ROKU JEST OK. 1,6 TYS. NOWYCH ZACHOROWAŃ

jest jednak chorobą niejednorodną, a w dodatku zmienną. Każdy lek stosowany u pacjenta czy każda kombinacja lekowa wcześniej czy później przestanie działać, bo komórki szpiczakowe na niego się uodpornią. Dlatego im więcej możliwości stosowania różnych leków, tym pacjent będzie dłużej żył. To dobrze, że pomalidomid uzyskał refundację, jednak nie możemy go podać każdemu pacjentowi, a poza tym przestanie on po pewnym czasie działać. Dlatego nie można ogłosić spektakularnego sukcesu w 2018 r. Mam jednak nadzieję, że to był początek zmian.

Na co oczekivaliby pan w 2019 r.?

Mój przyjaciel i szef, prof. Andrzej Jakubowiak, który pracuje w University of Chicago i jest bardzo doświadczonym hematologiem zajmującym się szpiczakiem plazmocytowym, ma możliwość zastosowania wszystkich nowych leków, o których my czytamy lub do których mamy pewien ograniczony dostęp w badaniach klinicznych. On może dobrać leki do pacjenta. Jestem świadomy, że leki są drogie, że nie będę miał takiego komfortu jak hematolog pracujący w Stanach, ale chciałbym, żebyśmy chociaż trochę zbli-

żyli się do standardu zalecanego przez międzynarodowe towarzystwa naukowe. Dwa nowoczesne leki są bardzo zaawansowane w procesie refundacyjnym w Polsce i na nie niecierpliwie czekamy.

Przeszczepienie szpiku daje szansę na długi okres bez choroby?

Tak, przeszczep pozwala na opanowanie choroby na okres dwóch-czterech lat. Staramy się do niego doprowadzić u każdego chorego, u którego można bezpiecznie przeszczepić szpik. Dodatkowo w dużych badaniach klinicznych – Endeavor oraz Aspire – udowodniono, że stosowanie karfilzomibu w różnych kombinacjach powoduje nie tylko wydłużenie czasu wolnego od choroby, lecz także wydłużenie życia w stosunku do stosowania standardowych terapii. Trudno sobie wyobrazić lepszy wynik końcowy badania klinicznego.

Drugim lekiem, na który bardzo czekamy w procesie refundacyjnym, jest daratumumab. To również nowoczesna terapia, lek z innej grupy, przeciwciało monoklonalne, bardzo inteligentny lek biologiczny, który zabija tylko komórki szpiczakowe albo pomaga zabijać komórkę innym lekiem przeciwszpiczakowym. To też lek, na który bardzo czekamy. Szpi-

czak jest chorobą niejednorodną, wieloliniową, stosuje się nie jedną linię leczenia czy dwie, tak jak w większości nowotworów, ale nawet pięć, sześć, siedem linii terapii. I nie jest to leczenie paliatywne. Chorzy normalnie funkcjonują.

Wydaje się, że przy piątej, szóstej linii leczenia chorzy nie mają siły wstać...

Nie. Szpiczak jest chorobą inną niż wszystkie. Pacjent, który otrzymuje piątą, szóstą czy siódmą linię leczenia, to niekoniecznie ktoś, kto leży w łóżku i cierpi, tylko często normalnie funkcjonuje, pracuje, a jeśli nie, to prowadzi aktywne życie społeczne – jest mężem, ojcem, dziadkiem, spotyka się z przyjaciółmi, jeździ na wakacje, na narty.

W szpiczaku potrzebujemy wielu leków, wielu linii. Jest to swego rodzaju układanka. Im więcej leków, tym lepiej. W różnych momentach życia pacjent będzie potrzebował innego leku. Dlatego często powtarzamy, żeby nie traktować sprawy refundacji leków na szpiczaka jako zamkniętej. Potrzebujemy leków, żeby trzymać pacjentów w dobrej formie, w dobrej aktywności. Szpiczaka na razie nie potrafimy wyleczyć, jednak gdy chory ma 65 lat w momencie rozpoznania, różnymi terapiami jesteśmy w stanie dać mu 10, może 15 lat życia. To nie jest pesymistyczne rozwiązanie.

A co z szansami młodszych pacjentów, często trzydziestokilkuletnich?

Postęp w leczeniu szpiczaka jest spektakularny. W Stanach mówi się, że pacjenci ze świeżo rozpoznany szpiczakiem będą żyć nawet 20 lat. Ten czas, który my teraz „kupujemy” dla chorego, daje szansę na rozwój jeszcze nowszych terapii. Uczymy się coraz bardziej tej choroby, mamy coraz nowsze technologie medyczne. Mam nadzieję, że będzie ich coraz więcej, że będziemy stosować je na wcześniejszych liniach, pojawią się nowe. Jestem przekonany, że będzie możliwe wyleczenie szpiczaka. Postęp jest ogromny, oby tylko polscy pacjenci mogli z niego korzystać. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Dominik Dytfeld – jest hematologiem, prezesem Polskiego Konsorjum Szpiczakowego, pracuje w Katedrze i Klinice Hematologii i Transplantacji Szpiku w Poznaniu.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Reytan niezłomny

Tadeusz Reytan herbu własnego był pierwszym polskim opozycjonistą wykorzystującym bierny opór i głódówkę przeciwko planom rozbioru Rzeczypospolitej. Zagradzający na obrazie Jana Matejki własnym ciałem drzwi do sali sejmowej, w rzeczywistości nie działał samotnie, ale jako przywódca całej grupy posłów sprzeciwiających się rozbiorem.

Reytan razem z Samuelem Korsakiem wybrani zostali na posłów nowogródzkich na sejm 1773 r. Jak uważa Jerzy Michalski, autor jego biografii, nie wygląda na to, aby ich wybór związany był z polityką któregoś ze stronnictw. Otrzymali instrukcję, która nakazywała im domaganie się wycofania wojsk obcych mocarstw i sprzeciw wobec planów podziału Rzeczypospolitej. Tymczasem sejm okazał się miał farsą przeprowadzoną rękoma wiernych jurgielników Moskwy, Prus i Austrii po to, aby zatwierdzić i przykryć prawnie pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej.

Reytan już na początku obrad zaprotestował przeciwko oddaniu łaski marszałkowskiej Adamowi Ponińskiemu, plugawemu sprzedawcykowi. A także przeciwko zawiązaniu na sejmie konfederacji mającej zagwarantować wykonanie wszystkich zamierzeń ambasadorów ościennych mocarstw. Dowodził, że marszałkiem powinien zostać poseł z prowincji litewskiej, na którą przypadała kolej. A kiedy Poniński jednak łaskę otrzymał, Reytan chwycił drugą – przygotowaną dla marszałka konfederacji litewskiej, po czym usiadł na taborecie, oświadczając, że wobec tego może być takim samym marszałkiem jak wskazany. Wywołało to burzę, a sprzedawczyk musiał przełożyć sesję na dzień następny. Reytana poparli Korsak i inni posłowie litewscy, a także koronni – łączył ich. Ich działania doprowadziły do szachu sługosów



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zaborców. Podejrzewali, że stoi za nim któreś ze stronnictw albo król – żaden z zacieklej jurgielników, sprzedawczyków oraz lokajów Moskwy i Berlina nie mógł uwierzyć, że postępowanie Reytana spowodowane było patriotyzmem i nie miało na celu wymuszenia łapówki ani godności.

Ostatecznie 20 kwietnia ogłoszono konfederację i ustanowiono jej sądy, na które pozwano właśnie Reytana, nadal niedopuszczającego Ponińskiego do sprawowania funkcji. Kiedy obrady się zaczęły, sprzedawczyk był tak przestraszony, że od razu przełożył sesję sejmową, stojąc na progu sali; otrzymał też asystę wojskową rosyjsko-pruską, tak bardzo obawiał się rozwścieczonych posłów. Bohater z kolei został skazany przez sąd konfederacki jako „wzburzytel pokoju i buntownik przeciwko ojczyźnie”, Prusacy chcieli go aresztować, w czym jednak wstrzymywał ich ambasador Moskwy Otto Stackelberg. Tymczasem Reytan, Korsak i grupa ok. 30 posłów, wśród których był m.in. poseł miński Stanisław Bohuszewicz, zablokowali pracę sejmu, okupując salę sejmową i nie dopuszczając do jego zagajenia. Ostatecznie Poniński wysłał do izby posta

Marcina Lubomirskiego w celu ogłoszenia kolejnego solwowania – czyli przeniesienia sesji na inny dzień. Ponieważ było to bezprawie, Reytan i jego towarzysze usiłowali zatrzymać Lubomirskiego w sali i skłonić, aby wspólnie dokonali wyboru własnego marszałka i nie zgodzili się na powstanie konfederacji. Wówczas właśnie miała miejsce scena uwieczniona przez Matejkę – Reytan stanął w drzwiach, rozkrzyżowawszy ręce, zaklinając posłów do pozostania, wreszcie padł na ziemię, wołając, aby deptali jego ciało – Lubomirski i towarzyszący mu posłowie przechodzili więc przez ciało leżącego bohatera.

Wsali zostało 12 posłów. Okupowali sejm do wieczora, przy czym na noc zostali tylko Reytan, Korsak i Bohuszewicz w obawie, że wojska rosyjskie zamkną im salę. Próbowali przekabacić ich król, a także poseł rosyjski Stackelberg, na próżno. Co więcej – 22 kwietnia do protestujących przyłączyli się kolejni posłowie. Ich opór złamało dopiero przystąpienie króla Stanisława Augusta do konfederacji. 24 kwietnia wieczorem wyczerpani, odmawiający jedzenia, ulegli perswazji marszałka litewskiego Władysława Gurowskiego, przyjmując gwarancję od ambasadorów moskiewskiego i pruskiego, że nie będą wymierzone w nich żadne represje. Ponoć Poniński zaoferował Reytanowi 2 tys. dukatów za akces do konfederacji, w zamian za co bohater ofiarował mu 5 tys., jeśli rzeknie się godności marszałka sejmu.

Reytan został uczczony na Sejmie Wielkim, ale ostatnie lata jego życia były smutne. Podupadł psychicznie, tak że bracia musieli przetrzymywać go w rodzinnej Hruszówce, w domu o zakratowanych oknach. Zmarł w 1780 r., kalecząc się szkłem, a choć w 1930 r. szukano jego grobu, nigdy go nie odnaleziono. ©

KRUCHE CIASTKA ROBERTA WINNICKIEGO

Swoj smak określam jako chłopski. Ciepłą porą roku byłbym w stanie przeżyć na ziemniakach ze zsiadłym mlekiem oraz kanapkach z pomidorem. Oczywiście pod warunkiem że ziemniaki smaczne, niesuche i nie takie mączyste. A chleb prosty, ale świeży i dobry. Oprócz tego ogórki małosolne, które stawiam wyżej nawet od kiszonych. Mięsa nie za dużo i nie za ciężko. Cięższy kaliber w obfitszej ilości mile widziany w warunkach świąteczno-weselnych.

Natomiast kiedy przychodzi chłody, rośnie mi apetyt na rzeczy tłustsze i słodsze. Wtedy trochę smalczyku ze skwarkami i cebulką raz na jakiś czas na chlebkach albo typowo mięsne zupy – jak najbardziej. Ze słodczy: ciasta i ciastka. Ostatnio moimi faworytami są te wypiekane w domu. Bardzo smaczne, bardzo zdrowe. Można dużo zjeść i nie poczuć. Poniżej składniki na jedną porcję. Warto ją podwoić, bo naprawdę szybko się rozchodzą!

Składniki:

- 150 g masy daktylowej (lub 200 g rozdrobnić)
- 1/3 szklanki wiórków kokosowych
- 1 szklanka płatków owsianych
- 1/3 szklanki rodzynek/żurawiny (rozdrobnić)
- 1/3 szklanki siemienia lnianego/sezamu
- 1 szklanka orzechów laskowych
- 1/3 kostki masła
- 2 łyżki oleju kokosowego
- 3–4 duże łyżki miodu
- 1 roztrzepane jajko

Przygotowanie:

Wszystko dokładnie wymieszać i rozłożyć na papierze do pieczenia w foremce. Wstawić do nagrzanego piekarnika i piec ok. 15 minut w 180 st. C. Poczekać do ostygnięcia, a potem kroić na odpowiednie bloczki. Ciastka mogą się trochę kruszyć, ale taka ich uroda. Palce lizać! ☺

oprac. raw

Robert Winnicki jest posłem, prezesem Ruchu Narodowego.



FOT. ADAM CHESTOWSKI/FOTUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kapusta do awansu

Burak, jeszcze niedawno całkowity proletariusz, doczekał się rehabilitacji, ba, nawet doznał awansu towarzyskiego. Gdy odkryto jego liczne właściwości zdrowotne, zaczął być zapraszany na eleganckie przyjęcia razem z topinamburem, także warzywem o rodowodzie plebejskim, ale zapomnianym, co przydało mu glorii.

Tymczasem kapusta wciąż pozostaje pariasem. Najzdrowsze, najtańsze, najbardziej uniwersalne zimowe warzywo nie może pozbyć się swego siermiężnego statusu. Pogarda towarzyszy mu nawet w sferze językowej: „kapusta, głowa pusta”, „kapuściany głaz”...

Ale bigos? To już inna rozmowa. Bigos to godny szacunku przodek, dziedzictwo staropolskiej kuchni. Oczywiście nie ten, do którego na chybcika wrzucono kapustę, parę pieczarek i kawałek najtańszej kiełbasy. Bigos, choć nie jest trudny, to sprawa pracochłonna i długotrwała. Trzeba liczyć tydzień, ale w zimie, kiedy można garnek wystawić na dwór; zamiast zagrać nim lodówkę, jakoś zleci.

W kwestii klasycznego bigosu (bez ananasów) mam dwa autorytety. Jeden to „W staropolskiej kuchni i na polskim stole” Marii Lemnis i Henryka Vitry. Pod tym pseudonimem ukrywał się muzykolog i pisarz Tadeusz Żakiej. W kilku uroczych książeczkach kucharskich

i w przepisach zamieszczanych w miesięczniku „Ty i Ja” z subtelnym humorem tępił PRL-owską tandetę kulinarną. Czyli styl gotowania oparty na recepturach i na składnikach zastępczych. O bigosie: „Na 1 kg różnych mięsów bierzemy 1,5 kg kapusty kiszzonej lub świeżej”. „Niekiedy

jednak na 1 kg kapu-

sty biorą 1,5 kg asorty-

mentu

mięsa i nie

słyszano, by

te wielkodusznie

wyważone proporcje ganiono, zwłaszcza że z taką praktyką spotykamy się dziś, niestety rzadko”.

Moją drugą wyrocznią jest Nela Rubinstein. Gdyby dożyła czasów medialnych, zostałaby zapewne sławą w rodzaju Jamiego Olivera, a może nawet (nie daj Boże) Magdy Gessler. „Na bigosie nigdy się nie zawiodłam – pisze pani Rubinstein. – Jest to danie, które na ogół wszystkim smakuje, a przy tym jest łatwe do zrobienia, trzeba tylko zarezerwować odpowiednią ilość czasu na krojenie i siekanie”.

Pani Nela podawała bigos w małym mieszkanku na Montmartre w Paryżu, w nowojorskim pokoju hotelowym, na pierwszym polskim balu po wojnie w Nowym Jorku, w Wenecji na cześć Igora Strawińskiego, w Los Angeles... Nakarmiła nim w Hollywood zespół Baletów Rosyjskich. „Sądzę, że nasz bigos w pełni zasługuje, aby stać się daniem międzynarodowym”.

To chyba wystarczy jako rekomendacja dla kapusty. ☺



FOT. ADAM STOCK



LATAJĄCA TAKSÓWKA

Amerykański koncern Boeing rozpoczął testy drona, który ma służyć jako powietrzna taksówka. Bezzałogowiec o długości 9 m i szerokości 8,5 m jest zasilany energią elektryczną. Na jednym ładowaniu latająca taksówka może pokonać 80 km. Jak dotąd autonomiczny dron pasażerski pomyślnie zaliczył samodzielny start i lądowanie. Nad bezzałogowcami do przewozu osób pilnie pracuje również europejski Airbus.

SZWEDZKI TEST AUTONOMICZNYCH AUT

Spółka Zenuity, utworzona w 2017 r. przez Volvo i Veoneer, otrzymała od władz pozwolenie na nowe testy autonomicznych samochodów na szwedzkich drogach publicznych. Na wszelki wypadek w kabinie będzie siedział kierowca awaryjny, który jednak podczas testów nie będzie trzymał rąk na kierownicy. Władze zgodziły się,



aby autonomiczne auta jeździły maksymalnie z prędkością 80 km/godz. Ograniczono również liczbę dróg, po których będą mogły się poruszać. Wcześniej pojazdy Zenuity mogły rozpędzić się maksymalnie do 60 km/godz., kierowca przez cały czas musiał trzymać na kierownicy co najmniej jedną rękę.

Volvo planuje wprowadzić autonomiczne auta do swojej oferty już w 2021 r. Cztery lata później ze sprzedaży samochodów-robotów ma pochodzić już jedna trzecia przychodów spółki.

PODRÓŻE Z BAKTERIAMI

Amerykańscy naukowcy ostrzegają: kabina samochodu może być wyjątkowo mało higienicznym miejscem. Według badań Narodowego Instytutu Zdrowia w USA na przeciętnej kierownicy znajduje się niemal czterokrotnie

więcej bakterii niż na deskach sedesowych w publicznych toaletach i sześciokrotnie więcej niż na przeciętnym ekranie smartfona. W kabinie samochodu podróżuje z nami ok. 700 bakterii. Wśród najczęściej występujących w statystycznej kabinie są zaś Staphylococcus i MRSA, czyli gronkowce, które wywołują infekcje żołądkowe lub skórne, a także Propionibacterium, który może wywoływać infekcje czy zapalenia, np. opon mózgowych.

Najczęstszym źródłem bakterii w kabinie jest konsumowane w kabinie pożywienie. Naukowcy radzą więc przestać jeść w aucie. Warto też regularnie sprzątać wnętrze oraz odkażać kierownicę, klamki czy drążek zmiany biegów

PORSCHE KONTRA TESLA

Producent ze Stuttgartu robi wszystko, aby pokonać amerykańską Teslę. Pierwsze elektryczne Porsche, czyli model Taycan, chce wygrać bitwę



o miejsca lidera m.in. nie tylko za pomocą wyglądu czy właściwości jezdnych, lecz także oferując możliwość superszybkiego ładowania. 800-woltowa bateria ma się ładować w takim tempie, że po zaledwie czterech minutach przy ładowarce kierowca będzie mógł przejechać kolejne 100 km.

ŠKODA POKAZAŁA KAMIQ

Czesi pokazali szkice nowego miejskiego crossovera, którego premiera ma nastąpić podczas targów motoryzacyjnych w Genewie



na początku marca. Produkcyjna wersja będzie miała zapewne mniej dynamiczną sylwetkę. Już teraz wiadomo jednak, że Škoda Kamiq – czeski kuzyn Seata Arony i Volkswagena T-Cross – ma być najmniejszym z crossoverów oferowanych przez popularnego producenta.

NOWE SILNIKI W QASHQAIU

Pod maską najlepiej sprzedającego się crossovera na Starym Kontynencie pojawiły się nowe zespoły napędowe. Flagową jednostką wśród diesli montowanych w Nissanie Qashqai będzie zupełnie nowa jednostka 1,7 dCi o mocy 150 KM i momencie obrotowym wynoszącym 340 Nm. Nowy diesel 1,7 ma być dostępny w modelu Qashqai z sześciobiegową przekładnią manualną i napędem 2WD lub 4WD oraz z siedmiostopniową przekładnią automatyczną (Xtronic) i napędem na obie osie. Wśród jednostek wysokoprężnych dostępny będzie też silnik 1,5 dCi o mocy 115 KM i momencie obrotowym 260 Nm. To kolejna zmiana. Jesienią Nissan wprowadził do swojego crossovera nowe jednostki benzynowe. ©©

opracował Jacek Przybylski

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**WALCZYŁEM
W WIETNAMIE
WYWIAD Z BOHATEREM
ZIELONYCH BERETÓW**

Marek Rezler – **Wielkopolska Walcząca**
Marcin Bartnicki – **Niemiecki plan ataku na Warszawę**
Piotr Zychowicz – **Seks, przemoc i Holokaust**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica syberyjskiego meteorytu**
Nikołaj Iwanow – **Zagadka zdrady generała NKWD**
Zvika Greengold – **Byłem asem pancernym Izraela**
Piotr Semka – **Rosenbergowie: śmierć atomowych szpiegów**
Sławomir Koper – **Polski zabójca cara**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Migawki egipskie

Tygodniowa wycieczka objazdowa po Egipcie nie jest z pewnością wyprawą badawczą do kraju nad Nilem. Pozwala jednak dostrzec rzeczy, o których nie piszą w przewodnikach po Kraju Faraonów. I daje dużo do namysłu. Chociażby nad frapującym zagadnieniem „ateizm a cywilizacja” i powiązaną z tym kwestią „ateizm a gospodarka”. Przecież od Abu Simbel przy granicy z Sudanem przez Edfu, Kom Ombo, Luksor do piramid w Gizie mamy do czynienia z zabytkami sakralnymi. Oglądając potężne kompleksy świątynne w Karnaku czy wchodząc w grobowce skryte w Dolinie Królów, niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie: Cóż by zostało z zabytków starożytnej egipskiej cywilizacji, gdyby poddani faraonów byli ateistami? Nie pozostałoby nic. Tak jak nie zostało nic po świeckich budowlach władców Górnego i Dolnego Egiptu budowanych z cegły wytwarzanej z rzecznego mułu. Najtwardsze surowce (granit jak w Abu Simbel czy wapien jak

piramidy w Gizie) zarezerwowane były dla celów kultu.

Nie ma zabytków, nie ma tłumów turystów napływających do Egiptu, którzy obecnie podziwiają nad Nilem pozostałości cywilizacji, która wyrosła z religii i wznosiła najtrwalsze budowle dla swoich bogów.

Wszędzie – od Abu Simbel do Kairu – wśród tłumów turystów najwięcej jest Chińczyków. Wpatrywanie się w 40 wieków patrzące na nas z piramid i ze Sfinksu, gdy w tym samym czasie z megafonów dobiegają komunikaty wydawane w języku chińskim – to robi wrażenie. W 2017 r. do Egiptu przyjechało ok. 130 tys. turystów z Chin. W zeszłym roku było ich już ok. 300 tys. Wszystko na to wskazuje, że w 2019 r. będzie ich jeszcze więcej.

Kto wie, może już niedługo się okaże, że cała strefa Kanału Sueskiego będzie gruntownie spenetrowana gospodarczo przez Pekin. Już teraz chiński koncern TEDA ma tam specjalną strefę ekonomiczną. Od 2014 r. między Egiptem

a Chinami istnieje porozumienie o „wszechstronnej strategicznej współpracy”. Nabrała ona tempa po przejęciu władzy w Egipcie w lipcu 2013 r. przez gen. Al-Sisiego, który w wyniku wojskowego zamachu stanu odsunął od władzy legalnie wybranego prezydenta Mursiego z Bractwa Muzułmańskiego. Tak skończyła się arabska wiosna nad Nilem.

W sensie geopolitycznym najwięcej zyskał na tym Pekin, który w lot pochwycił okazję stworzoną przez nierozważną (mówiąc eufemistycznie) politykę administracji Obamy, która przyklaskując „demokratycznej rewolucji” w Egipcie, nie brała pod uwagę scenariusza, że demokracja w krajach muzułmańskich z reguły sprzyja islamskim radykałom. Przykład Iranu z 1979 r. czy Algierii z początku lat 90. XX w. niczego Waszyngtonu nie nauczył.

Obecnie Egipt zajmuje kluczowe miejsce na mapie chińskich inwestycji w Afryce. Chińskie koncerny planują zainwestować ok. 20 mld dol. w budowę nowej administracyjnej stolicy Egiptu wznoszonej na wschód od Kairu. Porozumienie między Egiptem a Pekinem z jesieni zeszłego roku przewiduje kolejne miliardowe inwestycje chińskie w egipską infrastrukturę komunikacyjną. A to chyba dopiero początek. Czy Suez podzieli los portu w Pireusie, nad którym firmy chińskie od niedawna przejęły faktyczną kontrolę?

Na koniec refleksja o przemijaniu potęg tego świata, czyli Ramzes II w szklanej gablocie. Potężny faraon, najdłużej panujący (64 lata!), fundator monumentalnej świątyni w Abu Simbel, zwycięzca w bitwie pod Kadesz, dzisiaj jest jednym z eksponatów przechowywanych w stałej temperaturze w Sali Mumii w Muzeum Egipskim w Kairze. Sic transit gloria mundi. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



A. KRAUZE

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Ładne te wieże,
ja cię nie mogę

Patrzę tak sobie od niechcenia na bardzo bieżącą politykę i widzę, że nie ma faktów, są interpretacje. Takie czasy. Może zawsze były takie? Nie wiem. Aha, nie można mówić czy pisać „nie wiem”. Trzeba wiedzieć, bo stada zawsze wiedzą, a do jakiegoś stada należeć trzeba. Tylko głupcy i jednostki politycznie niewyrobione nie wiedzą. Reszta wie. Takie czasy.

A ja dalej wielu rzeczy nie wiem. Nie ma naturalnych reakcji, większość reakcji jest upolityczniona. Jeżeli na przykład śmiesz cię powiedzonko „Ja cię nie mogę”, to z dużą dozą prawdopodobieństwa jesteś „pisiosem” niezdałym sobie sprawy z zagrożenia demokracji w naszym pięknym kraju i z reżimem, który brutalnie czyha na twoje wszystkie wolności. Jeśli zaś powiedzonko „Ja cię nie mogę” cię nie śmiesz, to nie masz dystansu do świata i siebie, jesteś zatwardziały, oderwanym od żłobu frustratem i pewnie skrycie nienawidzisz ojczyzny, gdyż do Europy wzdychasz. Nie ma faktów, są interpretacje, a każda reakcja może zdradzić twoje polityczne preferencje, więc uważaj. Łatwiej dziś określić po słowach i reakcjach przynależność do stada niż na przykład preferencje klubowe w piłce kopanej.

Patrząc tak sobie od niechcenia na bieżący sport i widzę, że są fakty, chociaż są też interpretacje. Tu jednak człowiekowi łatwiej w tym obszarze. Oglądałem mecz AC Milan kontra

Napoli i trochę się zastanawiałem, komu kibicować. W AC Milan Krzysiek Piątek, czyli nasz, a w Napoli Piotr Zieliński i Arkadiusz Milik, czyli dwóch naszych. Kibicowałem Milanowi, bo Piątek szybko strzelił w zasadzie w debiutanckim meczu (bo grał od początku) dwie bramki i Milan oszalał na jego punkcie. Ten Piątek to mi się kojarzy z facetem, którego nie poinformowano, że jest stres albo presja, że świat się na niego gapi. Biega niedoinformowany o tych psychologicznych wadach i obciążeniach swojego zawodu i przez to łoi te bramy przeciwnikom i pokazuje pistolety z dłoni. Stan niedoinformowania bywa skrzydłami. Jeżeli chodzi o to, komu kibicować, to teoretycznie mądrze jest kibicować zwycięzcom. To równie praktyczne, co obrzydliwe. Nierzadkie bynajmniej.

Dość mi się bardzo podobają te dwie wieże, które Kaczyński miał stawiać. Widziałem w gazecie. Szkoda w sumie, że ich nie będzie. Nie wiem, oczywiście, czy mógł, czy nie mógł zajmować się tymi sprawami. Niby mógł, ale są tacy, którzy twierdzą, że „w żadnym bądź razie”. Wszyscy wiedzą, a ja nie. Wiem, że nie wolno nie wiedzieć, ale co mam tu kłamać? Pamiętać trzeba, że historię piszą zwycięzcy. Na przykład Piątek. A co do innych – czy to z tego, czy z tamtego stada – pisać będą, to się już za parę miesięcy zobaczy. Ładne te wieże, ja cię nie mogę... ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Na fali

Z jednej strony „Potężne przemówienie Schetyny”, który „pokazał Polakom wizję Polski po porażce »dobrej zmiany«”. Z drugiej „Typowy Kaczyński w Sejmie”, który „zrzucił na innych winę za dzielenie Polaków”. Tak portal naTemat.pl opisywał niedawne konwencje partyjne PO-KO i PiS. I gdzieś pomiędzy tą wielką polityką potężnych mężów stanu jest miejsce na mniejszą, bardziej ludzką. Chociaż stawki, o które toczy się gra, mogą zawstydzić nawet premiera. Idę o zakład, że wspomniała historię na ten temat mogłby opowiedzieć np. Dariusz Joński. Były szef łódzkiego SLD, były wiceprezydent miasta, zaciekle krytyk kumoterskich poczynąń PO w regionie i zaprzysiężony wróg prezydent Hanny Zdanowskiej. Ponieważ jednak z czasem nawet lewicowym baronom kończy się cierpliwość i koniunktura, do wyboru pozostaje zajęcie się pracą albo zmiana sztandaru i pokochanie przeciwnika. Zazwyczaj politycy skłaniają się do scenariuszy miłośnych.

Nie inaczej było w tym przypadku, gdy już jako członek Inicjatywy Polskiej Barbary Nowackiej w wyborach samorządowych Joński wystartował z sukcesem do sejmiku województwa z listy KO. Bijąc się przy tym w piersi i składając hołd leniwej Hannie Zdanowskiej, nie musiał długo czekać na odwzajemnienie uczucia. W styczniu 2019 r. otrzymał bowiem nagrodę godną doświadczonego samorządowca – wiceprezeturę łódzkiego

aquaparku Fala. – Mam doświadczenie, pracowałem w Przedsiębiorstwie Turystycznym Łódź, które zarządzało kilkoma hotelami w Łodzi – tłumaczył Joński. Rzecznik miasta uspokajał równocześnie: – To zajęcie się geotermią. Dariusz Joński jest radnym Sejmiku Województwa Łódzkiego, w Urzędzie Marszałkowskim są ogromne pieniądze na geotermię.

Nieoficjalnie wiadomo, że za parawanem rekreacji toczyło się polskie „House of Cards”. Posada dla swojego człowieka była bowiem ultimatum Nowackiej wobec Schetyny, którego stawką było funkcjonowanie w ramach KO. „Awans na wiceprezesa miejskiej spółki ma być wyraźnym komunikatem, że Inicjatywa Polska to ważny, lewicowy element Koalicji w roku podwójnych wyborów” – napisał „Dziennik Łódzki”, dodając, że poprawi się też komfort Jońskiego, bowiem „nie będzie dojeżdżał do pracy w Piotrkowie Trybunalskim”, gdzie od sześciu miesięcy pracował jako pełnomocnik starosty ds. nowoczesnego kształcenia zawodowego.

Tekst ukazał się w dziale „Strefa biznesu” – na koniec więc kilka liczb. Poprzednik Jońskiego zarabiał na basenie ok. 18 tys. zł brutto miesięcznie. Dieta radnego sejmiku to dodatkowe 2,5 tys. Prezydent Łodzi zarabia 12, wojewodowie – ok. 11, prezydent Polski – ponad 18, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu – niespełna 17 tys. I tak z tym państwem zostawię, bo wybieram się popływać. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

PO matkom

MONIKA WIELICHOWSKA: *Zastanawiamy się, czy nie zmienić zasad podziału urlopu między tatę i mamę w sposób obligatoryjny. Może urlop rodzicielski powinien zostać podzielony na dwie równe części? A może na trzy części? Pierwsza część dla matki (urlop macierzyński), druga obowiązkowo dla taty, a trzecia, najkrótsza – do wspólnej decyzji rodziców, kto ją weźmie? Może okazać się, że przy takich lub podobnych rozwiązaniach pracodawcy będą mieli pewność, że kobiety i mężczyźni będą brać urlopy mniej więcej takiej samej długości. Skończy się więc podświadoma pokusa, żeby kobietom np. odmawiać awansu, „bo zniknie z pracy i zajmie się dzieckiem”. Jak pracodawcy zorientują się, że i kobieta, i mężczyzna biorą równie długie urlopy rodzicielskie, nie będą mieli podstaw do innego traktowania.*

Jak już Platforma się bierze za organizowanie rodzinom życia, to ratuj się, kto może. Przy obecnym wymiarze urlopu rodzicielskiego (włączając w niego urlop macierzyński) to 52 tygodnie, ta genialna równościowa propozycja Platformy oznacza de facto pozbawienie matki kilku miesięcy obecnie przysługującego jej urlopu na dziecko jeszcze przed ukończeniem przez nie pierwszego

roku życia – bo taki będzie skutek wprowadzenia ustawowego przymusu wykorzystania ponad jednej trzeciej urlopu rodzicielskiego przez ojca. Mało prawdopodobne jest, że uda się ustawą wygonić matki do pracy, efekt będzie raczej taki, że ojcowie urlopu nie wezmą, a matka z dzieckiem zostanie, tylko już nie na płatnym urlopie. A wszystko po to, żeby sztucznie wyrównać to, czego naturalnie wyrównać się nie da, w błędnym poczuciu, że na tym właśnie polega nowoczesność. Chciałabym zobaczyć miny matek obecnie korzystających z dobrodziejstw rocznego urlopu z dzieckiem na propozycję przymusowego podzielenia się nim z ojcem dziecka. Na szczęście dla Platformy ten pomysł nie przebił się przez jej inne „prokobiece” postulaty, ale uważam go za typowy dla podejścia Platformy do kobiet.

Sejm właśnie przyjął projekt PiS przyznający specjalne emerytury matkom, które wychowały czworo lub więcej dzieci, ale zostając z nimi w domu, nie wypracowały składek emerytalnych uprawniających do minimalnej emerytury. Jeśli projekt wejdzie w życie, to będą otrzymywać od państwa emeryturę

w wysokości z punktu widzenia kosztów życia i tak symbolicznej – 1,1 tys. zł. Platforma się w głosowaniu wstrzymała, choć wcześniej chyba uważała samą ideę wsparcia matek wielodzietnych za ważną, bo postulowała rozszerzenie programu także na matki, które z pracy nie zrezygnowały. Ale ponieważ ostatecznie nie udało się jej wywalczyć zwiększenia liczby beneficjentek ustawy z 86 tys. (tyle kobiet się załapie na rządowy projekt) do 700 tys. (tyle by objęła ustawa w wersji PO), obraziła się i projektu w ogóle nie poparła. Gdyby PiS w swoim projekcie objął wszystkie matki wielodzietne, zamiast lamentów nad rzekomą dyskryminacją matek pracujących, mielibyśmy straszenie rozwaleniem budżetu niepotrzebnym rozdawnictwem. Przerabialiśmy to z „500+”, które najpierw było nieodpowiedzialne, bo państwa na nie nie stać, a gdy już wiadomo, że jak najbardziej stać, okazało się dyskryminujące, bo nie obejmuje matek z jednym dzieckiem. A i tak wszystko się rozbija o wieczne pretensje pań z Sejmu, że niektóre kobiety nie palą się wracać na kasę w supermarkecie i wolą zostać z dzieckiem, jeśli państwo im stwarza odrobinę możliwości. ©©

PODSŁUCHANE

Żegnasz?

Jarku, bardzo mnie rozczarowałeś, bardzo.

Siadaj, Antoni. Czym, jeśli można wiedzieć?

Dziękuję, ja już u ciebie nigdy nie usiądę. Bartek. Bartuś. Jak mogłeś?

Coś ci się myli. Ja z tym nie miałem nic wspólnego, ja jestem szeregowym posłem, nie kieruję CBA...

I jeszcze robisz ze mnie idiotę. Czy ja ci wyglądam na idiotę? Ależ skąd!

No to po co? Bartuś. Świadectwo od ojca Tadeusza, złoty medal za zasługi, nieudawane, prawdziwe. Zawsze wiernie po stronie Rzeczypospolitej, a spotkała go za to tylko najpierw czarna niewdzięczność, usunięcie ze stanowiska, które mu się należało jak psu zupa, a teraz areszt. Czy ty wiesz, że ten wrażliwy chłopaczyna może mieć już na całe życie traumę?

Serdecznie mu współczuję. Ale co ja mogę?

Powiem ci jedno: kto atakuje Bartusia, ten atakuje Rzeczpospolitą. I nie muszę chyba wprost mówić, po czyjej tym samym staje stronie. Ale nadejdzie jeszcze czas prawdziwych patriotów. Żegnam cię. Żegnasz? Czyli jednak będziesz coś robił sam?

A czy ja coś takiego powiedziałem? Bartuś Bartusiem, a polityka – polityką. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przypomnę strasznie dawne czasy. Wtedy, kiedy jeszcze były dinozaury, a ludzie nie mieli jeszcze żadnych strzelb, nie mieli broni nowoczesnej, która pozwoliłaby im je zabić. Wie pani, co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura”.

EWA KOPACZ, WICESZEFOWA PO, w programie „Fakt Opinie”



fol. Jerzy Gumowski

Okraglak

lidarność» obaliła komunizm. Komunizm, czyli partię, obalilo jej zbrojne ramie, czyli służby specjalne” (2015). Nie wyłączenie — z bezpieką Kiszczakowską współpracowali tu ci bonzowie PZPR, którzy stanowili „potężną uprzywilejowaną warstwę zarządzającą” (dyrektorską, prezesowską, et cetera — dziś powiedzielibyśmy: „menedżerską”). Ześlązaczony bułgarsko-rosyjski aparatczyk Wsiewołod Wołczew: „W Polsce ta warstwa zarządzająca podporządkowała sobie PZPR, związki zawodowe i wszystkie inne organizacje systemu politycznego, tolerowała istnienie opozycji antysocjalistycznej i wielokrotnie korzystała z poparcia Kościoła katolickiego. Do formalnego porozumienia obu tych ośrodków antysocjalistycznych — opozycji oficjalnej i tej usadowionej w strukturach władzy — doszło przy „okrągłym stole” (1993).

Trudno się tedy dziwić, że wbrew porządkowi mijający czas (to już prawie cztery dekady od wybuchu!) nie goi ran, nie patynuje „Solidarność” złotem, tylko mitologizuje „brzozowicz” w pejoratywnym według kręgów antysalonowych znaczeniu, do czego przyczyniają się wybryki dawnych gwiazd „panny «S»” dzisiaj usalonowio-



mebel założycielski



nych/umichnikowionych (Frasyniuk, Rułewski, Borusewicz, i spółka), a także dawne brudy wyłazące coraz częściej spod koldry monumentu. Mirosław Winiarczyk: „Pracowicie wypełniane są białe plamy tyjące rozliczeń osób ze strony solidarnościowej (...) Dotyczy to przede wszystkim nieustannego surrealistycznego festiwalu zmagañ z Lechem Wałęsą i prób wydobycia z niego prawdy o postaci Bolka. Ostatnio doszły do tego makabryczne oskarżenia pod adresem ks. Jankowskiego o seksualne molestowanie. Sprawa ta rzuca ponury cień na działania gdańskiej kolebki „Solidarności”, ks. Jankowski był bowiem jedną z głównych postaci tego wielkiego ruchu” (2019). Wszystkie owe chmury są przez szyderców traktowane jako sekwencja złośliwych żartów historii: „legendarny przywódca „Solidarności” był esbeckim szpiclem donoszącym na kolegów; „legendarny kapelan „Solidarności” był notorycznym pedofilem deflorującym młodzież męską i żeńską; „legendarny papież „Solidarności” był ekstremistą ekumenicznym całującym publicznie „Koran”, świętą księgę muzułmanów, która nawołuje do mordowania katolików; „legendarny noblista literacki „Solidarności” był zagorzałym polonofobem, notorycznie piętnującym polską tradycję, polską martyrologię, polską religię, polską świętość i samą polskość jako taką.

Nieprzejednani krytycy mebla założycielskiego III RP (będącego ukoronowaniem solidarnościowej epopei) artykułują dzisiaj twardo, że wykoncypowany przez Kiszczaka, Michnika, Geremka i Kuronia Okragły Stół stworzył z trzech fraternizujących się sił — z nomenklatury pezetpeerowsko-esbeckiej, z „opozycji koncesjonowanej” i z zaesbeczonych elit „Solidarności” — klasyczną „zorganizowaną grupę przestępczą”, i powierzył jej cały kraj do rządzenia/dzielenia nazwanego (ku rozbawieniu Szatana) „transformacją RP”. Była jeszcze jedna siła wspomagająca: ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych, George Bush-senior. Piotr Semka: „Bush zadbał o to, by doszło do politycznego miękkiego lądowania komunistów w nowej rzeczywistości (...) U kresu PRL administracja Busha zrobiła wiele, by pierwszym prezydentem po Okrągłym Stole został gen. Wojciech Jaruzelski (...), musieliśmy więc na stanowisku głowy państwa znieść autora stanu wojennego (...) Dobrze ubrał to w słowa amerykański publicysta George F. Will: «Bushism is Reaganism minus the passion of freedom»” (2018).

To już trzecia szpalta felietonu, zdążę więc zacytować ledwo dwie spośród wielu piętnujących Okragły Stół wypowiedzi znaczących rodaków. A. D. 1998 kultowy (zwłaszcza dla konserwatystów) poeta Zbigniew Herbert rzekł: „— Geneza panującego zła to Okragły Stół. Jego cena była prosta dla komunistów — żeby im się nic nie stało w okresie przejściowym. Natomiast panowie, którzy z nimi zawarli to porozumienie — KOR i intelektualiści — popełnili Kainowy błąd. Stąd dzisiaj, tak samo jak w PRL-u, liczą się elity, a nie społeczeństwo. I o to KOR-owcom chodziło — żeby był «PRL z ludzką twarzą», a oni mają być na wierchu (...) Okragły Stół zaowocował podłym systemem. Została pogiębiona podmiotowość narodu. To znaczy: naród dostał w pysk, napluto na niego, na wszystkie jego marzenia (...) A Kuroń ma ulice i szkoły jego imienia!”. Dwie dekady później weteran „Solidarności” Krzysztof Wyszowski sarknął: „Okragły Stół byłby niemożliwy bez postawienia na czele społeczeństwa grupy fikcyjnych autorytetów — agenta «Bolka», Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka, Jacka Kuronia, Adama Michnika. Całej tej bandy ludzi związanych z komunistami, ludzi, którzy bez Jaruzelskiego i Kiszczaka nie mogliby wziąć udziału w życiu politycznym, bo byłiby zmiecenii razem z komunizmem” (2017). Czyli bez Magdalenki, stanowiącej kulisy estradowego mebla. Idealiści wolą pamiętać inną „Solidarność”, o czym mówi wiersz Henryka Krzyżanowskiego:

„Tak pamiętajmy Solidarność
— umorusana farbą czarną,
nad powielaczem gdzieś w piwnicy,
lub w chmurze gazu na ulicy.
Nie u Kiszczaka w Magdalence,
z kieliszkiem białej wódki w ręce”.

Wolałbym taką pamięć. ©

Waldemar Łysiak

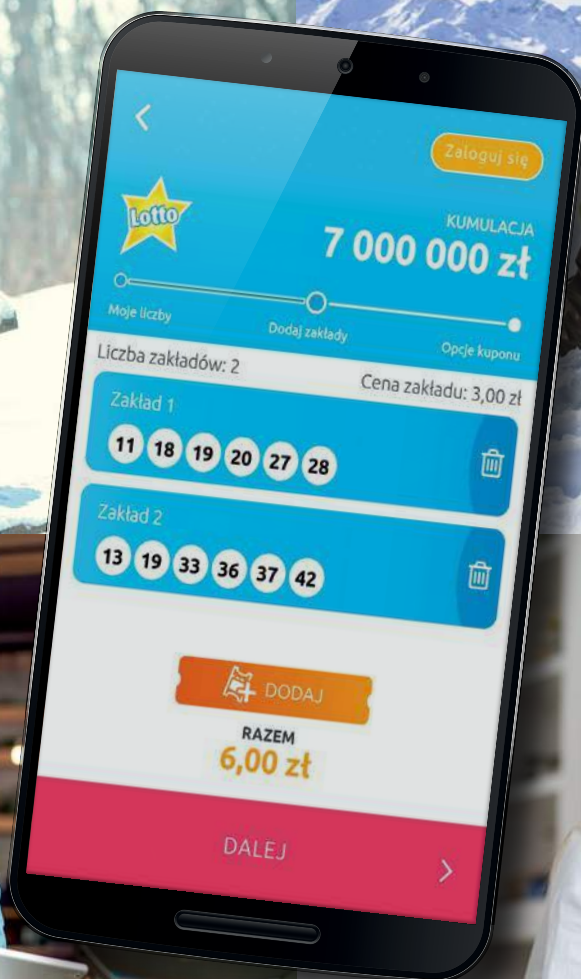
bieżącego tygodnia (w środę 6 lutego) przypada 30. rocznica inicjacji obrad Okrągłego Stołu, który zaprojektował naszą dzisiejszą Macierz. Radykalni krytycy systemu wciąż nazywają III RP „Republiką Okrągłego Stołu”.

Wszystkie krągłe konferencyjne stoły znane historykom wywodzą się z okrągłego stołu w Camelocie (metropolii legendarnego króla Artura), gdzie kształt tego mebla dawał równy status wszystkim dwunastu rycerzom arturiańskim zasiadającym wokół niego. Napoleoński „Table Ronde”, wykonany w Sévres dla uczczenia zwycięstwa pod Austerlitz (1805), miał porcelanowy blat z centralnym konterfektem monarchy oraz z brzegowymi wizerunkami trzynastu marszałków, i był dużo mniejszy, raczej dekoracyjny niż konferencyjny. Z kolei nasz dekomunizujący był ogromny, prawdopodobnie rekordowo, w sam raz do „Księgi Guinnessa” (i do księgi czarnego humoru).

Warszawski Okragły Stół ma wielu hagiografów (szczególnie wśród lewaków/salonowców) apologetyzujących go jako uczciwą kolebkę suwerenności. Przykładem eksprezydent B. Komorowski: „— Nigdy nie widziałem zdrady w Okrągłym Stole (...) Okragły Stół odegrał w naszej historii rolę bardzo pozytywną” (2018). Ci sami ludzie głoszą, iż o dekadę wcześniejszy, fundamentalny dla Okrągłego Stołu bunt „Solidarności”, był spontaniczną rebelią proletariatu wkurzonego na „komuchów”. Lecz już dawno temu (przed II Wojną Światową) sławny czeski pisarz Karel Čapek twierdził, że „mało co bywa starannie zorganizowane aniżeli tzw. «spontaniczny bunt»”. Gdy idzie o bunt „Solidarności” potwierdzają ten sąd jej „nieumoczone” figury, ergo: jej prawdziwi bohaterowie, choćby Andrzej Gwarda: „— To wszystko była robota służb. Między bajki należy włożyć legendę, że to «So-



Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz LOTTO JEST WSZĘDZIE



Gdy wygrasz, damy Ci znać



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

